

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 11 (326) • ROK XXVIII • LISTOPAD 2022



PAMIĘĆ
I NADZIEJA

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Adam Miozga



14 października 2022 „Teatr Kozubka” przedstawił w Kościele Mariackim w Katowicach widowisko zatytułowane „Apokalipsa Bunscha”. Widowisko inspirowane było wizją Sądu Ostatecznego, którą artysta Adam Bunsch - którego witraże i polichromie znajdują się w ponad dwustu kościołach – przedstawił w niezrealizowanych projektach witraży, zamówionych przed wojną dla Kościoła Mariackiego.

Szczegóły str. 30

fot. Tomasz Bieniek



Karolina i Piotr Jakoweńko, założyciele Fundacji Brama Cukermana, są także autorami książki „Pamięci pogranicza. Opowieści o żydowskim życiu i Zagładzie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim”. W ramach swojej działalności odszukują także często na co dzień niedostrzegane, choć wciąż obecne w przestrzeni publicznej relikty pozostałe po żydowskiej społeczności. Na zdjęciu Mykwa – rytualna łaźnia żydowska wybudowana w 1909 roku przy ul. Garibaldiiego w Częstochowie.

Szczegóły str. 34

fot. ks. Henryk Piecha



Ołtarz św. Barbary z cechowni KWK „Makoszowy” w Zabrze. Malował Max Wislicenus, ok. 1905 r. O niezwykłych losach makoszowskiej św. Barbary w stanie wojennym pisze Jacek Okoń.

Szczegóły str. 38

9 grudnia o godz. 16⁰⁰
w siedzibie Biblioteki Śląskiej, ul. Ligonia 7 w Katowicach
odbędzie się
Walne Zgromadzenie
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.
Zapraszamy wszystkich Członków.

Nr 11 (326). Rok XXVIII. LISTOPAD 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERAC-
KIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚLAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLEK
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpłatnie
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Michał Spurgiasz* POCZĄTKI ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI NA GÓRNYM ŚLĄSKU
6 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (4)
14 *Alina Szymkowiak* ZWIERZĘTA I LUDZIE (W POEZJI TADEUSZA KIJONKI)
20 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* JULIUSZ BRAUN – SUPLEMENT DO
OPowieści. CZ. 1
24 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (9) *Z rękopisu opracował Marian Kisiel*
30 *Ks. Henryk Pyka* WOKOŁ „SĄDU OSTATECZNEGO” ADAMA BUNSCHA
34 *Małgorzata Lichecka* ŚWIADECTWO ZGLĄDZONEGO ŚWIATA.
ROZMOWA Z KAROLINĄ I PIOTREM JAKOWEŃKO, ZAŁOŻYCIELAMI FUNDACJI
BRAMA CUKERMANA
42 *Elżbieta Pisarczyk* ZŁOTE JABŁKO CZYLI KRÓTKA OPowieŚĆ O DŁUGIEJ HISTORII
GÓRNEGO ŚLĄSKA. ROZMOWA Z REŻYSEREM JANUSZEM KUJAŁOWICZEM
50 WOJSKO POLSKIE WKRAČZA NA GÓRNY ŚLĄSK. TARNOGÓRSKIE PODSUMOWANIA
52 *Henryk Szczepański* DOM ZAJEzdNY W STRZEGOMIU
57 *Stefan Zabierowski* CONRAD W POLSCE. O WYDANIACH ZBIOROWYCH DZIEł
PISARZA
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* CZTERY TOMY TRYLOGII VINCENZA. TRZY
Pasma NA WYSOKIEJ POŁONINIE
68 *Natalia Rybka* W OBliczu ABSOLUTU
74 *Wojciech Lipowski* LINA ZAWIESZONA NAD PRZEPAŚCIĄ

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: NATALIA RYBKA – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Tadeusz Kijonka* BILANS
9 *Lew Tołstoj* O ŚMIERCII *wybrał i przełożył Marian Kisiel*
18 *Zbigniew Chojnowski* WIERSZE
38 *Jacek Okoń* OLTARZ ŚWIĘTEJ BARBARY
40 *Mateusz Czajka* WIERSZE
44 *Patrycja Zuber* WIERSZE
46 *Andrzej Jarczewski* MIEJSKA KRONIKA APRIORYCZNA
78 *Paweł Sarna* WIERSZE

FELIETONY

- 29 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA *Jan Miodek* MASARZ I MIEŚIARZ
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* „TRZEBA ZACZĄĆ BADAĆ TEN
ETNOGRAFICZNY TYGIEL”
56 *Janusz Plewniak* NIE ZDAŻYŁEM POROZMAWIAĆ
66 KĄCIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* BIOGRAFIA TO BÓL NIEDOKŁADNY
73 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* ŁÓDZCY
„NĘDZNYCY” I FILMOWO W SPODKU
76 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* Z NORYMBERGI DO WROCŁAWIA NADSZEDŁ LIST

KSIAŻKI

- 62 *Natalia Stasiuk* POSZUKUJĄC WOLNOŚCI
64 *Piotr Skowronek* POEZJA NAMYSŁU
65 *Jan Cofalka* POLSCY PRACOWNICY W NIEMCZACH
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

Na okładce:

Anna Korusiewicz, *Statek*, olej na płótnie, 160 x 210, 2017.

Tylna wewnętrzna strona okładki:

Natalia Rybka, *Lekarz*, 100 x 80, olej na płótnie, 2022.

Tylna strona okładki:

Anna Korusiewicz, *Odlot ptaków*, olej na płótnie 21 X 30, 2021



Bilans

A co po drugiej stronie –
Czy tam wszystkiego koniec?
Nic po mrówce, motyłu,
Po życiu, co tylko chwilą.

A co na drugim brzegu –
Co tam, czy też niczego?
Ostatni włos a przepadł
I rzezi dusza ślepa.

A co to za bandaże –
Więc tyle tylko z marzeń?
Dwie w kącie chrome kule
Podpierają się bólem.

Odtąd na zawsze niczyj
Swych dni się nie doliczysz.
Po wszystkim – silny osad
I w kącie – rdzawa kosa.

Z tomu *Słowo w słowo*, 2015



Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfanteo

Początki Święta Niepodległości na Górnym Śląsku

MICHAŁ SPURGIASZ

Początki obchodów 11 listopada

11 listopada został świętem narodowym stunkowo późno, bo dopiero w roku 1937 na mocy uchwały z 23 kwietnia. Jednakże środowiska legionowe, wojskowe oraz osoby związane z marszałkiem Józefem Piłsudskim zwyczajowo świętowały ten dzień już od pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości. Po przewrocie majowym w 1926 roku obchody warszawskie stały się szczególnie uroczyste – odbywały się na Placu Saskim, później przemianowanym na plac Józefa Piłsudskiego, i zaczęły przypominać święto państwowe, włącznie z ogłoszeniem 11 listopada dniem wolnym od pracy dla urzędników państwowych.

Uczynienie 11 listopada pełnoprawnym świętem państwowym spotkało się z niechęcią ówczesnej prawicy oraz ludowców, którzy starali się dystansować od Marszałka, a do władz sanacyjnych podchodzili z nieskrywaną niechęcią. 11 listopada 1918 r. Rada Regencyjna przekazała bowiem Józefowi Piłsudskiemu władzę wojskową i naczelne dowództwo podległych jej wojsk polskich. Tym samym w optyce opozycji wydarzenie miało na celu przede wszystkim budowanie legendy niezijącego Piłsudskiego, umacnianie jego kultu i poprawę społecznego odbioru obozu rządowego. Podpisane przez Niemców w lesie pod Compiègne zawieszenie broni kończące I wojnę światową było odbierane jedynie jako pretekst do ustanowienia nowego święta.

Rozdźwięk w sposób szczególny widoczny był w prasie – prośnacyną (na Górnym Śląsku związana z wojewodą Michałem Grażyńskim) wypowiadała się pozytywnie o nowym święcie i jego znaczeniu dla kultury i państwowości; entuzjastycznie publikowała plany obchodów nowego święta w poszczególnych miejscowościach. Opozycyjna natomiast zachowywała dystans i podchodziła chłodniej do Dnia Niepodległości. W gazecie Wojciecha Korfanteo „Polonia” 11 listopada 1937 roku ukazał się obszerny anonimowy artykuł, być może pióra samego Korfanteo, w którym autor podawał w wątpliwość zasadność tej, a nie innej daty (*Dzień 11 listopada uznany został za święto państwowe Polski. Mniejsza o to, czy wybór ten odpowiada ściśle prawdzie historycznej i odczuciu słusznosci narodu. Mniejsza też o to, że uznanie tego dnia za oficjalną datę odrodzenia niepodległości państwowej Polski, poddyktowane było w znacznej części partykularnymi względami politycznymi. Na progu roku dwudziestego, „Polonia” 1937, nr 4696 r. 14, s. 1). Przy czym podkreślał, że niezbędny jest żywy symbol polskiej niepodległości, który w coraz cięższej sytuacji politycznej będzie dodawał otuchy oraz nadziei Polakom ponad jakimikolwiek podziałami politycznymi (*O wiele ważniejsze jest, aby ten symbol nie był rzeczą martwą i konwencjonalną i aby skupiał w sobie uczucia całego**

narodu, uczucia, które nie znosi zewnętrzne go przymusu i narzuconych form. [...] Polska jest szczególnie zagrożona. Wtłoczona między dwie imperialistyczne potęgi militarne, o ustrojach opartych na gwałcie i nienawiści, skazana jest na to, aby być silną. A siła to nie tylko wyszkolona i dobrze zorganizowana armia. To przede wszystkim potęża zbiorowa, której nie potrafi zastąpić żaden twór sztuczny, oderwany od społeczeństwa i narzucony z góry. Na progu roku dwudziestego, „Polonia” 1937, nr 4696 r. 14, s. 2). Polityczny spór o zasadność wyboru daty 11 listopada był przedmiotem debaty publicznej aż do czasu napaści Niemiec na Polskę.

Obchody Święta Niepodległości na Górnym Śląsku

W 1937 roku na Górnym Śląsku, tak jak i w reszcie kraju odbyły się pierwsze obchody nowego święta państwowego. Siłą zwyczaju świętowanie często rozpoczynało się już popołudniem 10 listopada i kontynuowane było w dniu następnym. W Katowicach, stolicy województwa, odbywały się główne uroczystości regionalne. To w nich uczestniczyli najwyżsi rangą przedstawiciele duchowieństwa i administracji. Z przekazów prasowych jednak wiemy, że władze górnośląskich miast dekorowały patriotycznie przestrzeń publiczną i powszechnie organizowały własne lokalne obchody.

W Chorzowie pierwsze uroczystości miały miejsce już 10 listopada. O godzinie 18:45 odbył się capstrzyk połączony z dwoma pochodami – wojskowym oraz dawnych powstańców śląskich. Uroczystości kontynuowane następnego dnia rozpoczęły się porannym nabożeństwem na Placu Marszałka Piłsudskiego (ryнку) połączonym z defiladą wojskową, w której uczestniczyli członkowie różnych organizacji młodzieżowych. Pochód miał przejść ulicą Wolności, gdzie przedstawicielom armii wręczono dar ufundowany przez Koło Związku Bytomiaków Huty „Pokój” – przyozdobiony okolicznościowo ciężki karabin maszynowy oraz samochód. Dalsze oficjalne świętowanie miało miejsce w Domu Ludowym, gdzie odbyły się dwie akademie – pierwsza o godzinie 16 dla wojska, druga o 19 dla ludności cywilnej.

W Chropoczwowie obchody rozpoczęły się nabożeństwem, uroczystą akademią i późniejszym złożeniem wieńca pod pomnikiem powstańców śląskich. Następnie miał się



Życie codzienne żołnierzy garnizonu górnośląskiego w okresie międzywojennym

odbyć tam koncert pieśni żołnierskiej odzwiercianej na płyt. Pomimo niesprzyjającej pogody święto spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem przez mieszkańców. Prasa relacjonująca obchody wspomina, iż w wydarzeniu mogło wziąć udział około dwóch tysięcy osób.

Obchody święta w Lublińcu również były rozłożone na dwa dni. 10 listopada udekorowano w barwy narodowe ulicami miasta miała przejąć defiladą wojskowa. Dzień później defiladę powtórzono, przy czym oprócz wojska uczestniczyli w niej członkowie cechów, organizacji zawodowych i młodzieżowych.

Obchody katowickie

Katowice były miejscem obchodów głównych, którym nadano najwyższą państwową wagę. Miasto zostało przyozdobione biało-czerwonymi flagami oraz draperiami. W oknach wystawiono portrety marszałka Piłsudskiego i gen. Edwarda Rydza-Śmigłego oraz podobizny Orła Białego. Uroczystości rozpoczęły się o godzinie 10 od nabożeństwa na stadionie Kościuszkim, przy czym wyraźny jest ścisły związek obrzędu religijnego ze świętem państwowym. Ołtarz otoczono sztandarami, symbolika narodowa była wszechobecna, a w pierwszym rzędzie zasiadali: wojewoda Michał Grażyński, dowódca 23 Górnośląskiej Dywizji Piechoty płk. Jan Jagmin-Sadowski oraz działacz niepodległościowy i wicemarszałek sejmiku Śląskiego Włodzimierz Dąbrowski. Po nabożeństwie udekorowano oficerów odznaczeniami i przekazano armii dar zebrany ze składek pracowników koncertów „Wspólnota Interesów” i „Robur” – samochód terenowy, dwa motocykle, dwa ciężkie karabiny maszynowe oraz 24 rowery. Następnie o godzinie 11 miał miejsce „odmarsz defilady” i przeniesienie uroczystości na Plac Marszałka Piłsudskiego, jak nazywano dzisiaj rynek, gdzie pod budynkiem teatru stała trybuna z barwami narodowymi, w której zasiadali przedstawiciele władz administracyjnych i państwowych (m.in. Grażyński), przedstawiciele organizacji społecznych, duchowieństwo, wojskowi. Odbyła się przed nią godzinna defilada, w której maszerowali żołnierze, członkowie organizacji młodzieżowych i urzędnicy państwowi. Wedle przekazów prasowych wydarzenie miało cieszyć się dużym zainteresowaniem mieszkańców, których do uczestnictwa nie zniechęcił padający od poprzedniego dnia ulewny deszcz. Dalsze uroczystości z udziałem najwyższych władz województwa przeniosły się do kasyna oficerskiego, gdzie przemówienia wygłosili wojewoda Grażyński i pułkownik Jagmin-Sadowski. Szeregowi żołnierze mogli uczestniczyć w akademii żołnierskiej zorganizowanej przez Polski Biały Krzyż, która odbyła się o godzinie 16 w teatrze, a cywile postuchać na rynku koncertu orkiestry wojskowej między godziną 16 a 18. Zakończeniem uroczystości państwowych było przedstawienie teatralne „Zygmunt August” wystawione w Teatrze im. Wyspiańskiego, poprzedzone odegraniem hymnu przez Orkiestrę

Symfoniczną Towarzystwa Muzyczne i przemową patriotyczną Władysława Dzięgiela. Co ciekawe, w informacjach prasowych o tym wydarzeniu wielokrotnie podkreślano, że ze względu na uroczysty państwowy charakter na przedstawieniu obowiązujący strój wieczorowy.

Oprócz działań państwowych w Katowicach miał miejsce szereg aktywności oddolnych nakierowanych na celebrowanie nowego święta. Dla przykładu – o godzinie 9 rano przed lokalem Zarządu Powiatowego na ulicy Stawowej 20 zebrał się ze sztandarami weterani powstań śląskich, po czym o godzinie 9:15 odmaszerowali w stronę stadionu Kościuszkim, by dołączyć do głównych obchodów święta niepodległości. Z kolei członkowie Okręgowego Związku Motocyklowego zebrał się o 8:30 przy ulicy Katowickiej 53, aby zmanifestować jedność z wojskiem. W prasie ukazały się też odezwy do członków Śląskiego Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki, by jak najliczniej wzięli udział w obchodach Święta Niepodległości w swoich miastach.

Ponadto właściciele radiodiodników mieli możliwość zapoznania się tego dnia ze specjalnym okolicznościowym programem Polskiego Radia, przeznaczonym do odsłuchu „indywidualnie i zbiorczo”. O 9 rano radio transmitowało nabożeństwo z Ostrej Bramy (Wilno), a o 10 koncert piosenek legionowej z Łodzi. Na 17 przewidziano odczyt fragmentów pism Józefa Piłsudskiego, z kolei o godzinie 18 odgrywano utwory Ignacego Paderewskiego. W trakcie dnia nadawano różne patriotyczne audycje poświęcone odrodzeniu Polski.

Podsumowanie

Spoglądając na pierwsze państwowe obchody święta niepodległości z perspektywy czasu, można dostrzec kilka widocznych elementów konstytuujących ramy wydarzenia. Święto miało charakter ściśle militarnystyczny, a wojsko było kluczowym uczestnikiem obchodów. Spora część obchodów sprowadzała się do manifestacji jedności z wojskiem oraz udzieleniu mu wsparcia symbolicznego lub materialnego w postaci darów. W wydarzeniu obec-



**Pod hasłem wzmożenia obronności państwa
Manifestacja solidarności młodego pokolenia z wojskiem**

MANIFESTACJA SOLIDARNOŚCI MŁODEGO POKOLENIA Z WOJSKIEM

W Katowicach, 11 listopada, w godzinach popołudniowych, w sali głównej, odbyła się manifestacja młodego pokolenia z wojskiem. Wzięli w niej udział wszyscy uczniowie szkół średnich i wyższych, w liczbie około pięciuset osób. W programie manifestacji wzięli udział wszyscy uczniowie szkół średnich i wyższych, w liczbie około pięciuset osób. W programie manifestacji wzięli udział wszyscy uczniowie szkół średnich i wyższych, w liczbie około pięciuset osób.



Przewrót w Brazylii

W Rio de Janeiro, 11 listopada, doszło do przewrotu wojskowego. Władza przejęta została przez wojsko. Władza przejęta została przez wojsko. Władza przejęta została przez wojsko. Władza przejęta została przez wojsko.

Nowy Jork, 11 listopada, wiadomości z Brazylii. Władza przejęta została przez wojsko. Władza przejęta została przez wojsko. Władza przejęta została przez wojsko. Władza przejęta została przez wojsko.

Strona tytułowa Dziennika Polska Zachodnia dokumentująca przebieg pierwszych państwowych obchodów 11 listopada w Katowicach

ne są też wprost wątki religijne. Obecność duchowych oraz powszechność okolicznościowych nabożeństw zdawały się podnosić rangę święta do quasi-religijnej. Organizatorzy obchodów kładli też bardzo duży nacisk na obecność organizacji młodzieżowych w trakcie obchodów. Z jednej strony miało to być manifestacją oddania sprawie polskiej osób młodych, z drugiej zapewne było postrzegane jako element patriotycznego przysposobienia młodzieży. Wreszcie w święcie zdecydowanie był widoczny ślad kultu jednostki – Józefa Piłsudskiego.

Państwowe święto niepodległości w II RP z całym ceremoniałem obchodzone było krótko. Zaledwie dwukrotnie – w roku 1937 i 1938. Obchody w 1939 roku zostały uniemożliwione przez napaść niemiecką na Polskę. Pod okupacją oficjalne świętowanie było niemożliwe, choć polskie podziemie niepodległościowe starało się przypominać, że Polska jeszcze nie upadła poprzez różne drobne akcje dywersyjne. W szczególności dla polskiej państwowości dzień. Po wojnie władze komunistyczne w miejsce 11 listopada ustanowiły nowe święto – Narodowe Święto Odrodzenia Polski obchodzone 22 lipca (rocznica ogłoszenia manifestu PKWN). Święto Niepodległości 11 listopada powróciło dopiero w 1989 roku, natomiast Święto Odrodzenia Polski zostało zniesione w 1990 roku.

Dziennik zdruzgotanego życia (4)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

I wszystko jest gorzej niż kiedykolwiek – pomyślała biedne dziecko – bo wtedy nie byłam taka mała jak teraz, nigdy!

I oświadczam, że to, co się dzieje, jest już na-
zbyt paskudne!

Lewis Carroll, „Przygody Alicji w Krainie Czarów” – tłum. Maciej Słomczyński

Tamtego marcowego dnia nie byłem w nastroju do internetowych rozmów o niczym, a tu nagle dość zaskakująca propozycja. – *Wojna szaleje na Ukrainie, a ludziom takie rzeczy w głowie.* – W mojej skrzynce na listy na społecznościowym portalu nieznana mi kobieta z Ukrainy proponuje znajomość. Pisze, że ktoś z jej otoczenia, będąc w Polsce, na Śląsku znalazł gdzieś moją książkę i przeczytał. Pięknie, ale co dalej? Coś tam o książce opowiedział, a pani znalazła mnie w internecie, gdzie wysledziła mój esej o ukraińskich pisarzach i zdobyła się na odwagę.

A dalej, to byłaby wdzięczna za możliwość wymiany myśli i poglądów, bo kiedy tak siedzi w schronie podczas alarmu, oderwałoby ją to od rzeczywistości, która nie jest zbyt radosna, za to przygnębiająco powtarzalna. Zrobiło mi się jakoś głupio; ja tu mieszkam, a ktoś w krańcowej sytuacji potrzebuje rozmowy. Jak tu odmówić? Nie jestem terapeutą, ale słuchać potrafię, w końcu to mój zawód.

Jeśli to będzie jakieś nic nieznaczące gaworzenie – trudno. Zawsze mogę się odłączyć. Nie mogłem odmówić, choć i nie mogłem powstrzymać się od zadania kilku pytań. Bo tak: Anna coś tam o mnie wiedziała, a ja o niej nic. Kiedy jednak napisała, że przed wojną uczyła literatury i języka, uznałem, że dalsze pytania nie mają sensu. Jest szansa, że będziemy nadawać na podobnych częstotliwościach.

Nie mogę też nie wspomnieć, że szybko przeszła na bardzo sprawny angielski, najwyraźniej nie wspomagany tłumaczem. Był to, jak sądzę, rezultat mojego kulawego rosyjskiego. A może nie tylko. Dziś muszę z pewnym zażenowaniem przyznać, że prowadzoną jeszcze w języku rosyjskim dyskusję na temat rosyjskich pisarzy potraktowałem jako test. Swoją drogą jestem ciekaw, czym Anna testowała mnie. Zresztą mniejsza o to. Ważne jest to, że po krótkiej wymianie smsów zaczęliśmy sobie wzajemnie ufać. I wtedy nadszedł czas na historię Anny:

Od czego mam zacząć? No tak, mam 38 lat i jestem nauczycielką języka ukraińskiego i literatury. Może i to brzmi dumnie, ale od wielu lat poświęcałam się pracy z najmłodszymi dziećmi. Mówiąc krótko pracowałam w przedszkolu. Jakoś tak się składało, że dzieci otaczały mnie przez całe życie. Te przedszkolaki i własne, których mam czworo, dwóch synów i dwie córki. Synowie są właściwie dorośli i to jest główny powód, dla którego nie opuszczam mojego kraju. Chłopcy nie mogą wyjechać za granicę. Przecież ich tu nie zostawię. Z drugiej strony tak sobie czasem myślę, że być może to swego rodzaju wykręt. Prawdziwy powód może być taki, że nie chcę opuścić miejsca, w którym się urodziłam, przeżyłam dzieciństwo i dorastałam. Wszystko, co mam w głowie i w sercu jest tutaj, w Dnieprze, na Ukrainie. Mam takie silne przekonanie, że człowiek spełnia się tam, gdzie się urodził. Być może to nie tyle rezultat przemyśleń, ile coś, co tkwi w mojej podświadomości, coś emocjonalnego. A zresztą, co za różnica? Jestem tu, i tyle. Jeśli ktoś uważa, że to dziwaczne, to jego problem. Aha, dręczy cię pytanie, ile we mnie typowej Ukrainki, a ile indywidualności, tej dzi-

wacności. To dość skomplikowane, tak mi się wydaje. Myślę, że czas przyniesie ci odpowiedź.

Może rzeczywiście tak będzie najlepiej. Kto wie, jakie jeszcze próby i rozterki czekają Annę. Wojna to zdarzenie o najbardziej nieprzewidywalnych skutkach. Wpływa na wszystkie poziomy osobowości, obraca wniwecz najbardziej solenne postanowienia. Jednak wiele cech Anny, które ujawniły się w trakcie naszej korespondencji, świadczy o jej sile i determinacji. Być może to właśnie jest typowe. Co do pozostałych, zgoda. Pozwólmy działać czasowi.

Początkowo nasza korespondencja była typowa dla internetowych znajomości.

Co dziś u ciebie?

Goście.

To miło.

No tak, ale potem trzeba sprzątać.

Ojej, facet się odezwał. My, kobiety, to robimy i bez gości. Ja codziennie.

OMG!

Żadne OMG. Dom ma być czysty. Zwłaszcza teraz.

Albo:

U nas dziś wiosna, a u ciebie?

Nie wiem.

Jak to, nie wiesz?

Od wczoraj siedzę z dziećmi w schronie. Alarm za alarmem.

Współczuję.

Dziękuję, ale twardo się trzymamy.

A dzieci?

Lepiej nie pytaj.

I tak zdanie po zdaniu, sms po smsie, w naszej znajomości zagościła wojna. Kiedy w korespondencji zdarzały się dłuższe, czasem kilkudniowe przerwy, odczuwałem coraz większy niepokój. Ta przeklęta wojna z medialnej abstrakcji stawała się dla mnie za sprawą Anny coraz bardziej rzeczywista. W mediach krew i znoj żołnierzy, ale przecież wojna to nie tylko to. Opisywanie zmagania frontowych to najważniejszy rozdział tej ponurej księgi, ale gdzie jest rozdział mówiący o trudnym życiu cywilów, o wysiłkach kobiet, by życie rodzinne uchronić przed zniszczeniem, gdzie jest mowa o rozpaczy tych matek, żon i dziewczyn, które co dnia drżą o życie swoich mężczyzn? Z pewnością ktoś prędzej czy później ten rozdział uzupełni. I nagle taka myśl pojawiła się w mojej głowie: jeśli los postawił na mojej drodze kogoś takiego jak Anna, to być może właśnie mnie jest pisane wraz z nią stworzyć choćby cząstkę tego rozdziału. Czy jednak Anna się zgodzi?

Nie zna medialnej kuchni, jest zajęta pracą i rodziną. Można ją przekonać, postanowiłem, ale jeśli będzie miała wątpliwości, namawiać jej nie będę. No cóż, skutki tej kluczowej rozmowy Czytelnicy mogą od kilku miesięcy obserwować. Inny skutek jest taki, że ta niby odległa wojenna rzeczywistość stała się do pewnego stopnia także moją rzeczywistością. Niektórzy powiadają, że świat internetowy nie istnieje; wystarczy jedno kliknięcie i człowiek wraca do siebie, do świata materialnego. Być może tak jest w świecie gier komputerowych, ale zapewniam, że to nie działa, kiedy po drugiej stronie jest człowiek, zwłaszcza taki, z którym łączy nas nić sympatii, nawet jeśli w realu nigdy się nie spotkaliśmy. Mój

kontakt z Anną trwa już ponad pół roku i od dawna nie jesteśmy dla siebie obcy. A zatem nic innego nam nie pozostaje, jak kontynuować ten dialog i mieć nadzieję, że wróci do dawnej formy i stanie się interesujący jedynie dla nas dwojga.

3.10.2022. *Dzień dobry. Posłuchaj, co mnie dziś obudziło...* (filmik z odgłosem potężnej eksplozji w niewielkiej odległości). *Tak, to było bardzo blisko, ale już staram się uspokoić. Tak czy inaczej muszę iść do pracy.*

Jestem już na miejscu. Teraz jest spokój, ale oni są całkowicie nieobliczalni. Tak właśnie jest; czasem są żałośnie śmieszni, a czasem potworni, straszni.

Ale popatrz, co pisze jakaś Rosjanka na rosyjskim blogu: „przyglądam się naszym żołnierzom, potem żołnierzom ukraińskim, i znowu naszym. Nie mogę pojąć, dlaczego nasi wojskowi wyglądają jak menele? Natomiast ukraińscy to bogowie wojny. Cały testosteron tej planety najwidoczniej zgromadził się w ukraińskim wojsku”. Fajne, nie?

Właśnie się dowiedziałam, że naszym udało się wdrzeć w administracyjne granice samozwańczej tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej. Oblegają Lisiczańsk. Jeśli zajmiemy tereny tych dwóch samozwańczych republik, Donieckiej i Ługańskiej, to będzie wielkie zwycięstwo.

Pod wieczór Anna pisze, że dzień minął wyjątkowo spokojnie. Życzę jej równie spokojnej nocy i... zapeszam.

4.10. *Cholera!!! Wybuch w sąsiedztwie. Na szczęście dość daleko. I następny. Nasza obrona przeciwrakietowa jakoś nie nadąża. Pieprzę ich! Idę do łóżka.*

5.10. *Słyszałeś o takiej bzdurze? Putin podpisał dekret o włączeniu elektrowni w Zaporozu do zasobów Federacji. Co ona ma w głowie!? Inna rzecz, o której być może słyszałeś: stworzyliśmy gorącą linię telefoniczną o nazwie „chcę żyć” dla rosyjskich żołnierzy, którzy chcieliby się poddać. Wyobraź sobie, że zadzwoniło ich już ponad 2000.*

Media określają sytuację na froncie jako dynamiczną. Ukraina w natarciu, mówiąc normalnym językiem. Anna się cieszy, ale jednocześnie nadal czuje się zagrożona, bo jej miasto, jak i wiele innych, nadal jest w zasięgu rosyjskich rakiet.

6.10. *Pracuję dziś na nocną zmianę. Dzień był wyjątkowo spokojny. Trochę spałam, ale musiałam też zająć się domowymi obowiązkami. Wartość pieniądza spada i muszę się ciężko napracować, żeby związać koniec z końcem. Optymizm? Tak, żebyś wiedział, że to tutaj działa. Najważniejsze dla nas to wygrać tę wojnę tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli zachodni wojskowi twierdzą, że Rosja dostaje największe cięgi od czasu pierwszych miesięcy niemieckiej agresji w 1941 roku, to mamy podstawy do optymizmu, czyż nie?*



7.10. *Wracam z pracy do domu. Nagle syrena. Dziś ten potwór Putin obchodzi urodziny. Spodziewamy się ostrzału.*

Po południu wymiana przedweekendowych uprzejmości, ale żadnej wzmianki o ostrzale. Mam nadzieję, że piątek Annie minął spokojnie. W mediach informacja o odzyskaniu przez Ukraińców Kremlinogrodu.

8.10. *Cały kraj obudził się dziś rano w radosnym nastroju; sabotażyści wysadzili w powietrze most Krymski. Dzień minął spokojnie, ale to noc zawsze jest dla nas pełna lęku. Oby tym razem nie była.*

Rzeczywiście, ta noc minęła Annie spokojnie, ale w Zaporozu było strasznie.

9.10. *Jestem dziś w pracy. Często słysząc syreny. Nie było dotychczas żadnych wybuchów, w każdym razie nie w pobliżu nas, ale wykryto nad miastem liczne drony-kamikadze. Spokojnie. Nie ma, jak na razie, powodu do niepokoju. Wszystko będzie dobrze.*

Dziś nadchodzą hojbowe wieści. Intensywny ostrzał rakietowy Kijowa, Dnipro i kilku innych miast. Ludzie wysyłają w internecie przerażające filmy; dziewczynka zaskoczona bardzo bliskim wybuchem rakiety, kierowca hamujący przed seria eksplozji na skrzyżowaniu dróg osiedla mieszkaniowego, opatrywani ranni, spalone samochody i autobusy, ogromny lej w miejscu placu zabaw. Dzień horroru. Dzień zemsty za most na Krymie, zemsty na cywilach, na niezbędnej do życia infrastrukturze. Dżingis Chan powrócił, sięgając groźą i zniszczeniem.

10.10. *Jestem w pracy. Trwa zmasowany atak rakietowy na terenie całej Ukrainy! Wiedzieliśmy, że prędzej czy później to nastąpi. Krymski Most to był z punktu widzenia Rosjan cios poniżej pasa. Wiem, wiem. Już pożarli się między sobą, ale zawsze będą zwałać na nas winę za wszystkie swoje porażki. No przecież wiem, że nie możesz mi teraz zapewnić bezpieczeństwa. I nie nazywaj tego, co do mnie piszesz czczym gadaniem. To naprawdę dla mnie wiele znaczy.*

No niech to jasny szlag! Już siedem wybuchów w pobliżu. Jak tu pracować? No powiedz, jak? A poza tym to debile. Trafili w Kijowie w kładkę dla pieszych i ogłosili zniszczenie strategicznego mostu. Śmiechu warte. Czysty idiotyzm!!! Nasz mer dziś powiedział: „Dzisiejszy dzień przypomina mi 24 lutego. Ale w nas nie ma już strachu; jest nienawiść i pragnienie walki”. Zgadzam się z nim absolutnie. A teraz jakoś się uspokoiło.

(Wieczorem). Boję się nocy. Ulice w całym mieście są ciemne i to powiększa mój lęk. Przypnam ci się, że wypita trochę whisky jednym haustem. Cholera! Jak mam się pozbyć tego strachu? Jestem już trochę pijana, ale może tak się łatwiej umiera. Piszesz, że nie pozbędę się ciebie tak łatwo. No, ty to masz szczególne poczucie humoru.

11.10. *Hej, dzień dobry. U mnie wszystko w porządku, mam dziś wolny dzień. Tylko moja głowa... Boże, zmiłuj się. Chyba słusznie piszesz, że alkohol wypity bez ciebie szkodzi podwójnie. Gdybyśmy razem wypili to, co ja wypitał wczoraj sama, byłoby wszystko w porządku.*

Jeden z portali informacyjnych pokazuje zdjęcie ulicy Kalinowej w Dnipro zaraz po wczorajszym ostrzale i dziś, kiedy w ciągu nocy zasypano dziury i położono świeży asfalt. – Tania propaganda – ktoś powie. A może by tak mieszkańców ulicy Kalinowej zapytać, czy uważają to za propagandę. Nie znam nikogo z Kalinowej, ale zawsze można zapytać Annę.

12.10. *Dzień dobry, miły. Noc minęła nam spokojnie, ale od godziny 5 rano syreny nie dały nam spać. Wczoraj oglądaliśmy mecz Szachtara w Warszawie. To, co zrobili polscy kibice*

było dla nas piękne i wzruszające. Te barwy naszych dwu narodów uformowane z ludzi... no po prostu nie mam słów. A teraz popatrz na to – drony-kamikadze nad naszym miastem na naszym pięknym niebie. Ale pieprzyć je. Mam nadzieję, że zaraz je zestrzelą.

Gdzieś przeczytałam, co ktoś napisał o Rosjanach: „W 2014 roku przekonaliśmy się, że nie są braćmi, w 2022 możemy stwierdzić, że nie są nawet ludźmi”. Sami zapracowali sobie na taką nienawiść. Właśnie wydali swoją mapę zawierającą zaanektowane terytoria. Cholerni durnie! Taaak, to też słyszałam, że któryś z nich powiedział, że Polska właściwie istnieje nielegalnie, bo traktat rozbiorowy nie został nigdy unieważniony. Genialne – cofamy się do XVIII wieku. Możemy też cofnąć się do wielu XI, kiedy Moskwa była jedną z wielu osad na terenie jednego z dzielnicowych księstw Rusi, jakimś zupełnym zadupiem. Im się wydaje, że nikt nie zna historii. Otóż bardzo się mylą.

A w szerokim świecie deklaracje polityków i zabiegi Putina, by Rosja była Rosją, jego Rosją. I nieustające alarmy i ostrzały raketowe niemal na całym terytorium Ukrainy. Anna jakos dzisiaj milczy. Ale bądźmy dobrej myśli.

13./14.10. Dzięki Bogu mieliśmy dziś spokojny dzień. Pracuję na nocną zmianę. Oby noc była równie spokojna. Oglądam w internecie filmik z punktu zbornego rosyjskich poborowych. Wszyscy pijani w trupa – śpią na podłodze albo się czołgają do łóżek. A jutro na front? Śmiechu warte. Aha, jutro mamy święto – Dzień Ukraińskiego Kozaka i Obrońcy Ojczyzny. Oj, obawiam się „serdecznych” gratulacji z tamtej strony.

Oh, minęła północ i zaczynają. Jednak nasza obrona nie śpi. Zestrzeliwiają te rakiety. A teraz jakby trochę się uspokoiło, chociaż syreny wciąż się odzywają. Jednak na razie wybuchów nie słychać.

15.10. Dziś alarm dla całego kraju. I tak już któryś dzień. Wystrzeliwiają rakiety z Morza Kaspijskiego. Też bym chciała, żeby im nagle w cholere wyszło.

Tymczasem Ukraińcy posuwają się naprzód. Kolejnych kilka miejscowości zostało wyzwolonych. A my korzystamy z sobotniego spokoju i wymieniamy uprzejmości i dowcipy. Oto ten, który zdawał się szczególnie ubawić Annę: – Co tam, Sioma, w naszej pięknej Odessie? – Ciągle to samo, Monia; Rosjanie walczą z NATO. – Jakie efekty? – Ano stracili kilkadziesiąt tysięcy ludzi, kilkaset czołgów i sporo innego drobiazgu. – A NATO? – Monia, a skąd mam wiedzieć? Jeszcze się tu nie pokazało.

Uwielbiam dowcipy odeskich Żydów.

16.10. W naszym mieście dziś spokojnie, jestem w pracy. Jednak na inne miasta spadają rakiety. Zaporże, Nikopol, Mikolajów – tam się dzieją straszne rzeczy.

A tak w ogóle to ostrzały całego terytorium Ukrainy stały się już regułą.

17.10. Miałam do ciebie napisać wieczorem, ale byłam tak

zmęczona, że zasnęłam z telefonem w ręku. Dziś obudziły mnie syreny. I zaraz kilka wybuchów w pobliżu miasta. A potem wiadomość o ataku dronów kamikadze na Kijów. Spod gruzów budynku wydobyto 18 osób. Na razie nie wiadomo, czy to wszyscy i jaki jest ich stan.

18.10. Od rana bombardowanie i ostrzał. Zdaje się, że trafili w naszą elektrownię. Być może będziemy bez światła i internetu. Ale nie martw się. W tej chwili jestem bezpieczna. Staram się zgromadzić zapasy wody, póki jeszcze jest. A tak swoją drogą brakuje mi już dla tych raszystów określeń. Matkojebcy ani kozojebcy już mi nie wystarczą. Odkurzaczojebcy? Kupuję.

A teraz żarty na bok. Zniszczyli nam 30% mocy energetycznych. U nas także trafili w elektrownię i duża część Dnipro jest bez prądu i bez wody. Cholerni terroryści! Modłę się przede wszystkim o to, żeby nie brakowało prądu. Po pierwsze, to mamy w domu ogrzewanie elektryczne. W zimie po prostu pozamarzamy. Po drugie, tracę pracę. Zimnem i głodem chcą nas złamać.

Przed nami kolejna noc. Anna od południa milczy, a wieści są niepokojące; pod wieczór ogłoszono alarmy dla dużej części Ukrainy, w tym dla okręgu Dnipro. Prawdziwą plagą stają się drony.

19.10. Witaj, mój drogi. Wczoraj był bardzo trudny dzień. No, wiesz... rakiety, brak prądu i wody. Dziś będę cały dzień w pracy. Na razie jest u nas w miarę spokojnie.

W mediach informacje o rosyjskim dowódcy wojskowym, odpowiedzialnym za zbrodnicze ostrzały cywilnej struktury ukraińskich miast. Niezbyt ciekawy życiorys. Gen. Surowikow opierał, jak się wydaje, swoją karierę na politycznych układach, dzieląc czas między odsiadki i awanse. Jego udział w walkach w Syrii pokazuje, jak bardzo jest bezwzględny żołnierzem; od tamtego czasu ociera się o zarzuty o zbrodnie przeciwko ludzkości. Jego styl dowodzenia na Ukrainie coraz bardziej te zarzuty uprawdopodobnia.

20.10. ???!!!

Od wczorajszego rana cisza. Nie ma kontaktu z Anną. Brak prądu, internetu, kłopoty z komórką? Mam nadzieję, że tylko to, i na krótko, chociaż i tak ta cisza trwa zbyt długo. Tylko bez paniki. Przecież to się już zdarzało. Trzeba śledzić doniesienia mediów.

21.10. Przepraszam, mój drogi, ale wczorajszy dzień to było prawdziwe szaleństwo. Alarm za alarmem, syreny, wybuchy, go-dziny bez prądu. Nie dało się nawet pracować. Powiadam ci, że już nie wytrzymuję tego nieustającego teatru absurdu. Staram się, jak tylko mogę, nie ulegać depresji, ale uwierz mi, że staje się to dla mnie coraz trudniejsze. Teraz wybieram się do pracy i mam nadzieję, że znowu nie wyłączą nam prądu. Nie pomaga mi także to, że życie staje się tu coraz droższe. Ceny rosną w przerażającym tempie w przeciwieństwie do zarobków. Tuzin jaj kosztuje 100 hrywien. Podrożały od wybuchu wojny pięciokrotnie! Z innymi produktami rzecz ma się podobnie. Jak tu żyć? Boże, kiedy ta pieprzona wojna się skończy? Czasem wydaje mi się, że jestem na krawędzi szaleństwa. Naprawdę, dłużej już tego nie wytrzymam. Ale przecież muszę.

Jesteśmy przerażeni sytuacją w Kachowce. Jeśli wysadzą zapórę, to będzie katastrofa, a zrobią to tylko po to, żeby usprawiedliwić wycofanie się z rejonu Chersonia. Poza tym, o czym wszyscy już wiedzą na całym świecie, nas oskarżą o ten idiotyzm. Nawet nie próbuj tego zrozumieć. To dzieło chorych umysłów. Wcale mnie nie dziwi, że czytając o ich wybrykach, sam zastanawiasz się nad sobą, ale lepiej daj sobie z tym spokój. To są rzeczy niewytłumaczalne, a ja wolałabym nie korespondować z pacjentem domu bez klamek.



Lew Tołstoj *O śmierci*

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ MARIAN KISIEL

Życie z niepamięcią o śmierci i życie ze świadomością stałego zbliżania się do śmierci to dwa całkowicie odmienne stany.

1

Łatwiej jest znieść śmierć bez myśli o niej, niż myśleć o śmierci bez niebezpieczeństwa.

Pascal

2

Im bardziej życie przenosi się ze sfery cielesnej do sfery duchowej, tym mniejszy jest lęk przed śmiercią. Człowiek żyjący życiem w pełni duchowym, nie zna takiego lęku.

3

Gdy masz głęboką pewność i wiesz, że za godzinę będziesz musiał odrzucić swoją zewnętrzną powłokę, swoje ciało, czyli umrzeć, łatwiej jest ci być sprawiedliwym i w prawdzie, łatwiej jest ci poddać się swojemu przeznaczeniu. Myśl tylko o tym, jak nie odstąpić od prawdy w każdej dzisiejszej sprawie i jak pokornie znosić to, co jest przed tobą. Żyj w ten sposób, a nie tylko nie będą cię dotykać plotki, obmowy i opinie, ale nawet nie będziesz myślał o nich, a wszystkie kłopoty, jakie mogą cię spotkać, wydadzą ci się nieważne, ponieważ żyjąc w ten sposób, wszystkie twoje pragnienia połączą się w jedno – w wypełnienie woli Boga. A to zawsze możesz zrobić.

z Marka Aureliusza.

4

Myśl częściej o śmierci i żyj tak, jakbyś wiedział, że wkrótce musisz umrzeć.

Jakkolwiek masz wątpliwości, co czynić, wyobraź sobie, że umrzesz wieczorem, a twoje wątpliwości natychmiast się rozwijają; od razu stanie się jasne, co jest sprawą obowiązku, a co osobistym pragnieniem.

5

Myśl o bliskości śmierci rozkłada wszystkie nasze działania według stopnia ich prawdziwego znaczenia dla naszego życia. Skazany na natychmiastową egzekucję nie będzie troszczył się o powiększenie czy zachowanie swojego majątku, ani o pozostawienie po sobie dobrej sławy, ani o zwycięstwo swojego narodu nad innymi, ani o odkrycie nowej planety itd., ale na chwilę przed śmiercią będzie starał się pocieszyć zasmuconego, podnieść upadłego starca, zabandażować ranę, naprawić dziecku zabawkę...

6

Lubię swój ogród, lubię czytać książkę, lubię pieścić dzieci. Umierając, pozbawiam się tego, dlatego nie chcę umierać i boję się śmierci.

Może się zdarzyć, że całe moje życie składa się z takich chwilowych, światowych pragnień i ich zaspokajania. Jeśli tak jest, to nie powinienem bać się tego, co powstrzymuje te pragnienia. Ale jeśli te pragnienia i ich zaspokojenie zmieniły się we mnie i zostały zastąpione innym pragnieniem – wypełniania woli Boga, oddania się mu w takim stanie, w jaki jestem teraz i we wszystkich możliwych stanach, w jakich będę, to im bardziej moja wola jest zastąpiona wolą Boga, tym nie tylko mniej śmierć mnie przeraża, ale tym mniej śmierć dla mnie istnieje. A jeśli moje pragnienia dobra mojej osoby zostaną całkowicie zastąpione pragnieniem wypełnienia woli Bożej, to nie będzie dla mnie nic poza życiem.

Zastępowanie tego, co doczesne, tym, co wieczne, to droga życia, i po niej należy iść. Ale jak? – Każdy z nas wie o tym w swojej duszy.

Pamiętać o śmierci to żyć bez myśli o niej. Nie należy pamiętać o śmierci, ale żyć spokojnie, radośnie, ze świadomością jej stałego zbliżania się.

*

Lęk przed śmiercią nie jest właściwy istocie rozumnej. Lęk przed śmiercią jest w człowieku świadomością grzechu.

1

Zwierzę nie przewidzi zbliżającej się śmierci i dlatego nie zna strachu przed nią. Człowiek natomiast często boi się śmierci. Czy posiadanie przez człowieka rozumu, który odkrywa przed nim nieuchronność śmierci, pogarsza, w porównaniu ze zwierzęciem, jego pozycję? Byłoby tak, gdyby człowiek używał swojego rozumu do przewidywania śmierci, a nie do polepszania swojego życia. Im bardziej człowiek żyje życiem duchowym, tym mniej jest mu straszny lęk przed śmiercią. Jeśli człowiek żyje swoim życiem duchowym, śmierć wcale nie jest mu straszna. Śmierć jest dla niego tylko uwolnieniem ducha z ciała. On wie, że to, czym żyje, nie może zostać zniszczone.

2

Nie żyje ten, kto lęka się śmierci.

Johann Gottfried Seume

3

Nic tak nie potwierdza niezniszczalności, ponadczasowości naszego życia, nic tak nie sprzyja spokojnemu przyjęciu śmierci, jak myśl o tym, że umierając, wchodzimy nie w nowy stan, lecz tylko wracamy do tego, w którym byliśmy przed narodzinami. Nie możemy nawet powiedzieć: „byliśmy”, ponieważ ten stan jest dla nas tak samo własny, jak ten, w którym jesteśmy tu i teraz.

4

Śmierć jest największą i najbardziej ostatnią zmianą w organizmie. Zmian w naszych ciałach wszyscy doświadczaliśmy i doświadczamy teraz: najpierw byliśmy nagimi bryłkami mięsa, potem staliśmy się niemowlętami, potem wyrosły nam włosy i zęby, potem zęby wypadły i wyrosły nowe, potem staliśmy się siwi i łysi.

I nie baliśmy się tych wszystkich zmian. Dlaczego więc boimy się ostatniej zmiany? Albowiem nikt nie powiedział nam, co się z nim stało po zmianie. Ale przecież nikt nie powie o człowieku, jeśli odjechał i nie pisze do nas, że go już nie ma, a tylko że nie mamy od niego wiadomości. To samo dotyczy zmarłych: to, że nie wiemy, co będzie z nami po śmierci, jak również to, co było z nami przed naszym życiem, pokazuje tylko to, że nie jest nam dane wiedzieć, bo nie potrzebujemy wiedzieć. Jedno wiemy, że nasze życie nie polega na zmianach ciała, ale na tym, co w tym ciele żyje. A żyje w nim istota duchowa, a dla istoty duchowej nie ma początku i końca, bo dla niej czas nie istnieje.

5

Sokrates powiedział, że jeśli śmierć jest takim samym stanem, jak ten, w jakim znajdujemy się, kiedy śpimy, tracąc wszelką świadomość życia, to wszyscy wiemy, że w tym stanie nie

ma nic strasznego. Jeśli natomiast śmierć jest przejściem do lepszego życia, jak sądzi wielu ludzi, to śmierć nie jest złem, lecz dobrem.

Śmierć jest prawdziwsza niż jutrzejszy dzień, niż noc po dniu, zima po lecie. Dlaczego przygotowujemy się do jutrzejszego dnia, do nocy, do zimy, ale nie przygotowujemy się do śmierci? Musimy się do niej przygotować. A przygotowanie do śmierci jest tylko jedno — dobre życie. Im lepsze życie, tym mniej straszna śmierć i tym łżejsza śmierć. Dla świętego śmierć nie istnieje.

*
Kiedy umieramy, może nastąpić tylko jedno z dwojga: albo to, czym jestem, przejdzie w inny odrębny byt, albo przestanę być odrębnym bytem i połączę się z Bogiem. To czy to – w obu przypadkach będzie dobrem.

1
Jeśli życie jest snem, a śmierć – przebudzeniem, to wtedy to, że widzę siebie odłączonego od wszelkiego jestestwa, jest widzeniem sennym.

z Schopenhauera

2
Śmierć jest zniszczeniem tego ciała, przez które postrzegałem świat taki, jaki jawi się w tym życiu; jest zniszczeniem tego szkła, przez które patrzyłem. Czy zostanie ono zastąpione innym, czy to, co patrzyło przez okno, zleje się ze wszystkim – nie możemy wiedzieć.

3
Pewna granica życia musi istnieć i tak samo, jak płydy drzew i ziemi, tak samo, jak pory roku, wszystko musi się zacząć, trwać i przemijać. Mądrzy ludzie są posłuszni temu porządkowi.

Cycon

4
Na pytanie, czy ja, ja – oddzielony od świata – będę żył po śmierci, na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź: jeśli lepiej, żeby oddzielne życie trwało po śmierci, to będzie trwało; jeśli jednak nie lepiej, to ustanie.

Wszystko co wiem o Bogu każe mi wierzyć w to, że to co zrobił – jest dla nas najlepsze.

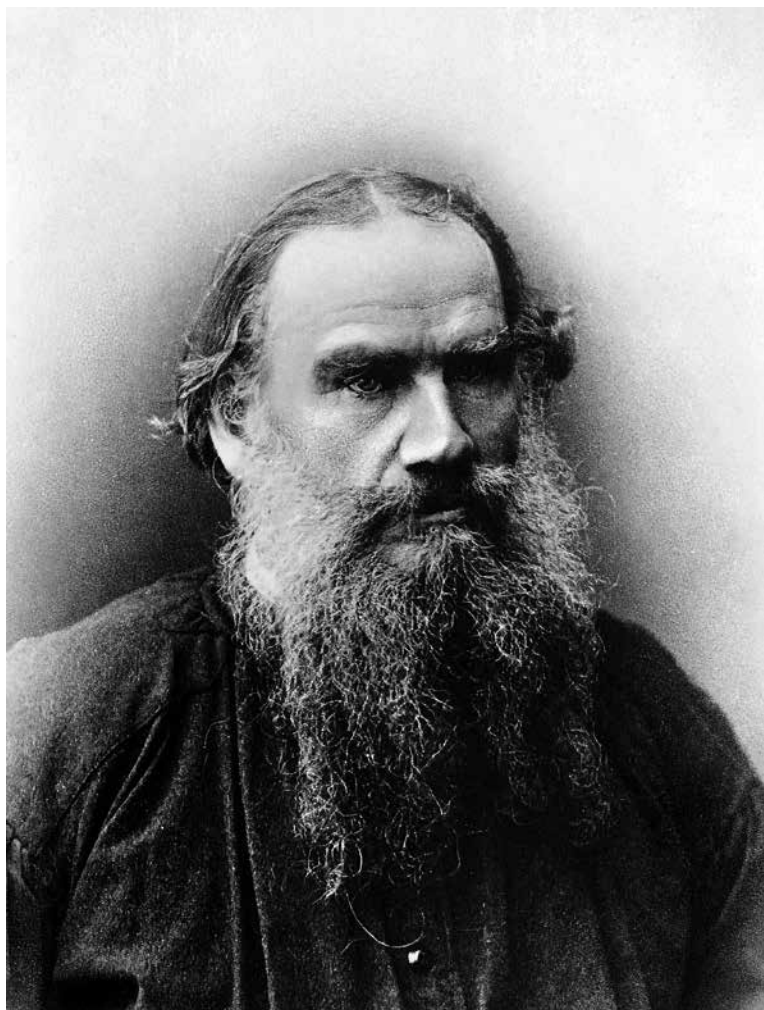
z Emersona

5
Śmierć tak łatwo wybawia od wszelkich trudności i nieszczęść, że ludzie, którzy nie wierzą w nieśmiertelność, powinni jej pragnąć. Natomiast ludzie wierzący w nieśmiertelność, oczekujący nowego życia, powinni pragnąć jej jeszcze bardziej. Jeśli jedni i drudzy tego nie pragną, to tylko dlatego, że w umieraniu ludzie cierpią. Cierpienie powstrzymuje ludzi od śmierci.

6
Nikt nie wie, czym jest śmierć, złem czy dobrem. Ale wszyscy ludzie boją się jej, jakby dokładnie wiedzieli, że jest złem.

Platon

7
Nawet jeśli człowiek wie, że kiedy zabrzmi grom, to piorun już uderzył i dlatego grom nie może zabić, a mimo to jest on przerażony gromem. Tak samo jest ze śmiercią. Jeśli na-



wet wiemy, że śmierć cielesna niszczy tylko ciało, ale nie życie ducha, to i tak nie możemy się jej nie bać. Niemniej człowiek oświecony, pokonawszy w sobie ten lęk, pamięta, że jego życie nie mieści się w ciele, lecz w duchu; nieoświeconemu zaś człowiekowi wydaje się, że ze śmiercią wszystko ginie, i tak się jej boi i chowa przed nią, jak głupi człowiek chowa się przed uderzeniem pioruna, podczas gdy to uderzenie nie może go zabić.

Należy żyć tak, żeby nie bać się śmierci i jej nie pragnąć.

*
Życie jest stałym zbliżaniem się do śmierci i dlatego może być ono dobrem tylko wtedy, kiedy śmierć nie jawi się jako zło.

1
Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt lub, gdy jesteśmy silni, osiemdziesiąt; ale większość z nich to trud i marność, bo szybko mijają, my zaś odlatujemy.

Ps 90, 10.

2
Kiedy jesteśmy w pełni sił i władz rozumu, myślimy o ludziach i o najdrobniejszych sprawach, tylko nie o Bogu; jak gdyby przywoitość i obyczaj wymagały, żebyśmy myśleli o Bogu tylko wtedy, kiedy jesteśmy pozbawieni rozumu na tyle, żeby przyznać, że już nad nim nie panujemy.

Jean de La Bruyère

3
Wyobraźcie sobie gromadę ludzi w łańcuchach. Wszyscy są

przygotowani na śmierć i codziennie jeden z nich umiera na oczach innych. Ci, którzy pozostają, patrząc na umierających i oczekujących na swoją kolej, widzą swój własny los.

Jak powinni żyć ludzie, którzy znaleźli się w podobnym położeniu? Czy powinni zająć się biciem, męceniem i wzajemnym zabijaniem? Najbardziej niegodziwi rozbójnicy nie będą w takim położeniu wyrządzać sobie krzywdy. A przecież wszyscy ludzie znajdują się w takim położeniu – i jak się zachowują?

z Pascala

4

Widzimy jak człowiek, zajmujący ważne stanowisko, upada i wnet umiera; jak inny, mimowolnie odchodząc, wyraźnie słabnie z każdym dniem, aż w końcu gaśnie. Takie zdarzenia, zaskakujące przecież, pozostają niezauważone, niktogo nie dotykają. Ludzie nie zwracają na nie większej uwagi niż na więdnący kwiat, czy opadający liść. Zazdroszczą pozostawionych miejsc albo zastanawiają się, czy są już zajęte i przez kogo.

Jean de La Bruyère

5

„Tutaj zamieszkam w porze deszczu, tam zamieszkam latem”. Tak marzy obłąkany i nie myśli o śmierci, a ona nagle przychodzi i zabiera go zajętego sobą, samolubnego, roztargnionego.

Ani syn, ani ojciec, ani krewni i bliźni – nikt nie pomoże nam, kiedy śmierć nas porazi; dobry i mądry, uświadomiwszy sobie jej znaczenie, oczyszcza drogę wiodącą do uspokojenia.

Mądrość buddyjska

6

Człowiek przychodzi na świat z zaciśniętymi dłońmi, jakby chciał powiedzieć: cały świat jest mój, a odchodzi z niego z otwartymi dłońmi, jakby chciał powiedzieć: patrzcie, nic z sobą nie zabieram.

Talmud

7

I opowiedział im [Chrystus] przypowieść: „Pewnemu zamownemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał sam w sobie: Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów. I rzekł: Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra. I powiem sobie: Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i używaj! Lecz Bóg rzekł do niego: Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?”

Łk 12,16–20.

8

„Do mnie należą ci synowie, do mnie należą te bogactwa” — to są myśli szaleńca. Jakże mogą synowie i bogactwa należeć do niego, skoro on sam nie należy do siebie?

Mądrość buddyjska

9

Beztrąsko zmierzamy w przepaść, trzymając przed sobą coś, co widzieć jej nam nie pozwala.

Pascal

10

Żyj tak, jakbyś za chwilę miał się pożegnać z życiem, jakby czas, który ci pozostał, był nieoczekiwanym podarunkiem.

Marek Aureliusz

11

Całe twoje życie jest maleńką cząstką nieskończonego czasu. Zadbaj więc o to, by wykorzystać je najlepiej, jak można.

Syed Ahmed Khan

Pamiętaj, że nie żyjesz na świecie, ale przechodzisz przez świat.

*

Śmiercią nazywamy i samo zniszczenie życia, i minuty lub godziny umierania. Pierwsze jest poza naszą władzą, natomiast drugie, umieranie, jest ostatnim i najważniejszym dziełem życia.

1

Śmierć może być zgodą, a więc aktem moralnym. Zwierzę zdycha, człowiek powinien oddać duszę swojemu stwórcy.

Amiel

2

Wielkim słowem, przypisywanym Chrystusowi, jest jego modlitwa przed śmiercią za tych, którzy nie wiedzą, co czynią.

3

Słowa i czyny umierającego mają wielką władzę nad ludźmi. I dlatego tak samo, jak ważne jest, by dobrze żyć, równie ważne jest, by dobrze umrzeć. Głupia, niepokorna śmierć osłabia wpływ dobrego życia; dobra, pokorna, mocna śmierć odkupuje głupie życie.

4

Kiedy z jednej dekoracji przenieść się w inną, widać, że to, co uważaliśmy za rzeczywistość, jest tylko przedstawieniem. Tak samo w chwili śmierci człowiek powinien zobaczyć, co było rzeczywistością, a co dekoracją.

5

Umierający z trudem rozumie żyjących, ale czuje, że nie rozumie ich nie dlatego, że brakuje mu siły rozumienia, ale dlatego, że rozumie coś innego, czego żyjący nie rozumieją i nie mogą zrozumieć, a co jego pochłania w całości.

6

W chwili śmierci człowieka świeca, przy której czytał książkę pełną niepokoju, kłamstwa, smutku i zła, płonie jaśniej niż kiedykolwiek, oświetla mu to wszystko to, co przedtem było w ciemności, skwierczy, blednie i na zawsze gaśnie.

7

To, co umiera, po części należy już do wieczności. Zdaje się, że umierający mówi do nas zza grobu. To, co mówi do nas, wydaje nam się nakazem. Wyobrażamy go sobie jako proroka. To oczywiste, że dla tego, kto czuje odchodzące życie i otwierającą się trumnę, nadszedł czas na znaczące wystąpienia. Istota jego natury musi się ujawnić. Boskość, która jest w nim, nie może być dłużej ukryta.

Amiel

Przygotować się do śmierci nie w tym znaczeniu, iżby zwyczajnie rozumieć przygotowanie, uważając tę gotowość za wykonanie obrzędów albo troskę o sprawy ziemskie, ale przygotować się do tego, iżby jak najlepiej umrzeć, to znaczy – cieszyć się tymi uroczystymi chwilami śmierci, w czasie których człowiek już znajduje jakby w innym świecie, a jego słowa i jego czyny otrzymują szczególną władzę nad tymi, którzy pozostali.

*

Pamięć o śmierci uczy człowieka wybierać do zrobienia takie rzeczy, które zawsze są skończone. I są to rzeczy najbardziej potrzebne.

1 Mówi się, że w człowieku jest szczególnie silna chęć zachowania życia. To prawda. Jednak duża część tego pragnienia była przez niego pielęgnowana. W naturze człowieka leży troska o zachowanie życia tylko w takim zakresie, w jakim ma na to środki. Gdy tylko czuje się pozbawiony tych środków, uspokaja się i przestaje bezużytecznie cierpieć. Sposoby podporządkowania zostały nam dane przez samą naturę. Dzicy, podobnie jak zwierzęta, nie walczą ze śmiercią i znoszą ją bez skargi. Kiedy ten sposób zostanie utracony, ustanawia się inny, który pochodzi z umysłu, ale bardzo niewiele robi z niego użytek.

Rousseau

2 Przecież wnet umrzesz! A mimo to nie umiesz uwolnić się od uprzedzeń i namiętności, nie umiesz pozbyć się podejrzeń, że świat zewnętrzny ci szkodzi, nie umiesz okazać delikatności innym.

Marek Aureliusz

3 Człowiek rozsądny częściej myśli o życiu niż o śmierci.

Spinoza

4 Duch nie zna śmierci i dlatego człowiek, który żyje życiem duchowym, jest wolny od śmierci.

5 Jeśli chcesz bez lęku przyzwyczać się do myślenia o śmierci, spróbuj przyjrzeć się uważnie i żywo wejść w sytuację tych ludzi, którzy całkowicie przywiązani byli do życia. Wydawało im się, że śmierć spotkała ich przedwcześnie. Tymczasem najbardziej długoletni, którzy pochowali wielu, wreszcie umarli. Jakże krótki jest odstęp czasu, jak wiele smutku i zła można w nim zawrzeć i jak krucho jest naczynie życia! Czy należy mówić o tej chwili! Pomyśl – za tobą jest wieczność, przed tobą także wieczność. Pomiedzy tymi dwoma otchłaniami, jaka może być dla ciebie różnica, czy przeżyjesz trzy dni, czy trzy wieki?

Marek Aureliusz

6 Wymuszanie utrudnia wolność, a wymuszanie pochodzi od odkładania. Umieć być gotowym, to umieć kończyć. Nic nie zrobiono, czego nie skończono. Sprawy, które pozostawiamy niezakończonym, nagle wyrastają przed nami i utrudniają nam drogę. Niech każdy nasz dzień będzie wypełniony sprawami, które nas dotyczą, wyczyścimy swoje sprawy, zajmijmy się kolejnym dniem, a wtedy zawsze będziemy gotowi. Być gotowym to w istocie być zdolnym do śmierci.

Amiel

7 Często mówią: „Nie mam już na co liczyć, pora mi umierać”. Co nie dało się zrobić, bo pora umierać, nigdy nie było do zrobienia. Jest jednak praca, która zawsze jest potrzebna, a im bliżej śmierci, tym bardziej jest potrzebna – to praca duszy: wzrastania, pielęgnowania duszy.

8 Za każdym razem, kiedy stajesz przed dylematem: Postąpić tak czy inaczej? — zadaj sobie pytanie, jak byś postąpił, gdybyś wiedział, że umrzesz wieczorem, a nikt nigdy nie dowiedziałby się, jak postąpiłeś.

Śmierć uczy ludzi, jak kończyć swoje sprawy. Ze wszystkich zaś tylko jedna jest zawsze w pełni zakończona – to sprawa miłości, która nie oczekuje nagrody.

Jeśli człowiek jest tylko istotą cielesną, to śmierć jest końcem wszystkiego. Jeśli zaś człowiek jest istotą duchową, a ciało jest tylko ograniczeniem istoty duchowej, to śmierć jest wyłącznie zmianą.

1 Nasze ciało ogranicza to boskie, duchowe pochodzenie, które nazywamy duszą. I to ograniczenie – podobnie jak naczynie nadaje formę cieczi lub gazowi, który się w nim znajduje – nadaje formę temu boskiemu pochodzeniu. Kiedy naczynie pęka, to, co się w nim znajduje, przestaje mieć formę, jaką miało, i rozlewa się. Czy łączy się z innymi substancjami? Czy uzyskuje nową formę? Tego nie wiemy, ale wiemy na pewno, że traci tę formę, jaką miało w zamknięciu, ponieważ to, co je ograniczało, uległo zniszczeniu. Co stanie się z tym, co było ograniczone, nie możemy nic wiedzieć. Dusza po śmierci staje się czymś innym, czymś, czego nie jesteśmy w stanie ocenić.

2 Emersona, który twierdził, że jest nieśmiertelny, zapytano: „A co będzie, kiedy skończy się świat?”. Odpowiedział: „Po to, żeby nie umrzeć, nie potrzebuję świata”.

3 Pokora potrzebna jest nie tylko do życia, ale potrzebna jest i do śmierci. Trzeba stać się małym przed ludźmi, przed sobą, aby wejść do domu Boga. Zaprzyj się siebie, a połączysz się z nim. Im więcej wyrzeczeń, im bardziej zbliżasz się do niego, tym lżejsza jest śmierć.

4 Śmierć jest tylko jednym z etapów naszego ciągłego rozwoju. Takim samym etapem były nasze narodziny; jedyna różnica polega na tym, że narodziny są śmiercią dla jednej formy bytu, a śmierć jest narodzinami do innej formy bytu.

Śmierć jest szczęściem dla umierającego. Umierając, człowiek przestaje być śmiertelny. Nie mogą patrzeć na tę zmianę z przerażeniem, jak niektórzy. Moim zdaniem śmierć jest zmianą ku lepszemu. Czyż nie jesteśmy szaleni, gdy mówimy o przygotowaniu do śmierci? Naszym zadaniem jest żyć. Ten, kto umie żyć, będzie też umiał umrzeć. Chcę żyć, nasza dusza nigdy nie mówi nam, że umrzemy. Uczucia umierają, a uczucia są tym, co stworzyło śmierć. Czyż więc rozsądni ludzie powinni się tym przejmować?

Theodore Parker

5 Ostatni dzień przynosi nam nie zagładę, ale przemianę.

Cyeron

6 Życie jest wyzwoleniem duszy (duchowej, samodzielnie żyjącej esencji) od uwarunkowań cielesnej osoby, w której się ona znajduje.

Dla człowieka, który żyje życiem duchowym, nie ma śmierci.

Jeśli życie jest dobrem, to dobrem jest też śmierć, będąca koniecznym warunkiem życia.

1 Śmierć jest wyzwoleniem od jednostronności osobowości. Wydaje się, że to właśnie ona decyduje o wyrazie spokoju i wyciszenia na twarzy większości zmarłych. Spokojna i łatwa jest zazwyczaj śmierć dobrego człowieka, ale umrzeć chętnie, pogodnie, radośnie to zaleta człowieka, który zaprzecza

sobie, który odrzuca swoją wolę życia, zaprzecza jej. Albo wiem tylko taki człowiek chce umrzeć naprawdę, a nie pozornie, a więc nie potrzebuje i nie wymaga dalszego istnienia swojej osobowości.

Schopenhauer

2

Gdzie są umarli? Tam, gdzie nienarodzeni.

Seneka

3

Jeśli śmierć jest straszna, to przyczyna leży nie w niej, lecz w nas. Im lepszy człowiek, tym mniej się boi śmierci. Świętemu śmierć nie jest straszna.

4

Śmierć cielesna niszczy to, co spaja ciało – niszczy świadomość tymczasowego życia. Ale przecież zdarza się nam to nieustannie i codziennie, gdy zasypiamy. Rzecz w tym, czy śmierć cielesna niszczy to, co łączy wszystkie kolejne świadomości w jedno, czyli moją szczególną relację do świata? Aby to stwierdzić, trzeba najpierw udowodnić, że ten szczególny stosunek do świata, który łączy w jedno wszystkie kolejne świadomości, narodził się wraz z moją cielesną egzystencją i dlatego wraz z nią umiera. A tak nie jest.

Sądząc na podstawie mojej świadomości, widzę, że to, co łączy wszystkie moje świadomości w jedno – pewna skłonność do jednego i oziębłość do drugiego, przy czym jedno pozostaje, a drugie znika we mnie – stopień mojej miłości do dobra i nienawiści do zła – że ten szczególny mój stosunek do świata, który stwarza właśnie mnie, szczególnie mnie, nie jest produktem jakiejś zewnętrznej przyczyny, ale jest główną przyczyną wszystkich innych zjawisk mojego życia.

Sądząc na podstawie obserwacji, wydaje mi się, że przyczyny osobniczości mojego „ja” leżą w osobniczości moich rodziców i warunków, jakie wpłynęły na mnie i na nich; ale rozumując tą drogą, nie mogę nie widzieć, że jeśli moje osobnicze „ja” leży w osobniczości moich rodziców i warunków, jakie na nich wpłynęły, to leży ono również w osobniczości wszystkich moich przodków i warunków ich istnienia – aż do nieskończoności, czyli poza czasem i poza przestrzenią – tak, że moje osobnicze „ja” zaistniało poza przestrzenią i poza czasem, czyli w tym samym, czego jestem świadomy.

5

Zanim osiągnąłem starość, starałem się dobrze żyć; w starości staram się dobrze umrzeć. A dobrze umrzeć, to znaczy umrzeć z własnej woli.

Seneka

6

Ludzie, którzy nie rozumieją życia, nie mogą lękać się śmierci.

Boisz się śmierci, ale zastanów się, co by się stało, gdybyś został skazany w swojej, ciągle tej samej, cielesnej powłoczce na życie wieczne?

*

Człowiek, podobnie jak zwierzę, nie może oprzeć się śmierci; jako istota duchowa nie zna śmierci i dlatego nie może się jej ani przeciwstawić, ani jej pragnąć.

1

Powodem, dla którego idea śmierci nie ma takiego oddziaływania, jakie mogłaby mieć, jest to, że ze swej natury, jako istoty aktywne, tak naprawdę nie musimy w ogóle o niej myśleć.

Kant

2

Życie nie ma nic wspólnego ze śmiercią. Prawdopodobnie dlatego nigdy nas nie opuszcza mglista nadzieja, która zaciemnia umysł i sprawia, że wątpimy w pewność naszej wiedzy o nieuchronności śmierci. Życie ma tendencję do trwania w byciu. Powtarza, jak papuga w bajce, nawet w chwili, gdy jest duszona: „To nic!”

Amiel

3

W ostatnich chwilach umierania pierwiastek duchowy opuszcza ciało, a opuszczając je, czy łączy się z beczasowym, pozaprzestrzennym pierwiastkiem wszystkiego, czy przechodzi w inną, znów ograniczoną formę – nie wiemy, wiemy tylko tyle, że po śmierci ciało opuszcza to, co je ożywiało i staje się jedynie obiektem obserwacji.

4

Śmierć jest zmianą lub zniknięciem przedmiotu świadomości. Sama świadomość może być zniszczona przez śmierć tylko w takim stopniu, jak zmiana spektaklu może zniszczyć widza.

5

Wszedłeś w to życie, sam nie wiedząc jak, ale wiesz, że wszedłeś jako wyjątkowe ja, którym jesteś, a potem szedłeś tak długo, aż doszedłeś do półmetka i nie ucieszyłeś się, nie przestraszyłeś, ale zagapiłeś się i nie chcesz ruszyć się z miejsca, iść dalej, ponieważ nie widzisz, co tam jest. Ale przecież nie widziałeś także i tego miejsca, z którego przyszedłeś, i przecież tu przyszedłeś. Wszedłeś przez bramę i nie chcesz przez nią wyjść.

Całe twoje życie było marszem cielesnej egzystencji; szedłeś, spieszyłeś się i nagle zrobiło ci się żal, że robisz wciąż to samo, bez przerwy. Bałeś się wielkiej zmiany swojego stanu w chwili śmierci ciała, ale przecież tak wielka zmiana dokonała się w tobie przy twoich narodzinach, i nie tylko nie wyszło z tego dla ciebie nic złego, ale przeciwnie, wyszło takie dobro, że nie chcesz się z nią rozstać.

Jeśli wierzymy, że wszystko, co nas spotkało w życiu, stało się dla naszego dobra (a człowiek wierzący w dobry początek życia, nie może w to nie wierzyć), to nie możemy nie wierzyć, że i to, co się z nami stanie po śmierci, również będzie dla naszego dobra.

Prezentowany tutaj wybór myśli Lwa Tołstoja (i innych autorów) został zaczerpnięty z jego książeczki *O śmierci. Myśli różnych autorów* (1910). Trudno powiedzieć, iżby miały one swój kanoniczny kształt. W rozmaitych wariantach spotykamy je w zapiskach, czynionych regularnie i z wytrwałością, a później zamkniętych w kompilacjach *Na każdy dzień, Krąg lektur*, a także *Droga życia*, najpewniej najważniejszym zbiorze owych notatek z różnych miejsc. Czytelnik może się z nimi zapoznać w najpełniejszym, dziewięćdziesięciotomowym rosyjskim wydaniu pism Lwa Tołstoja (1935–1958), w tomach 41–42 (*Krąg lektur*), 43–44 (*Na każdy dzień*), 45 (*Droga życia*, pol. przekład Anny Kunickiej, Aletheia, Warszawa 2014).

Zwierzęta i ludzie w poezji Tadeusza Kijonki

ALINA SZYMKOWIAK

Losy zwierząt i ludzi wzajemnie się przenikają i uzupełniają. Nie można mówić o oddzieleniu ich istnień. Te relacje, powiązania, są utrwalone w kulturze, w języku. Dawniej opisywano je antropocentrycznie, z perspektywy człowieka „stojącego” w centrum. Określano przydatność zwierząt w działalności ludzi (przede wszystkim w hodowli, jako źródło pożywienia). Na gruncie nowych badań (ekokrytyka) istotne stało się ukazanie autonomii tych istnień, choć podkreśla się niemożność innego opisu rzeczywistości niż z perspektywy człowieka. Ważne, trzeba było poszukać języka, który odpowiednio ukaże te relacje.

Tadeusz Kijonka w swoich utworach przedstawia zwierzęta z niezwykłą troską, czułością. Stawia je na równi z człowiekiem. Ukazuje podobieństwa ich światów z rzeczywistością ludzi, zbieżność zmagają, jakim podlegają. W wierszach poety skoncentrowanych wokół tego problemu występują najróżniejsze stany emocjonalne – od zachwyty nad światem, naturą po smutną refleksję, dotyczącą wszystkich istnień, związaną z przemijaniem, osamotnieniem.

Ptaki

Ptaki są związane z żywiołem powietrza. Potrafią szybko wzbić się w przestworza, aby potem niepostrzeżenie zniknąć za linią horyzontu. Ich przeznaczeniem jest wolność, nieustanne szybowanie. Właśnie to stało się marzeniem człowieka: nieskrępowanie barierami, możliwości ucieczki, wylotu, zbliżenia się do Absolutu. Gaston Bachelard pisał, że „w ptaku piękny jest przede wszystkim lot. Dla wyobraźni dynamicznej lot to piękno pierwotne. [...] Lot jest więc zarazem wspomnieniem snów i tęsknotą za łaskami, jakimi Bóg nas wynagrodzi”.

Te pragnienia, połączone z jednoczesnym zachwytem, podziwianiem doskonałości ptaków, ich możliwości, znalazły odzwierciedlenie w utworach autora *Czasu, miejsca i słowa*. Dwa cytaty. Pierwszy z wiersza *Marzeńka*: „W pestce jabłuszka gdzie jabłoni kwitnie / Można przed skwarem w jej cień się schronić / Jaskółką w niebo pomknąć, zbłękitnieć / I rosą deszczu osiąść na dłoni”. Drugi z wiersza *Mój pokój*: „Ściany pokoju mego szare / Tęsknią za słońcem i zegarem / Który opowie w niski wieczór / O ptakach co błękitem lecą”.

Niesamowite są te słowa: „Jaskółką w niebo pomknąć, zbłękitnieć”. Jaskółka jawi się jako niezwykła „konstrukcja natury”, przywodzi na myśl wynalazek człowieka – samolot. Czasownik „pomknąć” wskazuje na umiejętności ptaka, na prędkość jego szybowania. Wybór jaskółki spośród wielości gatunków nie był przypadkowy. Jest – jak pisze Władysław Kopaliński w *Słowniku symboli* – znakiem „odrodzenia (Natury); zmartwychwstania, radości; równości; nadziei; wolności”, co jeszcze bardziej podkreśla marzenie człowieka o możliwości zrównania się z ptakiem, o możliwości nieskrępowanego lotu, spotkania z Bogiem.

Gaston Bachelard pisał w *Poetyce skrzydeł*: „Skoro czystość, światło, wspaniałość nieba powołuje do istnienia istoty czyste i uskrzydłone, skoro – na mocy inwersji możliwej tylko w dziedzinie wartości – czystość stworzenia udziela się światu, w którym stworzenie to żyje, rozumiemy od razu, że skrzydło zrodzone z wyobraźni barwi się kolorem nieba i że niebo przynależy do świata skrzydeł”.

Czasownik „zbłękitnieć” wyraźnie oddaje te zależności. Jego użycie ponownie wskazuje na pragnienie wzlotu, wzbicia się w niebo; podmiot chce zbłękitnieć i to w postaci jaskółki! Nie marzy o lataniu przy jej pomocy (jak samolotem), ale o zrównaniu się z nią.

Z kolei w wierszu *Mój pokój* błękit nieba kontrastuje ze smutnym, niczym niewyróżniającym się kolorem, który nie pozwala marzyć, śnić, pragnąć, ale wzbudza apatię. Kolor szary – pisał Kopaliński – jest symbolem zła, cierpienia, wyrzeczenia, pokuty, smutku, utrapienia, nieczułości, obojętności, jednostajności, nudy, bezbarwności. Nieciekawą codzienność zmieniłaby możliwość spoglądania na ptaki, przyniosłaby ona nadzieję, pomimo „uciekającego” czasu. A może dzięki niemu? To właśnie zegar ma „opowiedzieć” człowiekowi o ptakach, a zatem przypomnieć o wspólnej im cielesności i ponownie „obudzić” marzenia.

Szczególnie niepokojące, nienaturalne jest zamknięcie, uwięzienie ptaków – ograbienie ich z niezależności, możliwości działania. W wierszu *Ptaki* Kijonka w metaforyczny sposób zestawiał życie ludzi z istnieniem ptaków, które – jak pisały Beata Mytych-Forajter i Kalina Jaglarz – nieustannie „przeplatają się z nami, przelatują nad nami, pozostając z ludzkim światem w zawsze ruchliwym zwią-

ku”. Ptaki-ludzie są pozbawione swoich niezwykłych atutów – barwy i umiejętności lotu. Poeta określa je jako „spłowiałe”, a jedyne, co mogą robić, to szarzyć, pograżać się w beznadziei. Przyjmiemy Bachelarda: „Wielu obserwatorów zwróciło uwagę na wewnętrzny żar ptaka. Zdolność latania przypisywali zatem czystemu żywiołowi ognia. [...] Wszelki błękit dynamiczny, błękit pomykający – to skrzydło. Błękitny ptak rodzi się z ruchu powietrza. Jak powiada Maeterlinck „gdy zamknie się go do klatki zmienia barwę” (*Błękitny ptak*)”.

Ludzie, wyglądający zza szyb, są oddzieleni od świata, zamknięci jak ptaki w klatkach (widzą wolność innych, ale nie uczestniczą w niej bezpośrednio), pozbawieni wewnętrznego blasku, ognia, bez których nie potrafią funkcjonować. Tim Dant pisał: „Szkło wywołuje podwójny efekt, ponieważ jego przezroczystość jednocześnie przybliża – poprzez powierzchnię okna, skórę domu – i oddala – dzięki widokowi dostępnemu poprzez szkło okna. Obecność szkła daje nam możliwość widzenia, lecz nie dotykania, jako że okno tworzy «niewidzialną, jakkolwiek materialną cezurę», uniemożliwiającą swobodną komunikację między wnętrzem i zewnętrzem”.

Rzeczywistość ptaków-ludzi jest szara, smutna, bezbarwna, ciemna. „Rzęsami wnet blask spłynie z oczu / I znów bez światła pójdą do snu”. Nie mogą „wzlecieć” na skrzydłach wyobraźni, a jedyne co uczynią, to „w pościel szarą wzrosnąć”. Na zawsze zjednoczą się z miejscem uwięzienia. Tę nienaturalną sytuację pogłębia niemożliwość rozmowy, śpiewu ptaków-ludzi. Beata Mytych-Forajter i Kalina Jaglarz zaznaczają, że „ptak nie potrzebuje człowieka, ale człowiek potrzebuje ptaka. I nie chodzi tylko o pragmatyczny zysk z owadożerstwa, ale o ptasi głos splatający się z ludzkim, a nawet go poprzedzający; o różny jego formy: szczebioty, skrzeki, pohukiwanie, gdakanie, ćwierkanie, klekotanie, kwakanie, pitpilitanie, żeby wymienić tylko niektóre onomatopeje nazywające liczne ptasie narzecza. [...] Wydawane przez ptaki dźwięki, przypominając coś pierwotnego, przyzywają nas, czasem przekrzykując nawet hałasy miasta”.

Świat bez ich śpiewu jest niemożliwy do wyobrażenia, gdyż jest on czymś przyrodzonym. Podobnie jak próba wyrażenia, wypowiedzenia myśli przez lu-

dzi. Stąd zestawienie ich z ptakami jest jeszcze bardziej niepokojące, wskazuje na skalę problemu, skoro to „człowiek potrzebuje ptaka”. Tomasz Gęšina podkreśla, że „dla wielu świat pozabawiony ptasiej melodii i subtelnego szelstu skrzydeł stanowi wizję katastroficzną”. Milczenie jest spowodowane zamknięciem, a co za tym idzie – utratą blasku. Jednak dlaczego ptaki-ludzie trwają w tej sytuacji?

Zastanawiający jest ostatni wers wiersza: „Szarzeją ptaki na balkonie”. Skoro „ptaki” znajdują się w tym miejscu, to z jakiego powodu nie potrafią odlecieć? Ptaki-ludzie być może zostały skrzywdzone. Postanowiły się ukryć, zamknąć, aby uniknąć bólu i teraz „[...] z ludzi nikt nic nie wie o nich”, ale pozostawanie w uwięzieniu jest niezgodne z ich naturą. Dlatego tak cierpią, tęsknią za dawnym życiem: „Gdzie wyteśknione oceany / Gdy wiatr ich skrzydła ledwo mieścił”. Inni „podcięli im skrzydła”, przez co już nie wzlecają, nie pokażą światu swojej wyjątkowości.

Kalina Jaglarz ukazała kolejny ważny aspekt związany z wyobrażeniami o ptakach, które nie tylko przypominają ludziom o pragnieniu lotu, zbliżeniu się do Boga, wolności, ale również uświadamiają celeśność, marność, nadzieję śmierci. Z jednej strony wzbudzają nadzieję, pozytywne emocje, jak radość, bez troska, lekkość, a z drugiej – strach przed nieznanym. Te sprzeczne uczucia Tadeusz Kijonka przedstawił w wierszu *Garść chleba*.

Podmiot występuje tu w roli demiurga, osoby, która byłaby w stanie zapanować nad światem, zapanować nad głodem, okiełznać zło. Autor wyraża to w patetycznie brzmiących słowach – „Ja, który szedłem głodujące ptaki / Karmić nad morze” – przywodzących na myśl język biblijny, podkreślający wagę jednostki, stawiający ją w centrum. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie będzie w stanie uratować świata, „schodzi” z piedestału. Całkowita zmiana rzeczywistości jest niemożliwa, bo przecież „ptaki na ziemi zawsze będą głodne”.

Wrażenie bezradności, bezsilności, podkreślają słowa: „Wicher, co gniazda przenika lub strąca, / Spojone śliną, splecione pospiesznie / Przed lutą zimą i świszczącą nocą”. W wierszu nawet powietrze nie jest przychylnie ptakom, ograbia je ze schronień zbudowanych na ziemi. Podmiot z jednej strony cierpi, chce pomóc, ale z drugiej umyka „po śladach”. Jest jednocześnie przełknięty, ale i pełen buntu, niezgody na rzeczywistość.

Ptaki, związane z żywiołem powietrza, są określane za pomocą słów, przy użyciu których opisuje się wiatr, burzę: „Tej **nawałnicy** skrzydlatej, co **zmiotła** / Garść chleba w locie, a teraz na osłep / Skrzeczy i skomli, **napiera, łomocę**”.

Ptaki zrzuciły chleb, jak wiatr ich gniazda, co wyraźniej ukazuje niemożliwość zmiany praw rządzących światem. Ptaki odrzuciły pomoc, wsparcie, odrzuciły światło i mądrość, które przyniosłyby zmianę.

Psy

Czy zwierzęta kochają, tęsknią, żałują, odczuwają wdzięczność, skruchę? Czy są wrażliwe? Czy różnią się między sobą pod względem temperamentu, ukształtowania psychicznego? Czy kierują się jedynie instynktem? Odpowiedzi na te pytania nie są jednoznaczne. Badania prowadzone w tym kierunku dopiero się rozwijają. Peter Wohlleben pisał: „gdymby człowiek był czymś szczególnym w sensie konstrukcji biologicznej, to nie mógłby się porównywać z innymi gatunkami. Współczucie wobec zwierząt nie miało by sensu, bo nie byłibyśmy w stanie nawet w przybliżeniu zgadnąć, co też się dzieje w ich wnętrzu”. I dodawał: „Uczucia są [...] sprzężone z podświadomością, nie zaś ze świadomością. Gdyby zwierzęta nie miały tej ostatniej, oznaczałoby to tylko tyle, że nie są w stanie zastanawiać się nad czymkolwiek. Podświadomością natomiast dysponuje każdy gatunek, a ponieważ musi ona spełniać rolę sterującą, każde zwierzę z definicji musi mieć również uczucia”.

Jak sprawa ta wygląda w odniesieniu do psów? Twierdzi się, że ludzie przypisują im zbyt dużą możliwość odczuwania, zbyt wiele podobieństw do konstrukcji psychicznej czy zachowań człowieka. Niektórzy uważają, że przecież to tylko zwierzęta, że nie doświadczają wiele, że kierują się jedynie instynktem. Z całą pewnością tak nie jest. To nie tylko zwierzęta, to **aż** zwierzęta. Precyzyjne scharakteryzowanie ich uczuć czy ocena, co dokładnie dzieje się w ich wnętrzach, jeszcze nie są możliwe.

Marzena Kotyczka twierdzi, że nad takimi zwierzętami, jak psy, niechętnie podejmuje się badania, gdyż są one traktowane przez ludzi w wyjątkowy sposób. Czy słusznie? Nie do końca. Zajmują one szczególną pozycję, a zatem zachęcają do poszukiwania nowych określeń, nazw na specyficzne i jeszcze nie do końca odkryte zachowania, które wydają się bliskie doświadczeniom ludzi, ale jednocześnie stanowią coś odrębnego.

Psy w poezji Tadeusza Kijonki są niezwykle ważne. Sta-
le



znajdują się blisko, czują, są przyjaciółmi: „Z psem się w budzie do wili / Miśka pusta, kołędo, kto mógł tu być przed chwilą? / Łkaj, kołędo, sen płynie, nim złodziałe łzy zliże / Czuły jęzor, gdy oddech żywym ciepłem ogrzewa: / W gąszczu sierści psiej błogo”.

Podmiot, wtulony w psa, znajduje chwilowe ukojenie, dzięki świadomości, że obok niego znajduje się inne istnienie, inne **kochane** istnienie. Zwierzę czuwa, „obmywa” z łez, które są „złodziałe”, zimne, podobnie jak kołęda, która powinna nieść radosną nowinę o narodzinach Chrystusa, a podczas wojny nie jest w stanie nikogo pocieszyć, dać nadziei. Jest to chwila, w której świat zapomina o Bogu. W takich warunkach ludzie nie są w stanie cieszyć się z Jego narodzin, co kontrastuje z ciepłem psa, który jest darzony równie „ciepłymi” uczuciami. Jak ważne są te słowa: „Czuły jęzor [...] / W gąszczu sierści psiej błogo”. Pies wydaje się jedynym pewnym i niezmiennym, namacalnym elementem rzeczywistości.

Nie zawsze jednak psy są tak spokojne, nie zawsze stoją na straży. Odczuwają strach, lęk, smutek, a może tylko udzielają im się emocje właścicieli, ludzi? Nieświadomość psa, który tyle czuje, znajdującego się jednocześnie w dwóch światach (nie z własnego wyboru) – ludzkim i nie-ludzkim – jest przejmująca. Właściwie do żadnego z nich nie przynależy całkowicie. W wierszu *Spóźnieni* powtórzenie – „Ten pies” – a zarazem zastosowanie przerzutni, podkreśla trudne doświadczenie, któremu musi sprostać, ukazuje znaczenie zwierzęcia, co prawda bezimiennego, ale wydobytego z wielości za pomocą zaimka wskazującego „ten”.

Pies, przywiązany do właścicielki, został wytrącony przez ludzi z codziennego, zwykłego dla niego rytmu dnia. Stan, w którym się znajduje, poeta określił za pomocą nazw uczuć, zachowań czy zdolności typowo ludzkich: pies jest zdezorientowany, ma dylemat, kocha, tęskni, płacze. Wydaje się, że autor *Czasu, miejsca i słowa* poszukuje odpowiednich słów, aby wyrazić stan, w którym znajduje się zwierzę. W ostatniej strofie podkreśla, że przeżywany przez nie lęk nie jest identyczny z ludzkim. Dodanie epitetu „zwierzęcy” uwydatnia podobieństwo, ale i odmienną naturę uczuć.

Strach niewątpliwie występuje u zwierząt, ale co w przypadku miłości? Czy pies faktycznie kocha, czy jest to uczucie, które naddają ludzie? Ponownie nie jest możliwe uzyskanie pewnych odpowiedzi. Wohllenben twierdzi, że psy czy koty niewątpliwie przywiązują się do właścicieli, jednak należą do

gatunków, które przyzwyczyły się do życia z człowiekiem i trudno mówić tu o miłości w ścisłym ludzkim rozumieniu tego słowa: „Czy zwierzęta nie służą tu jedynie jako płaszczyzna naszych projekcji i nie dostarczają nam satysfakcji w sytuacji, gdy nie mamy potomstwa, partner nam umarł lub otrzymujemy zbyt mało uwagi od bliźnich? Ten temat to pole minowe, które aż nazbyt chętnie wolałbym ominąć”.

Pies z utworu Tadeusza Kijonki nie znał innej rzeczywistości, co nie oznaczało, że uczucie, jakim obdarzył właścicielkę, było wymuszone. Kochał na swój sposób, po psiemu. Miłość pomiędzy ludźmi również opiera się na przywiązaniu, na obcowaniu z drugim człowiekiem. Nie wszystkim można ją wyznaczyć, tylko osobom wyjątkowym, „oswojonym”.

Należy wrócić do pytania, które zadałam wcześniej: Czy zwierzęta empatycznie odczuwają emocje innych? Czy się one im udzielają? Czy widzą coś, czego nie jesteśmy w stanie dostrzec? Czy wiedzą więcej? Okazuje się, że Munia wiedziała.

Obraz psa zwiastującego śmierć można również odnaleźć w kulturze. *Słownik symboli* Władysława Kopalińskiego przypomina, że pies jest symbolem wierności, przyjaźni, odwagi, ochrony, czujności, straży, służności, ale też ciemności, podziemia, śmierci i Księżycy; towarzyszenia duszom zmarłych w drodze do podziemi. Z kolei wedle wierzeń ludowych, pies, co uwydatniła Olga Kielak, „jako «jedyny ze zwierząt widzi śmierć przychodzącą po człowieka»”. Szczególne znaczenie przypisywano jego wyciu, które również miało świadczyć o zbliżającym się kresie. Badaczka pisała, że następowało ono „w określonym miejscu (pod oknem, przed domem chorego lub w chałupie potencjalnego nieboszczyka), w określonym czasie (wieczorem lub w nocy), przybierając określoną pozę (spuszczony łeb, psyk podniesiony do góry)”.

Z czego wynika takie postrzeganie psów przez ludzi? W jaki sposób można wyjaśnić je z biologicznego punktu widzenia? Zwierzęta te mają doskonale rozwinięty zmysł węchu. Jest bardzo prawdopodobne, że potrafią wyczuć zmiany chemiczne, które zachodzą w organizmie. Może też być jednak inaczej, na co zwracali uwagę m.in. Paweł Pasięka oraz Łucja Lange: poprzez wielowiekowe mieszkanie z ludźmi psy wykształciły umiejętność ważnego spoglądania na ich zachowania i dzięki temu potrafią wyczuć emocje człowieka.

Można zatem stwierdzić, że ojca i Munię łączy specyficzne porozumienie dusz. Obydwoje zdają sobie sprawę ze zbliżającego się końca: „Ty wiesz,

ty już wiesz, / Rzecz do niej, nim odwrócił się, by objąć dom / Wzrokiem po raz ostatni”. Tylko z nią może „porozmawiać”, tylko ona zrozumie i dostrzeże jego, niezauważalne dla ludzi, pożegnanie z domem, okolicą. Najbliżsi członkowie rodziny nie zdają sobie sprawy ze zbliżającego się końca, ich zmysły są przyćmione – „Myśmy nie pojełi / Tej sceny i spojrzenia, śnieg zresztą się skrzył / Tak, że słońce mrużyło oczy razem z nami”. To właśnie biały puch oszukał zmysły i oślepił swoją bielą najbliższych zmarłego. Wspomniane zjawisko atmosferyczne upiększyło świat, być może przyniosło nadzieję na powrót ojca. Śnieg jednak niezwykle szybko przeminał, jak czas, jak człowiek, jak każde istnienie, złudne nadzieje stopniały i odsoniła się bolesna prawda. Munia rozpaczła – „Pies kwilił, lkał błagalnie”. W pewnym momencie ostatecznie zawyła i wtedy „nadeszła” śmierć. Lekarzom nie udało się uratować ojca, czas ich uprzedził. „Niestety, [...] dobiegli po wszystkim”.

Trudno odpowiedzieć na pytanie o jakiego powodu to właśnie pies przeczłował zbliżającą się śmierć: „Takie proste pytanie, lecz bez odpowiedzi / Jak świat światem... / Mój Boże, a może ty wiesz?”. W ostatnim wersie pojawia się zwrot do Boga, który stanowi pewnego rodzaju wyrzut. Podmiot zastanawia się, dlaczego Stwórca nawet na tak proste pytanie nie może udzielić odpowiedzi, dlaczego nie może pomóc. Dominik Chwolik pisał: „Wydaje się, że Jego wszechwiedza została w jakiś sposób podana w wątpliwość, choć przecież powinien znać właściwą odpowiedź”.

Warto również zwrócić uwagę na słowa: „Lecz już niedługo Munia pozostała z nami”. Pies odszedł chwilę po swoim właścicielu, z którym był tak związany. Wydaje się, że było to spowodowane zwierzęcym żalem po stracie ukochanej osoby, niemożnością poradzenia sobie z żałobą. Czy można jednak mówić o takim doświadczeniu straty w przypadku przedstawicieli fauny? Łucja Lange pisała, że nie jest możliwe jednoznaczne wyjaśnienie, w końcu to ludzie opisują zachowania zwierząt, a więc precyzyjne scharakteryzowanie ich odczuć jest niewykonalne. Autorka dodała jednak, że opisy zachowań poszczególnych istot po stracie kogoś bliskiego są podobne – towarzyszy im przygnębienie, utrata ochoty na zabawę czy jedzenie. Według badaczki, metodą, która rozwikłałaby wszelkie wątpliwości, jest dokładna analiza zmian zachodzących w organizmach podczas przeżywania żałoby. Pozwoliłoby to na określenie, czy zwierzęta również jej doświadczają.

Mrówki i jeź

W twórczości Tadeusza Kijonki pojawiają się jeszcze inne stworzenia. Autor *Czasu, miejsca i słowa* zachwyca się ich doskonałością. Ma świadomość ich odmienności, ale też podobieństwa do człowieka. Poeta nie obdarza większą uwagą czy większym uczuciem wybranych zwierząt. Żadnego z nich nie wyróżnia. Wszystkie, które pojawiają się w jego utworach, traktuje w podobny sposób, z jednokowym szacunkiem.

Życie ludzi przywodzi na myśl istnienie mrówek lub odwrotnie – życie mrówek przywodzi na myśl istnienie ludzi. Miasta są jak mrowiska, poszczególne jednostki, mieszkające w nich, nie zwracają na siebie uwagi, pędzą, aby osiągnąć swoje cele: „W wrzącym gąszczu mrowiska, w kłębowiskach miast / W widoku z góry – ta lawa żarłoczna / Trawiąca się nawzajem w zjadłej pogoni / I ucieczce panicznej przed sobą, przed siebie / W ślepych kole natury na zabój, po kres...” (*Mrowiska*).

Mrówki, kłębiące się w mrowisku, wyglądają z perspektywy człowieka jak zwarta substancja, jak lawa, która pożera samą siebie. Wszystkie jednak działają w ściśle określony sposób. Ważna jest hierarchia, podział obowiązków. Wohlleben pisał, że badacze w stosunku do owadów społecznych „wcześnie ukuli pojęcie «superorganizmu», w którym poszczególne osobniki są tylko częścią wielkiej całości”. Warto dodać, że gdyby nie zgodna praca pojedynczych mrówek, to ogół nie byłby w stanie przetrwać.

Paweł Pasieka w artykule *Zwierzęta wobec śmierci* podkreślał z kolei, że według przeprowadzonych badań, mrówki nie zwracają uwagi na martwe osobniki. Dopiero gdy zaczną wydzielać specjalne substancje, świadczące o ich odejściu (m.in. kwas oleinowy), wynoszą nieżywą mrówkę z mrowiska. Naukowcy przeprowadzili eksperyment, w trakcie którego na ciało żyjącej istoty nałożyli kwas oleinowy i okazało się, że owady potraktowały ją jako martwą. Zestawienie ze sobą tych owadów i ludzi jest zatem przynębiające. Mrówki czynią to, co jest zgodne z ich naturą. W świecie ludzi można wskazać na wiele podobieństw do ich życia – struktura hierarchiczna społeczeństwa, podział pracy, obowiązków. Zatrącenie się w dążeniu do celu, pragnieniu, aby stać się lepszym, bez zwracania uwagi na innych, są jednak niepokojące i bolesne.

Jednostka znajdującą się w mieście-mrowisku odczuwa osamotnienie, jest jedną z wielu: „Gdzieś tam i ja, mrowiąca się kropla w pościgu / I ucieczce przed sobą, aż do zatrącenia / W labiryncie mrowiska, zdyszane żyjątko /

Wlokące ścierwo łupu ponad własny ciężar”. Samotność człowieka podkreśla zastosowanie anafory: „I ucieczkę” Pragnie on schować się przed sobą, ale także przed innymi. Podmiot czuje się niewielki, określa siebie jako nieistotną kroplę, zagubioną w labiryncie miasta-mrowiska. Ucieczka trwa stale, podmiot nie ma swojego miejsca, domu, w którym mógłby się schronić, aby choć chwilę odpocząć. Praca jest ponad siły podmiotu, a jej efekty określa jako „ścierwo łupu”, niemające znaczenia. Interesujące jest spojrzenie wertykalne na całą sytuację. „W widoku z góry” wydaje się, że poszczególne istnienia nie mają znaczenia, że są tylko częścią większej całości. Pojedyncze osoby są niezauważalne, zatracają się w tłumie. Po zmianie perspektywy, w „widoku z dołu”, wyłaniają się określone jednostki, które starają się sprostać wyzwaniom, choć nie otrzymują znikąd pomocy.

Człowiek „wrzucony” w świat jest osamotniony, delikatny, mały, a jednak trwa. Podobnie jak jeź w jednym z wierszy Kijonki. Z pierwszej strofy utworu dowiadujemy się, że zwierzę niewzruszenie „tupta” po ziemi, jabłko „przytwierdzone” do jego grzbietu jest wręcz stałym, niezmiennym elementem, co zostaje podkreślone poprzez zastosowanie anafory: „Z jabłkiem na grzbiecie tupta sobie jeź: / O, jeżu, jeżu – cóż o świecie wiesz / Z jabłkiem na grzbiecie jak amen w pacierzu...”

Początkowe wersy utworu przypominają rymowaną. Wydaje się jakby zwykła obserwacja jeża stała się pretekstem do przemyśleń o naturze egzystencjalnej, próbą zrozumienia podobieństw i odmienności związanych ze światami ludzi i zwierząt. Podmiot zastanawia się, co takie stworzenie może wiedzieć o rzeczywistości, życiu, istnieniu. Czy jeź jest w jakiś sposób podobny do człowieka? Czy jednak postrzeżenie otoczenie odmiennie? Czy oddziela dobro od zła? W końcu: „Czy dobro miesza ze złem”. To ostatnie pytanie wyraźniej wybrzmiewa dzięki brakowi rymu (wiersz jest silnie zrytmizowany: w poprzednich wersach pierwszej strofy występują rymy parzyste, po tym pytaniu poeta konsekwentnie stosuje je dalej).

Podmiot myśli, że marzenia jeża pewnie są proste, przewidywalne (o ile takie marzenia może mieć), jak ślimaki schowane pod warzywami. Po chwili zmienia jednak zdanie i zastanawia się, czy jeź odczuwa więcej – „czyuła na wdzięk form i barw, / Śnisz bal gąsienic, mozaikę larw?”. Podmiot nie potrafi jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania. Nie jest w stanie spoglądać na świat całkowicie z perspektywy przedstawianego zwierzęcia. Stara się zrozu-

mieć, w jaki sposób jeź może postrzegać rzeczywistość. Warto ponownie przytoczyć słowa Wohllebena: „gdyby człowiek był czymś szczególnym w sensie konstrukcji biologicznej, to nie mógłby się porównywać z innymi gatunkami. Współczucie wobec zwierząt nie miałoby sensu, bo nie byłibyśmy w stanie nawet w przybliżeniu zgadnąć, co też się dzieje w ich wnętrzu”.

Podmiot zastanawia się, czy jeź wierzy w jakiegoś Boga, czy ma swojego Stwórcę. Jeśli tak, to być może żałuje złego postępowania (podobnie jak ludzie), choć w gruncie rzeczy jego natura nie pozwala mu czynić inaczej: „Więc drżysz struchlały, bo co dnia – wyrodny / Pożerasz słabszych, cóż z tego, boś głodny”. Jeź, tak jak człowiek, walczy o przetrwanie. Ochrania swoje delikatne ciało za pomocą licznych kolców, tworzy barierę, która pozwala mu przetrwać („Lecz w kłęb zjeżony – żywa twierdza – trwasz / Do ostatniego kolca w groźny czas...”). Przeciwności losu niszczącą ochronę jeża, lecz ten będzie trwał niezłomnie – jak mówi podmiot – „do ostatniego kolca”).

W drugiej strofie nie pojawiają się odpowiedzi na stawiane wcześniej pytania. Świata nie można w pełni zrozumieć, wyjaśnić. Gdy wydaje się, że odpowiedź jest prawie odkryta, wymyka się: „Cóż ja o tobie bracie jeżu, wiem? / Jak ty znikomy tuptam dróżką swoją / Z jabłkiem nadziei, dzieląc wspólny tlen / I lęk... / By życia jak ty nie móc pojąć”.

Poeta, nazywając jeża bratem, zrównuje go z człowiekiem. Porównuje siebie do mniejszego stworzenia. Rezygnuje z myślenia o sobie jako o boskiej „koronie stworzenia”. Dlaczego podmiot porównuje swoje życie właśnie do istnienia zwierzęcia? Można przypuszczać, że wynika to z kruchości człowieka, który tak samo się lęka. W sytuacji zagrożenia stara się przetrwać, „roztawia kolce”, tworzy barierę. Nie zawsze jest ona jednak pomocna. Tadeusz Sławek w eseju *Blisko ziemi. Kilka lekcji jeża* pisał: „My także się jeżymy, czasami wręcz najeżamy, stając się całkowicie nieprzystępni. [...] Aby utrudnić innym drogę do nas, jeżymy na niej trudności i przeszkoje”.

Podmiot nie jest pogodzony ze swoim losem, dlatego tak jak jeź nosi jabłko, ma je w pamięci, bo to symbol – znów przywołajmy Kopalińskiego – „wieczności; całości, życia, zdrowia, odmłodzenia, wiecznej młodości, nieśmiertelności, obecności boskiej, odkupienia”. Jabłko pozwala mu wierzyć w inny, lepszy los – jest to przecież rajski owoc, który został nam obiecany na koniec życia. Temu przekonaniu zaprzecza jednak pamięć o śmierci, przemijaniu, lęk z nimi związany.

Wyszlśmy dopiero co

Wyszlśmy dopiero co z rozgrzanej zmierzchem wody.
Wokół ogniska lśnią twarze jak maski na ciemnych ścianach.
Roją się trofea ze szczęśliwszych krain.
Płatka na patyku pieczona
Smakuje bez soli.
Rozcięta skóra na pięcie
Zrasta się za dotknięciem przygody.
Do stóp przywiera przyjazne ciepło piasku.
Znów bezkarnie leżymy na plecach jeziora.

Gdyby nie swędziały miejsca po ukłuciach komarów,
Gdyby nie odkrycie pijawek na łydkach,
Gdyby nie lęk przed rodzicielskim laniem,
Gdyby nie smród wypełzający z krzaków,
Gdyby nie ta nietrwałość porozumienia,

Uwierzyłbym, że już wtedy na zawsze
Będziemy nadjeziornymi zjawami.

15 kwietnia 2018

Początek jesieni

1.
Dalej się nie da.
Obumierać trzeba.

2.
Pomiędzy gałęziami przydomowych brzoź
Powiększają się prześwity.
Pożółkłe liście ustępują miejsca
Przyszłym ulistnieniom.

wrzesień 2019

fol. Tomasz Bienek





fot. Tomasz Bienek

O wyasfaltowany peron

O wyasfaltowany peron w Inowrocławiu uderzają kasztany.
Spadając wyskakują z łupin, turlają się pod buty.
Podnoszę owoce kasztanowca. Z zewnątrz lśnią jak noc.
W ich białym pękniętym wnętrzu dzień, który nie nadejdzie.
Zbiera je też dziecko z babcią. Chłodzą palce, błyszczą, są
Jakby czas podrzucił je tu ze wspomnień pierwszoklasisty.
Głos z megafonu obwieszcza nieplanowe postoje pociągów.
Przyjadą z opóźnieniem. Podróżnych trzyma pewność,
Że jeszcze dziś stąd odjadą.
Silne podmuchy wiatru nie są w stanie wywiać
Z koron drzew oczekiwania, że z peronu w Inowrocławiu
Kasztanowce odjadą według nieułożonego rozkładu jazdy.

26 września 2018

Na brzegu Wisły

Trochę lepki, lekko gorzki
Ból z powodu zmarnowanego życia
Przecieka przez palce.

Wzbiera rzeka gęsta, mętna
Od niepamięci
Wyklętej i błogosławionej.

2 września 2019

Listopad 2021

Liść na drzewie drży bez wiatru.
Ciało cięższe, bardziej chore,
Na twojej skórze mapy z plam.
Dusza twoja żwawsza, żywsza,
Wciąż się leczy z odniesionych ran.

Juliusz Braun – suplement do opowieści (1)

JAROSŁAW KAPSA

Zrodziną Braunów trudno oswoić się biografom: zasług tu multum, w dodatku rozdzielonych po przeróżnych małych Ojczyznach. Przyłączając się do lobby chcącego uhonorować profesora Juliusza Henryka Brauna trwałym znakiem pamięci (nadaniem jego imienia ulicy, szkole, budową pomnika lub chociażby umieszczeniem tablicy), borykać się muszę z tłumaczeniem. Juliusz Braun to ten z Unii Demokratycznej, co został prezesem Telewizji Polskiej? Nie; Juliusz, dodajmy – także publicysta katolickiej „Niedzieli”, poseł OKP „Solidarność”, działacz opozycji antykomunistycznej itd. – to postać zasłużona dla Kielc, syn „naszego” profesora Juliusza. Byli też Braunowie, rodzice profesora, chluba ziemi tarnowskiej, założyciele „Sokoła” i pierwszych drużyn harcerskich. Był starszy brat – Jerzy Braun, prezes konspiracyjnej, chadeckiej Unii, w czasie II wojny światowej, ostatni Delegat Rządu na Kraj i przewodniczący Rady Jedności Narodowej. Dziećmi profesora, rodzeństwem Juliusza „juniora”, są: Kazimierz – krytyk literacki, reżyser teatralny, wykładowca na amerykańskich uczelniach, Tereliza (Teresa Elżbieta) potężna duchem działaczka społeczna, opiekunka kieleckich ubogich, Maria Gałkowska – profesor psychologii KUL. Wnukiem, niestety, jest syn Kazimierza – Grzegorz, polityk Konfederacji.

Przynajmniej kilka miast powinno rywalizować o godność uhonorowania Braunów. W dodatku w swoim dość długim życiu (1904–1990) profesor Juliusz Henryk zaledwie krótki okres (1945–1969) związał z Częstochową. W rodzinnym Tarnowie był komendantem hufca harcerskiego, ochotnikiem wojskowym w 1920 r. Studia prawnicze skończył w Krakowie, broniąc na UJ doktorat; wpisany na listę adwokatów pracę zawodową podjął w Zagłębiu, przed wojną obejmując stanowisko dyrektora Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu. Ożeniwszy się z ziemianką z Kieleckiego, stał się równocześnie właścicielem majątku w pobliżu, rozstawionej przez

Żeromskiego, Wiernej Rzeki. Do wojska, we wrześniu 1939 r., zgłosił się na ochotnika wraz ze swoim samochodem. Po ucieczce z niewoli próbował ratować majątek przedsiębiorstw zrzeszonych w sosnowieckiej Izbie, aresztowany przez Niemców, po wykupieniu z więzienia schronił się na kieleckiej wsi. Tu także nie ominęło go aresztowanie przez okupanta. Przetrawił z rodziną w gajówce wśród świętokrzyskich lasów, wspomagając lokalnych partyzantów, udzielając schronienia uciekinierom z getta i uchodźcom z Powstania Warszawskiego.

Natychmiast po zakończeniu okupacji niemieckiej wrócił do Sosnowca, chcąc odbudowywać zniszczony potencjał Izby Przemysłowo-Handlowej. I tu zaczyna się częstochowski epizod jego życia. Przypomniały go wspomnienia syna – Kazimierza – „Moja Częstochowa”, zredagowane przez Krzysztofa Kołacińskiego, wydane przez lokalną oficynę katolicką. Niestety, syn, który jedynie dzieciństwo spędził pod Jasną Górą, nie jest świadkiem doskonałym, a redaktor książki nie wykazał się wiedzą pozwalającą uzupełnić obraz lat powojennych.

Przed wojną Częstochowa wraz z Sosnowcem należały do województwa kieleckiego. Izba P-H w Sosnowcu miała charakter regionalny, dominowali w niej przedsiębiorcy z Zagłębia i z ziemi częstochowskiej. Po wojnie zniesione zostało dawne autonomiczne województwo śląskie, w sierpniu 1945 r. wcielając do nowego tworu Zagłębie (powiat będziński i zawierciański) utworzono województwo śląsko-dąbrowskie. Ocalały po okupacji i zagładzie potencjał i kapitał ludzki Zagłębia skierowano na „kolonizację” Śląska. Potrzebne więc było przeddefiniowanie działań dawnej Izby P-H tak, by wspomóc odbudowie potencjału województwa kieleckiego. Wybór Częstochowy był oczywisty, po wcieleniu Zagłębia do Śląska, było to największe miasto województwa kieleckiego, a także najsilniejszy ośrodek przemysłowy. Miasto, które podczas wojny straciło 1/4 swoich miesz-

kańców, którego charakter zniszczyła Zagłada Żydów i wymordowanie wielu przedstawicieli przedwojennej elity inteligenckiej, stało przed trudnymi wyzwaniem. Pisał o tym prezydent miasta Tadeusz Wolański:

W latach 1945 i 1946 uległa Częstochowa głębokim przeobrażeniom w rozumieniu społecznym i gospodarczym. W roku 1945 rozładowała się ludnościowo (w okresie okupacji przyjęła około 20 tysięcy osób, wysiedlonych z Poznańskiego i Pomorskiego, a w czasie powstania i po powstaniu warszawskim ponad 40 tysięcy osób wysiedlonych z Warszawy, była punktem etapowym dla głębokiego zaplecza walczących Armii Czerwonej i Wojska Polskiego oraz węzłowym ośrodkiem dla ruchów repatriacyjnego i emigracyjnego). Mieliśmy do sierpnia 1945 roku w Częstochowie ponad 20 szpitali wojskowych, kilka punktów przejściowych dla powracających z Niemiec jeńców wojennych niemal wszystkich narodowości i wreszcie największe bodajże w Polsce skupisko ludności żydowskiej (ponad 6 tysięcy osób). W wynikających stąd trudnych warunkach Częstochowa zmieniła szybko psychikę przedwojennego miasta powiatowego i przeobrażała się w miasto, będące ośrodkiem wyraźnego regionu gospodarczego i przystosowującego się szybko do odgrywania właściwej roli w nowym układzie stosunków społeczno-gospodarczych.

Odbudowa normalnego życia gospodarczego możliwa była dopiero w drugiej połowie 1945 r., po opuszczeniu miasta przez wojska sowieckie. Odbudowa powojenna była efektem sumy indywidualnych inicjatyw wykorzystujących margines wolności. Okupant zniszczył podstawy rozwojowe; straty materialne miejscowych przedsiębiorstw szacowano na 40%, pozbawiono je wszelkich zapasów surowcowych, brakowało także kapitału. Trzeba było zaczynać od zera. W marcu 1947 r. już funkcjonowało 1292 zakładów rzemieślniczych, z 3361 zatrudnionymi oraz 769 zakłady przemysłowe z 16 997 zatrudnionymi. W styczniu 1946 r. działały takie zakłady pry-

watne jak: fabryka farb „Zawodzie” A. Wolberga, Częstochowskie Zakłady Ceramiczne Helmana, Zakłady – kopalnia wapienia – „Saturn” J. Dawidowicza, fabryka celuloidy „Kosmos, Fabryka Obić Papierowych Gerke, Fabryka Igieł Gutmanów, fabryka chemiczna „Dzwon” Lewandowskiego, drukarnia Nagłowskiego, odlewnie Omnium i Rozwój, fabryka wyrobów ze szkła (dawnej Geisler), zakłady przemysłu metalowego Elektrodyn, zakłady metalowe „Metal”, Odlewnia Wulkan, Fabryka Łózek i Wózków „Kon-kon”, Fabryka Wózków Dziecięcych „Edka”, Guziczarnia Grosmana, Fabryka Kapeluszy, Odlewnia Kanczewskiego. Był to potencjał na którym opierała się działalność Izby Przemysłowo-Handlowej, której prezesem wybrano właściciela Odlewni Klemensa Kanczewskiego.

Wspomnienia syna tworzą z Juliusza Brauna samotnego bohatera, jednoosobowego lidera i inicjatora szeregu działań. Nie ujmując nic zasługom – tak wówczas być nie mogło. Potrzebne było jednocześnie szeregu ludzi, przekraczanie barier tworzonych uprzedzeniami, światopoglądem, różnymi doświadczeniami. Braun, w okresie 1945–1948, uosabiał szersze zjawisko, rodzaj powojennego pozytywizmu, wykorzystującego wszelkie szanse, wszelki margines wolności, dla dobra ogólnego, dla odbudowy miasta. Postawa cenna, lecz z różnych powodów wyrzucana z pamięci. W swoistym dialogu o przeszłości dominuje fałsz podziału „lewica-prawica”. „Lewica” broniąc dobrej pamięci władz PRL, wszelkie zasługi z okresu odbudowy przypisuje „nowej władzy”. „Prawica” hołubi pamięć o bezkompromisowej walce z komunizmem, dokumentując

formy zbrojnego oporu. Gdzie w tym podziale umieścić ludzi, którzy zachowując tradycyjne wartości, gotowi byli współpracować z władzą komunistyczną, by budować szkoły, by odbudowywać gospodarkę, by możliwie największej grupie ludzi otworzyć szanse na lepsze życie.

Samotny Braun byłby bezsilny. Ale przetrwała część przedwojennych inteligentnych elit, ukształtowanych w duchu pozytywizmu. Był także potencjał wspierający, ocalały po powstaniu kwiat warszawskiej inteligencji, budującym w Częstochowie „podziemny” Uniwersytet, tworzący życie kulturalne. Istotnym wsparciem była pozytywistyczna postawa biskupa częstochowskiego Teodora Kubiny, a także inteligentkie otwarcie komunisty „dzierżącego władzę”, czyli prezydenta miasta Tadeusza Wolańskiego.

Pierwszą, ważną dla ogółu, inicjatywą dyrektora Izby Przemysłowo-Handlowej w Częstochowie, było utworzenie, pierwszej w tym mieście, wyższej uczelni. Pomysł, który mógł się zrodzić, na bazie doświadczeń wojennego, „konspiracyjnego” Uniwersytetu; który zyskał wymierne wsparcie ze strony warszawskiego środowiska profesorskiego, które ostatnie miesiące okupacji spędziło w naszym mieście. Idea Wyższej Szkoły Administracyjno-Handlowej formalnie zgłoszona przez Izbę Przemysłowo-Handlową i Stowarzyszenie Kupców Polskich, natychmiast zyskała poparcie prezydenta Wolańskiego, to umożliwiło wpisanie w listopadzie 1945 r. szkoły w rejestr Ministerstwa Oświaty i uzyskanie rządowego dofinansowania. Na potrzeby WSAH budynek, przedwojenne gimnazjum handlowe, oddało stowa-

rzyszenie kupców. W styczniu 1946 r. odbyła się uroczysta inauguracja zajęć. Dotacja ministerialna nie wystarczała, zbierano środki z różnych źródeł. Kurator WSAH, prezes I P-H Klemens Kanczewski informował, podsumowując pierwszy rok działalności: Ministerstwo Oświaty dało 388 355 zł, Urząd Wojewódzki w Kielcach – 50 tys. zł, bank BGK – 50 tys. zł, zbiórka na Bratnia Pomoc – 35 tys. zł, darowizny z fabryk prywatnych – 13 460 zł, dotacja stowarzyszenia kupców – 10 tys.; łącznie na utrzymanie szkoły można było przeznaczyć 550 tys. zł.; zajęcia się odbywały, bo większość kadry pracowała „ideowo”. Przykład dawał pierwszy rektor WSAH Juliusz Braun, nie pobierający z tego tytułu żadnego wynagrodzenia.

Niedawno powstała wyższa Uczelnia typu gospodarczego na terenie Częstochowy wkracza w przyszłym roku akademickim już w stadium pełnej organizacji wszystkich trzech lat studiów. Trzeci rok z nieliczną grupą słuchaczy będzie musiał tym razem zachować jeszcze jednokierunkowość specjalizacji; którą Kierownictwo Szkoły uzależni od wyboru studentów. Natomiast frekwencja drugiego roku (ca 140 słuchaczy) oraz spodziewany napływ na rok pierwszy (około 300 słuchaczy) pozwolą w latach następnych rozwinąć wszystkie przewidziane kierunki specjalizacji, a więc kierunek administracyjny, samorządowy, ogólnohandlowy, spółdzielczy i ubezpieczeniowy /.../. Kierunek i środki naukowe Szkoły odpowiadają niewątpliwie terenowi działalności Szkoły. Okręg częstochowski, pobliskie Zagłębie i Śląsk oraz okręg kielecki i radomski mają dużą chłonność fachowców gospodarczych /.../ Orientujemy się doskonale w brakach, jakie powstały w przygotowaniu formalnym młodzieży do studiów akademickich w okresie okupacji. Dlatego też duży nacisk zamierzamy położyć na ćwiczenia seminaryjne i samodzielnyą lekturę według wskazówek profesorów i asystentów, jako na poważne środki pomocnicze dla głównej metody akademickiego nauczania: wykładu ex cathedra. Wymagania w zakresie samodzielnej pracy zwiększamy stopniowo, co wyraża się w rozplanowaniu przedmiotów na poszczególnych latach studiów. Na pierwszym roku budujemy podstawę historyczną i teoretyczną do dalszych studiów, na drugim – dajemy pogłębienie tematów, które każdemu fachowcowi gospodarczemu, niezależnie od obranego zawodu, są potrzebne, trzeci rok wreszcie jest okresem zdobywania wiadomości z zakresu specjalności, wymagających już podbudowy ogólnego przygotowania naukowego.

– pisał kolejny rektor szkoły Alfred Czarnota. Prezydent Wolański miał

foto. Tomasz Bieniek



W latach powojennych częstochowski przemysł odbudowywał się ze zniszczeń. Na zdjęciach zabudowa fabryczna pamiętająca tamte czasy.

inne ambicje – chciał by w Częstochowie powstała wyższa uczelnia techniczna. Izba także to wsparła – zorganizowano zbiórkę na zakup książek dla wspólnej biblioteki. Gdy w 1948 r. pod potrzeby WSAH zagospodarowano dawne koszary na Zawadach, część pomieszczeń przekazano powstającej Wyższej Szkole Inżynierskiej (Politechnice Częstochowskiej).

Druga z inicjatyw Juliusza Brauna wydawała się równie nierealna. W tradycji częstochowskiej leżała pamięć o wielkiej Krajowej Wystawie Przemysłu i Rolnictwa w 1909 r.; największej w Królestwie Kongresowym. Do tej idei wracano w okresie międzywojennym kilkakrotnie, bez budujących rezultatów. Wydawało się szaleństwem urządzić wystawę tuż po opuszczeniu miasta przez Niemców i sowieckich „wyzwoliciele”. Brakowało pieniędzy na odbudowę najważniejszych obiektów publicznych – szkół i szpitali. Dźwigał się dopiero z ruin miejscowy przemysł. Ale dobry pomysł przebił się do wybrańni decydentów: Braunowi udało się przekonać do tej inicjatywy nie tylko Wolańskiego, ale i urzędników wojewódzkich z Kielc. Wybrał jako miejsce niezagospodarowane działki przyległe do III Alei, należące do Kurii Biskupiej; biskup Kubina bez problemu je odstąpił pod potrzeby wystawowe. Termin pierwszej wystawy „Przemysł – Rolnictwo – Rzemiosło” wyznaczono na okres od 7 września do 6 października 1946 r., tak by obejmował „pielgrzymkowy” dzień 8 września. Efekt opisywał „Dziennik Zachodni”:

W pięknych, obszernych i dobrze oświetlonych pawilonach, zbudowanych na terenie Kurii Biskupiej przy ulicy Najśw. Panny Marii można zobaczyć produkcję kopalni rudy żelaznej, hut i fabryk metalowych, wysokiego gatunku;

wytwory włókiennicze, przemysłu skórzanego, maszynowego i mebli stalowych /.../ Imponująco wygląda pawilon Lasów Państwowych, dokoła którego stworzono sztucznie las, a wśród zieleni widać ukryty obóz harcerski. W osobnych pawilonach rozmieszczono eksponaty rzemiosła, pokazano dorobek organizacji spółdzielczych i oświatowych i udostępniono zwiedzającym oglądanie ciekawego Muzeum Regionalnego Ziemi Częstochowskiej. Reprezentowana jest także na wystawie prasa polska. Nie zapomniano również o pawilonie rozrywkowym. Jak już zaznaczyliśmy, wystawa wywołała ogromne zainteresowanie w całym kraju przy czym do ostatniej chwili napływały zgłoszenia wystawców z całego kraju, których z braku miejsc nie można było uwzględnić.

Wystawa miała swoją kontynuację: kolejna – Wystawa Społeczno – Gospodarcza połączona z Jarmarkiem Częstochowskim – od 9 sierpnia do 30 września 1947 r.; trzecia – Wystawa Przemysłowo – Rolnicza i II Jarmark – od 7 sierpnia do 30 września 1948 r. Na wystawach gościli przedstawiciele Ministerstw: Rolnictwa, Przemysłu i Handlu. Dyrektorem wystawy, odpowiedzialnym za jej promocję, został Witold Zembrzusi, dziennikarz i działacz krajoznawczy, przybyły po Powstaniu w Warszawie. Z okazji wystawy wydano przewodnik krajoznawczy po Częstochowie i okolicach przygotowany przez Helenę Hohensee z Muzeum Regionalnego.

Połączenie terminu wystawy z terminami pielgrzymek odzwierciedlało kolejną ideę kreowaną przez Juliusza Brauna. Miasto od stuleci było centrum pielgrzymkowym, ta funkcja także wpływać powinna na rozwój gospodarczy. Podstawową sprawą było zabezpieczenie podstawowych

warunków dla obsługi pielgrzymujących. W lutym 1946 r. w Izbie Przemysłowo-Handlowej powstała specjalna Komisja Turystyki i Ruchu Pielgrzymkowego:

w której skład weszli przedstawiciele władz rządowych, samorządowych, duchowieństwa, sfer gospodarczych i ogólnospołecznych. Dzięki temu szerokiemu wachlarzowi współpracy sprawy ruchu pątniczego ruszyły z miejsca. W dziedzinie kwaterunku, który był najłabszą stroną zagadnień pątnicznych, Komisja uzyskała od Zarządu Miejskiego baraki poniemieckie na Złotej Górze, które zostaną odpowiednio dostosowane i przeznaczone dla pątników. Poza tym Komisja czyni starania, o uzyskanie z zapasów demobilizacyjnych namiotów, które dałyby się zużytkować przez rozstawienie ich w okolicach Jasnej Góry na odpowiednio przygotowanym pod względem sanitarnym terenie /.../. Sprawa masowego wyżywienia wiąże się ściśle ze sprawą kwaterunków: większość pątników, pochodząca ze wsi, przywozi zaopatrzenie ze sobą. Tym niemniej uruchomienie tanich kuchni cieszyłoby się na pewno powodzeniem, a niewątpliwie przyczyniłoby się do podniesienia warunków zdrowotnych i do ułatwienia pobytu pątników w Częstochowie. Wszystkie poprzednio wymienione sprawy muszą być postawione w sposób właściwy również z punktu widzenia estetyki i higieny. Warunki zbiorowych zjazdów powodują wzmożenie niebezpieczeństwa chorób i wymagają wkroczenia higienistów, lecz zarazem stwarzają warunki do szerzenia wśród najszerzych rzesz poczucia piękna i porządku. Względędy te będą wzięte pod uwagę przy urzędzeniu kuchni, baraków, dworców i t. p. /.../.

Inicjatywy komisji przy IP-H konkurowały z ambicjami władz miasta. Prezydent Wolański powołał w kwietniu 1947 r. Miejskie Biuro Obsługi Ruchu Pielgrzymkowego, planował urządzenie schroniska dla pielgrzymów w przejętych od wojska koszarach na Zawadach. Jasna Góra odmówiła współpracy z inicjatywą urzędu, nie udało się także magistratowi pozyskać środków na ten cel z Ministerstwa Administracji. Pozostawiano więc kwestie zabezpieczenia usług dla pielgrzymów I P-H, przekazując je pod WSAH i ewentualne schronisko dla pielgrzymów koszary. Wspomniane w tekście względy na kształtowanie „wśród najszerzych rzesz poczucia piękna i porządku” wiązały się z kolejną inicjatywą Izby.

Izba Przemysłowo-Handlowa w Częstochowie, która czuje się specjalnie powołaną do czuwania nad sprawą poziomu artystycznego dewocjonalii, już w jesieni ubiegłego roku powołała Komisję dla Spraw Wytwórczości i Zbytu Dewocjonalii, podzieloną na trzy sekcje: kwalifikacyjną, szkolenia i doszkalania oraz



propagandową. /.../ Obecnie zorganizowany został w Częstochowie, na terenie fabryki „Czyn”, z ramienia Centralnego Instytutu Kultury i przy współudziale Częstochowskiej Szkoły Sztuk Pięknych specjalny kurs, który ma za zadanie: 1) wydobyć pierwiastków regionalnej, oryginalnej, ludowej twórczości poprzez skupienie talentów artystycznych, wyrosłych w ludowym środowisku, 2) podniesienie kultury estetycznej wśród młodzieży robotniczej i wiejskiej, 3) nawiązanie kontaktu z przedstawicielami dawnej, zanikającej już tradycji w dziedzinie ludowej twórczości artystycznej i przekazanie tej tradycji nowemu pokoleniu /.../. Wychowaniu smaku odbiorców służą wystawy, targi, pokazy. Na tegorocznej wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie, artystyczny przemysł dewocjonalny był już reprezentowany, aczkolwiek w skromnych jeszcze rozmiarach.

Nie był to jeszcze czas „wojującego ateizmu”, władza próbowała podtrzymywać dobre stosunki z Kościołem. Wolański, choć ateista, maszerował w procesji Bożego Ciała; nie wytykał więc Braunowi, że ten – jako gorliwie wierzący – codziennie modli się, przed pracą, w kościele św. Jakuba.

Margines wolności powoli się zawężał, dotyczyło to zwłaszcza podstaw działalności Izby, czyli swobody działalności gospodarczej i gwarancji własności prywatnej. Od 3 stycznia 1946 r. obowiązywała ustawa o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej. Zgodnie z nią bez odszkodowania przejmowano wszelkie zakłady przemysłowe, instytucje finansowe, przedsiębiorstwa handlowe należące do Niemców (za wyjątkiem tych, które zostały polskim właścicielom odebrane podczas okupacji). Za odszkodowaniem przejmowane zostały przez Państwo wszelkie przedsiębiorstwa polskie zatrudniające ponad 50 osób na jednej zmianie oraz mniejsze z 17 branż wymienionych w ustawie (od kopalni i hut po olejarnie i drukarnie). Odszkodowanie wypłacano w postaci papierów wartościowych, o wątpliwej wartości. Interpretacja ustawy zależna była od dekretów ministerialnych, a od decyzji nacjonalizujących nie było odwołania do sądu. Przedsiębiorcy zrzeszeni w Izbie liczyli, że ich ominą apetyty upaństwowienia, bo ich rola w odbudowie gospodarczej kraju była niekwestionowana. Iluzję równouprawnienia przedsiębiorstw państwowych i prywatnych podtrzymywały dokumenty tworzące tzw. 3-letni plan gospodarczy.

Upaństwowienie nie rozwiązywało podstawowych problemów. Odnotowywano braki w dostawach węgla i podstawowych produktów spożywczych, co wpływało na pogorszenie nastrojów. pogarszające się nastro-



je, wzrost cen, brak węgla i żywności. W dniach 22–23 lutego 1946 r. miał miejsce strajk w zakładach Union Textille, przyczyną był spór o przydziały unrowskie. Łącznie w lutym odbyły się 4 strajki i uczestniczyło w nich 3500 robotników. W maju 1946 strajki miały miejsce w dniach 6–10 maja, protestowało 4 200 robotników z zakładów włókienniczych i ceramicznych. W październiku 1946 r. był strajk „Częstochowianki” – 1850 robotników. Złe nastroje społeczne, stanowiące zagrożenie dla nowej władzy, starano się ukierunkować wskazując jako winnych spekulantów i prywaciarzy. 20 stycznia 1946 r. otwarto w Częstochowie delegaturę Specjalnej Komisji do walki z nadużyciami gospodarczymi i szkodnictwem gospodarczym. W pierwszej kolejności kontrole komisji dotyczyły prywatnego handlu; pod zarzutem zawyżania cen nakładano rujnujące wysokie grzywny, w niektórych wypadkach „winnych” kierowano do obozu pracy. Podobnymi metodami zaczęto zwalczać prywatny przemysł. Przykładem „dyscyplinującym” była sprawa Edwarda Kindermana, któremu zarzucono współpracę z okupantem niemieckim i po skazaniu na więzienie skonfiskowano należącą do niego fabrykę wózków dziecięcych. Podobny los podzieliła firma budowlana Büllge. W styczniu 1947 r. aresztowano prezesa IP-H, właściciela Odlewni, Klemensa Kanczewskiego. Proces Kanczewskiego, jego żony Zofii oraz współpracownika Longina Kwaśniewskiego odbył się w kwietniu 1947 r. Zarzucono im kontynuowanie nielegalnej działalności Stronnictwa Narodowego. Klemens Kanczewski był od 1942 r. liderem lokalnych struktur SN, partii wchodzącej w skład „rządu londyńskiego”. Po wojnie utrzymywał kontakty z innymi działaczami stronnictwa, szukając możliwości legalizacji

partii. Sąd uznał go winnym kierowania nielegalną organizacją, „uprawiającej zbrodniczą działalność emigracyjnego rządu londyńskiego”. Skazano go na 6 lat więzienia, żonę Zofię na 3 lata, Kwaśniewskiego na 5 lat. Wyroki skrócono na mocy amnestii, ale majątek Kanczewskich, w tym dobrze prosperująca Kancelaria, został skonfiskowany.

Aresztowanie prezesa IP-H oznaczało koniec możliwości realizacji inicjatyw dyrektora Juliusza Brauna. Nowym prezesem został we wrześniu 1947 Józef Nowak, człowiek bez szczególnych właściwości. 18 czerwca 1947 r. odwołano z funkcji prezydenta miasta Tadeusza Wolańskiego, nowy Stanisław Wiczorek był typowym „klasowym” komunistą. Szykowano się do zjednoczenia PPR z PPS pozbywając się z obu partii osób niezależnie myślących. Wiosną 1948 r. odwołano Juliusza Brauna ze stanowiska dyrektora IP-H, pozwolono mu tylko dokończyć przygotowania do trzeciej wystawy. Stracił także funkcję rektora WSAH, szkoła – na szczęście zdążyła się przeprowadzić do wyremontowanych pomieszczeń dawnych koszar.

W „mikołajki”, święto radośnie obchodzone w rodzinie Braunów, 6 grudnia 1948 r., wczesnym rankiem, łomot zbudził domowników mieszkania w budynku IP-H na rogu ul. Raclawickiej i Kilińskiego. Najmłodszy z dzieci, Juliusz, miał trzy miesiące, płaczem przywitał nieznaną gość. Senior Braun został aresztowany, rodzinę cały dzień przetrzymano w „kotle”, nie wypuszczając z kuchni. Pretekstem było poszukiwanie Jerzego Brauna, byłego Delegata Rządu.

Skończył się czas pozytywizmu, zaczął stalinizm. Do częstochowskiego domu wrócił Juliusz Braun dopiero w 1953 r., zaliczając po drodze kilka więzień.

Pamiętnik (9)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Piątek, 30 października [1936].

Mam katar i zaczynają mnie boleć zęby. Niczego mi się nie chce. Nie mam smaku na najlepsze potrawy. Nie mogę wytrzymać dłużej nad książką.

W pokoju czuję się jakoś skrępowany. Biorę więc kapelusz, ubieram płaszcz i wychodzę. Deszcz przestał polatywać, ale jest okropnie mokro. Przez dziurawe buty odczuwam chłód. Ręce wpycham do kieszeni i pochylony kroczę trotuarem. Mijam obojętnie przechodniów. Mówię coś do siebie, aż się wszyscy za mną oglądają. Potem rozkładam ręce, co ma oznaczać jakieś „trudno”.

Drzewa strząsają na dół zimne, lodowate krople deszczu. Jedna dostała mi się za kołnierz. Roztopia się prędko. Potem cienką, złobiącą strugą spływa plecami na dół. Miły dreszcz wstrząsa mną. Brrr — — —

Od czasu do czasu kaszlę. To jest niby konieczna wymowa moich spacerów. Po tym mnie każdy z daleka rozpozna. Garbię się potem jeszcze bardziej i wyrzucam z siebie suchą rozmowę kaszlu. Może ktoś pomyśli, że jestem naprawdę chory. Szkoda tylko, że ten ktoś nie będzie mógł zdefiniować mojej choroby, nie będzie jej mógł całkiem dobrze określić.

Lubię dużo chodzić. Chodzić, spacerować aż do upadku, aż do prawdziwego zmęczenia. Fizycznym zmęczeniem chcę zrównoważyć tę mękę, jaką jest ogrom myśli (pułk za pułkiem przelatujący w kurzawie, w grzmotach wystrzałów przez moją głowę – a potem snują się boleśnie, chyboliwie, turkocąc po nierównym polu wozy Czerwonego Krzyża – i znów przelatuje duchawica^[1] wojenna, namiętna, burzliwa). Ciągły ruch, ciągle chodzenie jest fizycznym wyczerpaniem nadzwyczajnej pobudliwości nerwowej, jest spławieniem burzliwych tratów myśli do portu względnej ciszy, względnego spokoju. Ten intensywny ruch jest dla mnie odpoczynkiem. – Ogarnia mnie to samo, co Mickiewicza za czasów kowieńskich, kiedy „chodził i chodził”... często bezsensy, kawą i fajką tylko żyjący...

Sobota, 31 października.

Byłem w Jaśkowicach. Stefa. Naiwna, dziecinna powaga. Marysia. Śliczna, swobodna dziecinka. Ja? Wariat. – Ciemno. Droga wąska i błotnista. Bieg, bieg, bieg. Szalony bieg wzdłuż toru na stację kolejową.

Po co o takim wariactwie pisać?
Po co?]^[2]

Niedziela, 1 listopada.

Korowód czarnych postaci snuł się błotnistą drogą na cmentarz. Droga opada aleją nagich drzew na dół. Podpływa pod ogród migotliwych, płomienistych kwiatów. Błoto jest lepkie. Oblepia buty grubą warstwą wokoło.

Dziwnie wyglądał ten tłum przepychający się wśród milczących krzyży. Pachniało choiną, świeżą, zieloną choiną. Płomyki migotały żółto wśród zieleni. Wśród białych i czarnych pączków imitowanych róż. Wiatr wydłużał lub podgru-

biał lekko świece. Ktoś przyniósł żywe, białe kwiaty. Może to były astry, a może jakieś spóźnione dalie.

Kopuła niebios nakryła cmentarz półkolistym kloszem.

Ludzie.

Szept modlitewny.

Zmęczenie jakieś.

— Pod nogami glina. (Ulepić z niej figurynkę i tchnąć w nią ducha. Powiedzieć: Rozkazuję Ci, abys żył). Brzozy – nieruchome. Poszarpane przez wiatry owisają pętami gałęzi na groby.

Groby.

Krzyże.

Zmęczenie.

Nic. Nic. Nic.

A Erwin?

Żyję. Jednak — — —

Na cmentarzu byłem z Władkiem. Pomodliłem się na grobie dziadka, a potem pod krzyżem zasadziłem kwitnąco żółto świeczkę, ofiarując ją ku pamięci Erwina. Deszcz posipywał drobny jak mgła. Ciął ostrymi, miniaturowymi ziarnkami w twarz.

Cmentarzem przepływa fala zapomnienia. Jakieś obłądne zapomnienie, które nagle się przypomina. Ludzie krążą tak jakoś niemrawo, jak chochoły w czarnych ubraniach. Ktoś przykładą chusteczkę do oczu. Czyjeś ręce wyrażają rozpacz. Pogarbione, niskie groby stoją równo jak na przeglądzie. Porost czarnych krzyży ciągnie równymi rzędami, tam i z powrotem, wzdłuż i w poprzek. Szachownica grobów dyszy ciepłymi oddechami świec. Dookoła cmentarza są pola. Kroczy nimi wiatr. A na cmentarzu posipuje drobny, ziarnisty deszcz. Na wargach zastygł cichy, cichszy szept wiatru. Modlitwa buntuje się w duszy, aż wreszcie wybuchnie krzykiem płaczu.

Modlitwa — — —

Boże! Ty, który przeciągasz groźnie drogę od kościoła na cmentarz – często – co dzień... Ty, który nocami szumisz mi pod oknami, wysłuchaj moich próśb: Kiedy umrę, niech będę żył w czyimś sercu (w czyimś? – Ty wiesz), kiedy umrę, niech mi ktoś powie ostatnią, najważniejszą tajemnicę, której nie znam. Amen.

Poniedziałek, 2 listopada.

Jeżeli ktoś z kolegów potrzebuje zadania z jęz.[yka] polskiego, wie, że wystarczy się zwrócić do mnie, aby je mieć. Każdy, kto mnie prosi o napisanie zadania, nie ma potrzeby troszczyć się o nic więcej. Piszę dla każdego i obojętnie na jaki temat. Nie biorę za to pieniędzy, chociaż niejeden uważa to za transakcję dokonywaną przeze mnie. Piszę za darmo. Nawet papier daję. Jest to moja pasja.

Dziś napisałem Motyce^[3] na temat powiedzenia Słowackiego: „...niech żywi...” itd. Chciał krótko na dwie strony, ale przecież nie mogłem pominąć okazji, aby na tak świetny temat nie napisać co najmniej sześciu stron. Inna rzecz, czy belfer mu uwierzy, że to jest jego elaborat.

Przeczytałem mu ją. Podobało mu się niezmiernie, prosił jedynie, aby zamiast niektórych obcych wyrazów, których nie zna, wstawić nasze, swoje.

Dziwię się, dlaczego tak mało uczniów interesuje się literaturą. Przeważnie polskie odrabia się ot, tak – aby zbyć. A przecież jest to podstawa naszej narodowości. Właśnie literatura, której większość gimnazjalnej młodzieży nie lubi, bo nie docenia.

Co do tego, to mi się i Władek, i Ryś nie podobają. Władek ma radio. Prosiłem go więc wczoraj, abyśmy poszli słuchać transmisji *Wesela* Wyspiańskiego, które właśnie nadawano^[4].

– *Wesele* jest nudne – zaopiniował Ryś.

– Święty Stanisławie! *Wesele* nudne – przecież to bluźnierstwo, obraza, której nie da się zmyć.

– Nie musimy go akurat słuchać. Jest to nam niepotrzebne – perorował Władek.

– Powinniście się wstydzić – zacząłem swoją lekcję. – Każdy Polak powinien umieć *Wesele* docenić i powinien je zrozumieć, a tym bardziej wy, którzy przygotowujecie się do matury.

Zresztą głos mój był głosem wołającego na puszczy. Zakrzykli mnie i poszli z jakąś dziewczynką do kina, a ja, chcąc nie chcąc, powlokłem się z nimi, gdyż radia nie miałem gdzie słuchać. Bilety fundował oczywiście Władek.

Wtorek, 3 listopada.

Zwykle po pierwszym jest w domu dużo hałasu. Spią się wierzyiele, którym nie ma czym płacić. Matka krzyczy, że trudno „pogrozić” pieniędzmi, że w ogóle jej wszystko obrzydło, że lepiej gdzieś uciec z domu przynajmniej na tę parę dni. Ojciec zarabia mało, a jeść musimy. Bierze się więc na kredyt. A potem nie dziwota, że deficyt jest przerażający.

Mnie to wszystko mało obchodzi. Moją ratę do „wiedzy” otrzymuje zawsze punktualnie od ojca. Matka narzeka, że są to pieniądze wyrzucone na darmo, ale ojciec, nie zważając na nic, daje co miesiąc dwadzieścia złotych, a więc sumę bardzo poważną w naszym skromnym domowym budżecie. I mimo to ojciec nie traci głowy w odróżnieniu od matki. Haruje ciężko po całym dniu na wierzyieli. Nie dziwię mu się nawet, że czasem zapija troski wódką. Jedno jest prawdą: ojciec zna sztukę życia. Pieniądze lokowane na konto mego wykształcenia nie mogą być stracone. Ma do mnie pełne zaufanie. Jestem pewny, że nie sprawię mu zawodu. Że kiedyś i matka rozjaśni swoją twarz i przekona się, że jednak nie wyrzucała tych dwudziestu złotych miesięcznie na darmo.

Sztuka życia. Prawdziwa sztuka, gdy jest bieda, gdy nie opływa się w dostatki. Przed tą sztuką kapituluje wszelka filozofia. Twarde, ciężkie życie, umiejętnie prowadzone, mimo wszystko jest większą mądrością od abstrakcyjnego w tym wypadku rozumowania.

*Chleba w domu brak i cukru brak do herbaty,
bieda w drzwi się pcha – nocami – złowrogim gwarem.
Cóż obchodzi mnie – jak rozbić, jak zgłębić atom? – –
Primum vivere – deinde philosophari!^[5]*

Codziennie uprawiam dwa rodzaje gimnastyki: gimnastykę ciała – rano i gimnastykę uczuć – wieczorem. Do tej drugiej zaliczam czytanie *Pana Tadeusza*. Czytam go co dzień. Otwieram na chybił trafił. Czasem natrafiam na jakiś źle przemyślany wyjątek. Wgłębiając się weń i tak z dnia na dzień odkrywam w *Panu Tadeuszu* nowe wartości. Wstaje przede mną bóg litewski z ciemnego uroczyska w całej swej okazałości. – W gimnazjum przy obowiązkowej lekturze *Pana Tadeusza* nie widziałem w nim nic powabnego. I dopiero teraz kocham go, ten poemat, w którym grzyby pachną jak żywe, a żaby grają tak cudnie, że nie chce się iść na spoczynek do stodoły.

Czwartek, 5 listopada.

Nic się nie dzieje, nic się nie dzieje. Dzień jest powszedni aż do szaleństwa. Życie toczy się bez niespodzianek.

Rano idzie się do kościoła. A potem to męczące przedpołudnie. Nie wiadomo jak je przepędzić. Spacerować do po-

łudnia nie wypada. Przecież każdy coś w tej porze dnia robi. Uznano by mnie za bezużytecznego próżniaka. Po południu jest lepiej. Można spotkać się z kolegami. Można pójść do Rysia. Wieczór jednak znów jest męczący. Obecnie skończyło się już różańcowe nabożeństwo i trzeba siedzieć w domu. Ewentualnie znów spacerować po ciemnych ulicach Czerwionki. W domu jest wieczorem ciepło nie do wytrzymania. Światło świeci słabo. I tak w tej atmosferze trzeba przesiedzieć cały długi wieczór, trwający już od piątej do dziewiątej. O dziewiątej ojciec idzie do pracy i można iść wreszcie spać do jego łóżka. – A na drugi dzień znowu to samo.

Będę musiał wreszcie poszukać jakiegoś źródła dochodu. Mam dość długów i nie wiem, czym je spłacić. Potrzebuję dużo książek i czasopism, a nie wiem, skąd na to wziąć pieniądze. W „wiedzy” mam zaległości, ojciec nie może już płacić regularnie rat. I tak dalej. A więc trzeba coś zarabiać. Otóż w tym sensie kombinowałem przez ostatnie dni. Wreszcie w „I.K.C.” przeczytałem, że w wydawnictwie Trzaski, Everta i Michalskiego poszukują akwizytorów. Napisałem więc pocztówkę i otrzymałem odpowiedź przychylną. Muszę teraz tylko wysłać dwie fotografie mojej facjaty. Stawki prowizyjne są dość wysokie i przy pewnym szczęściu mogę zarobić tygodniowo ok. 30 zł. Poza tym wydawnictwo to wydało wiele cennych naukowych dzieł. Mogę więc w ten sposób zdobyć się na kupno dzieł, które w innym razie nigdy by nie mogły być przeze mnie nabyte ze względu na ich wysokie ceny. Oczywiście, że w pracy tej więcej niż kiedy indziej potrzeba szczęścia, a co za tym idzie – pomocy Boga. Wymowny cośkolwiek jestem, ale wstyd mnie trochę chodzić po domach. Wygląda to tak, jakbym żebrał. Jest to swoją drogą fałszywy wstyd i trzeba go bezwzględnie zwalczyć. Dzięki Bogu bowiem praca w tej branży nie przynosi upokorzeń. Jest to realizacja handlowa szczytnej idei szerzenia oświaty.

Moja powieść. Mój kochany Bartek. Moja kochana Miłka. Z jakim entuzjazmem pisałem te dzieje „człowieka nijakiego”, z jakim ukochaniem kreśliłem sceny swojskie i znane mi w najmniejszym szczególe. Co dzień kładłem na papier ułamek dzieła. Skończyłem powieść dokładnie 30 kwietnia. Od tego czasu leży w rękopisie. Jestem pewien, że „Katolik” chętnie by ją drukował. Jednakowoż nie mam gdzie przepisać powieści. Musi to być maszynopis, a na jego sporządzenie brak mi pieniędzy. Poza tym jak męcząca praca jest dla mnie przepisywanie ręczne tyłu, tyłu kart. A więc moja kochana powieść musi jeszcze leżeć w rękopisie.

Byliśmy z Rysiem u Władka. Coś nas popchnęło zwiedzić piwnice, których dotychczas nie znaliśmy. Władek więc wziął pęk kluczy i świecę, i jak Gerwazy Mickiewiczowski zaczął nas oprowadzać po piwnicach. Ja mam z Rysiem tę samą pasję przebierania w starych gratach. Zawsze można znaleźć coś pożytecznego, co dla innego może być nic nie wartą rzecz. Zresztą tak się i stało. Najpierw Ryś znalazł akwarium na rybki. Z powybijanymi szybami, ale zawsze „zdolne” jeszcze do użytku. Wykrzyknął:

– Od dawna już dybię na akwarium. Czemuś mi o tym nie wspomniał?

– Myślałem, że to już jest na śmiecie.

Potem ja szukając między skrzynkami na półkach zauważyłem trzy małe, zgrabne skrzynki w czarnej oprawie. A w nich znajdowały się kolekcje cennych... chrząszczy i owadów.

– Czyje to? – pytam.

– Moje – odpowiada Władek – miałem kiedyś zainteresowanie dla podobnych świństw.

– I wyrzuciłeś to do piwnicy?

– A cóż miałem z tym robić?

Kolekcja była w oplakany stan. Jakiś twór zakradł się do skrzynek i powygrzyzał chrząszczom brzuchy. Z wielu zo-

stały tylko skorupy powłok i skrzydeł. W każdym razie niektóre, również cenne, można było jeszcze uratować. Wziąłem więc skrzynki do domu. Przemycie okazy w spirytusie, a potem rozmieszczę je w skrzynkach na nowo, a[le] estetyczniej niż to zrobił Władek.

Powiedział mi jeszcze:

– Jak ty się możesz rozczułać nad robakami, które już dzień lat nie żyją? Przecież to jest poganizm. Mam nadzieję, że cię z tym matka wyrzuci.

Nie tylko nie wyrzuciła, ale nawet z zainteresowaniem oglądała kolekcje.

Piątek, 6 listopada.

Nawet sam nie wiem, dlaczego kocham tak mocno *Pana Tadeusza*. Czytam go w każdej wolnej chwili, na wrywki, po kawałku. Czasem czytam jeden i ten sam wyjątek kilka razy dziennie i mimo to słowa te są zawsze świeże, zawsze pełne soczystej wilgoci łąk, cienia ogromnej puszczy i płynnego jak miód słońca. A poza tym, ten humor, ta pogoda, która każe nam się uśmiechać do każdej osoby, do każdego drzewa. Osoby Pana Tadeusza to moi starzy przyjaciele. Gwarzę z nimi, tak po sąsiedzku. Wiem dokładnie, co mogą, a czego nie mogą odpowiedzieć na moje pytania. A najlepiej lubię rozmawiać z Zosią. Wprawdzie nie podoba mi się trochę ta naiwność, ale to jest łatwe do wytłumaczenia. Zosia jest zgrabna. Krągłe pączki piersi dodają jej powabu. Złote papiloty uartyśczeniują jej główkę. Zosia, mam wrażenie, jest od Telimery już dobrze objaśniona w kwestiach miłosnych. I musi już na pewno wiedzieć, co to jest miłość, czy jest konieczna i kiedy powinna przyjść. Jesliby była dzieckiem, nierozbudzonym jeszcze całkowicie, to nie byłaby tak uparcie budziła „Pana Tadeusza” i nie byłaby się w nim tak prędko zakochała. Przecież ona musiała się już w nim kochać od pierwszego wejścia. Szkoda, że Mickiewicz nie przedstawił w swoim przepysznym języku sceny pocałunku Zosi z „Panem” Tadeuszem. Ale właściwie to mogę sobie wyobrazić, jakim jest pocałunek Zosi. Coś podobnego, jak przytknięcie do ust zroszonego kwiatka konwalii. Ta sama słodycz, ten sam uścisk ust, ten sam zawrót głowy i krew bijąca do góry. – Dość, że Zosię kocham. A dalej? Na drugim miejscu mimo wszystko nie stawiam Tadeusza. Lepiej podoba mi się... Protazy. Cześć, jak się masz Protazeńku? A staraj się pogadać z Zosią w pewnej sprawie. No, nie mrugaj oczami, bo chyba wiesz, o co mi chodzi.

Śmieszny jestem. Rozpisałem się zgoła fantastycznie. No, ale to jest fakt, że miłość moja do *Pana Tadeusza* wybiega szeroko poza ramy zakreślone jego pięknem i artyzmem. Że miłość moja odkrywa w nim to, co Mickiewicz zapewne pomysłał, a czego nie napisał.

Sobota, 7 listopada.

Przyszła do mnie pani Szymurowa. Ma trzech synów w gimnazjum, a jednego na medycynie w Poznaniu.

– Byłam na wywiadówce – zaczęła – w Mikołowie, i wyobraź sobie pan, syn ma z polskiego, z łaciny czwórkę. Zaraz też postanowiłam pójść do pana i prosić go o danie moim synom parę lekcji.

– Ależ owszem, bardzo chętnie.

– Więc jeżeli pan będzie miał czas jutro, to prosiłabym przyjść. Chociaż to niedziela, no ale chyba to nie sprawi panu żadnej przykrości.

– Dobrze, dobrze przyjdę.

A więc znowu trafiły mi się lekcje. Chwała Bogu. Będę je udzielał bardzo tanio. Choćby tylko – 50 zł za lekcję. Grunt, że coś jest.

Niedziela, 8 listopada.

Byłem u Szymurów. Dałem dwom chłopcom lekcję gramatyki oraz wymowy polskiej. Mają poważne braki. Przebierałem z nimi legendę o św. Aleksym. Rozbiór zdań jeszcze poszedł jako tako, ale gorzej było z opowiadaniem treści. Czulem

się trochę niewyraźnie, gdyż p.[ani] Szymurowa stała mi cały czas za plecami i wtrącała się niejednokrotnie do spraw, o których nie ma zielonego pojęcia. Jest z niej poza tym ostra, średniowieczna mamusia. Któryś z synów nie umiał znaleźć zbyt szybko książki i od razu dostał za to porządnie trzcina. Dyscyplina i rygor – to jej bożyszczka. Sama wdowa, sucha, przewrażliwiona na punkcie religijnym; niewiele, zdaje się, będzie miała pociechy z synów. Jedynie Reinhard, studiujący medycynę, jest z nich najpojętniejszy. Inni zbyt ciężko rozumują.

Potem podano mi podwieczorek. Musiałem wypić dwie filiżanki kakao, którego chronicznie nie znoszę. Była to dla mnie prawdziwa męka, ale zniósłem ją bez szemrania, aby nie obrazić gospodarskich aspiracji p.[ani] Szymurowej. Nie wiem jeszcze, ile „zechce” mi zapłacić za lekcje.

— — —

Chcieliśmy wieczorem wyciągnąć Rysia na przechadzkę, ale miał bardzo piękną chęć zostania w domu, nie marnowania drogiego bądź co bądź czasu na spacerze. Władek upierał się, właściwie chcąc go koniecznie wyciągnąć z domu, ale ja wziąłem stronę Rysia, więc dał spokój. – Władek się już przeprowadził do innego mieszkania. Ma teraz [na strychu] zgrabną, maleńką izdebkę, gdzie na pewno będziemy mieli większą swobodę w urządzaniu rozmaitych „ucz” i „bibek”. Chciałem słuchać u niego radia. Zaczęliśmy kręcić w aparacie i ostatecznie „wywołał” kilka stacji od razu. A naprawić tego nam się nie udało. Wobec tego wzięłem kapelusza, ubrałem palto, powiedziałem Władkowi „dobranoc” i poszedłem spać.

Poniedziałek, 9 listopada.

Mężczyzna wystarcza sam sobie. Nie trzeba mu do życia kobiet. I mężczyzna może się prędkiej obyć bez miłości od kobiety, bo ma wiele innych, szlachetniejszych celów do osiągnięcia w życiu. Powiedział Chamfort: „Ma się do wyboru albo kochać kobiety, albo je znać; im lepiej się je zna, tym mniej się je kocha”^[6]. Szczera prawda. Kobieta poznana jest dla nas przeważnie czymś wstrętnym, a w każdym razie niegodną szacunku i czci, czym się ją otacza. Bo kobiety poniżej w naszych oczach ta skądinąd opiewana kobiecość.

Książkę Lechickiego czytam co dzień i z coraz większym zainteresowaniem. Prawda jaka wieje z każdej strony tej książki przeraża mnie, a zarazem skłania do jasnego sformułowania swego obecnego stosunku do kobiety. W czasach przedwojennych byłoby takie zdanie pustą donjuanerią smarkacza, ale obecnie, kiedy kwestie seksualne stały się bliskie już w bardzo młodych latach, powyższe stwierdzenie jest nawet konieczne, gdyż daje legitymację moralną (lub niemoralną) danemu osobnikowi. – Otóż wiem, że jak każdy inny śmiertelnik nie jestem wolny od pożądania. Ale to można stępić. To można wyrwać z siebie jak niepotrzebny chwast. Ergo: kobiety winny mnie nie obchodzić.

Nie chcę. Nie potrzebuję. Wystarczy mi książka. Książki mają swoje uśmiechy i dają swoje rozkosze. A dalej – mówi Lechicki – „Między intelektualistami nie spotykamy też szczerze zakochanych; kto bowiem zaczyna filozofować na temat kobiet, szybko musi ostygnąć w zapałach do nich”^[7].

Nieszczęśliwi są ci, którzy nie mają szczęścia u kobiet. – Wykombinowałem już całą antykobiecą, antyseksualną teorię. Zaczynam z nią iść w życie. Zobaczymy, czy w zetknięciu z życiem rozplynie się niby powietrze z pękniętego baloniku, czy też stężeje jak stal.

Wtorek, 10 listopada.

Były tu jakieś sąsiadki z góry i rozmowa zesłała na temat religii, potem demoralizacji, a wreszcie kobiet. Zacząłem szafować Lechickim. Stałem się naraz okropnym antyfeministą. Cytowałem św. Hieronima, Hoffmanową^[8] i wielu, wielu innych – zdania niezbyt przychylnie odnoszące się do kobiet. Ostatecznie przyznano mi rację, bo ojciec tak samo szermował językiem, jak ja. *Passé!*^[9]

Wiem, co to znaczy wzruszenie. Silny, głęboki trzepot serca, nacisk na pulsa i te mętniejące oczy. Wzruszenie łamie najwytrwalszego mężczyznę. Musi się oprzeć o stół, aby nie upaść. Ale chciałby uściskać kogoś, chciałby spłynąć na kogoś ciepłym, radosnym spojrzeniem.

Wiem, co to znaczy wzruszenie. – Słuchałem w radiu transmisji z oddania buławy marszałkowskiej gen. Śmigłemu-Rydzowi. Ta masa podniecona do najwyższego stopnia, te mury Zamku Królewskiego, drżące od wyczekiwania na ten moment, który ma potwierdzić nowy dzień w dziejach Polski Mocarstwowej. Cisza. Szemranie lekkie rozpina się w powietrzu jak posucha. Ale cisza. Nagle – Jezu – ten trzepot w sercu, te mętniejące oczy – to Polska idzie, to nasz hymn narodowy! Dźwięki przeszły szybko, marszowo, z werwą jak oddział najwyborniejszego żołnierza. Jeszcze tupotały w powietrzu ostatnie bębniaste, marszowe tony. Jeszcze oczom trudno było uchwycić właściwą płaszczyznę widoku – słychać długie, ciężkie kroki pana Prezydenta i nowego Marszałka Polski. – Pan Prezydent mówił nierówno, chropawo ale mocno, ogniście. Odpowiedział dźwięcznym, podniebnym, młodym głosem Marszałek. Mówił, że nie byłby żołnierzem, gdyby nie czuł w tej świętej chwili wzruszenia. Że ma narodowi do spłacenia wielki dług. Że trudno jest robić plany lub czynić obietnice. Że w każdym razie rzetelna i gorliwa praca zawsze będzie jego towarzyszem, jego sztandarem bojowym. I gratulacje, gratulacje – – –

A potem znów. Znow ten trzepot w sercu i mętniejące oczy. Grano mazurka. Grano długo. Dużo krótkich, wiarusowskich zwrotek. Marszałek czynił przegląd wojsk. A orkiestra ciągle grała, grała, grała. – Nasyciłem się hymnem, nasyciłem przez te pół godziny Polską!!!

W imieniu attachés państw obcych złożył gratulacje nowemu Marszałkowi attaché militaire Czechosłowacji. Może to nie bez powodu? Klóćmy się przecież, my bracia Słowianie, a powinniśmy się kochać! Może wreszcie zniknie ta domowa niezgoda. Dałby Bóg. Ten Bóg, który czuwał przez wieki nad Polską i który dał Polsce krzyż i miecz w rękę, jak powiedział w tym swoim krótkim przemówieniu do Marszałka Śmigłego-Rydzia J.E. ks. kard. Prymas Hlond.

Chciałbym tam być w Warszawie, by móc razem z innymi krzyczeć z radości aż do szaleństwa, że to wszystko jest Polska! Chciałbym być jednym z tych żołnierzy, którzy mieli za szczyt sprezentować broń w dniu tym przed Polską. Chciałbym ogłuszyć siebie tymi armatnimi strzałami i tym biciem dzwonów. Chciałbym tam wreszcie uściskać pierwszego lepszego na ulicy, złożyć na jego policzku serdeczny pocałunek i huknąć mu w ucho na głos: To Polska idzie!!!

Słuchałem radia u wujka Sochola. Byłem osamotniony z moją radością. On w czasie audycji bawił się z czyzykiem.

Na dworze było słońce. Jeden z tych jesiennych dni, który ludzko przypomina wiosnę. Z domów wiszą wywieszane przez kopalnię na jutrzejsze święto flagi^[10]. Serce się uśmiechało do tego słońca, do tych sztandarów, łopocących chybliwie na jesiennym wietrze. W uszach łopotał mi twardy krok pieśni narodowej.

Wiem, co to jest wzruszenie. I wiem, co to jest święta radość.

Środa, 11 listopada.

Szalenie przydałoby się radio. Dziś np. śpiewano w nim proste, cudowne piosenki ułańskie. Przytknąłem uszy do szyby i chwytałem sączące się nierówno przez okno dźwięki. Radio grało u góry, u sąsiada. Muzyka była coraz bardziej chwytająca za serce, coraz bardziej swojska. Odszedłem od okna, by usiąść na sofie i podumać trochę...

Po nabożeństwie w kościele nie było pochodu, ani nic. Tu i tam łopocze sztandar. Poza tym domy są takie same. A szkoła. Przecież tu trzeba ludziom za łada okazją pchać w świadomość istnienie mocnej Polski. Uczyć się od Niemców. Ci heilują i wiwatują przy każdej okazji. A u nas jest cicho.

Sztandary w kościele stały cicho i skulone razem – jakby lękliwie. Mundury były rzadkie. Ksiądz intencją modlitw dzisiejszych wypowiedział półgłosem i na pewno mało kto go zrozumiał. W ogóle nie podobało mi się to wszystko. Ludzie ubrali się świątecznie jedynie z obowiązku — —

Po nabożeństwie spotkał mnie nauczyciel Krupa. Prowadzi on Tow.[arzystwo] śpiewu „Lutnia”.

– Chcemy urządzić „Mikołaja”. M.in. chciałbym wychłostać wszystkich członków zdrową satyrą. Wiem, że pan umie pisać różne wierszyki. Zwracam się więc do pana z prośbą o napisanie odpowiedniego wierszyka na każdego członka. Pan już robił takie rzeczy?

– Naturalnie, że robiłem. W gimnazjum napisałem m.in. szopkę na tamtejsze stosunki.

– Świetnie. Zwracam się z tym do pana, ponieważ jest pan Ślązakiem. Nie chcę się spraszać „gorolom”. Musimy być samowystarczalni. Prawda?

– Przecież. Ja chętnie to zrobię. Będzie pan jednak musiał mi podać charakterystyczne rysy każdego członka.

– Napiszę to panu na karteczce. Z góry dziękuję.

Owszem. Przyjemna praca. Czasu mam jeszcze wiele, więc chyba będę mógł p. Krupę zadowolić moją pracą.

Pojechałem z Rysiem do szpitala do Knuruwa. Jego ojciec uległ wypadkowi kopalnianemu, a ja mam tam aż dwóch wujków, również uległych wypadkom górniczym. Atmosfera szpitalna jest ciężka, niemal więzienna. Same ubiory już przywodzą na pamięć więźniów. Chociaż mnie nawet odpowiadałoby takie życie. Mam wrażenie, że nikt sobie nie może urządzić życia w szpitalu. Ja przez cały dzień przecież nie byłbym skazany na beczynne próżnowanie, na nudę. Naznosiłbym sobie książek, a dalej – mógłbym pisać. Coś z życia szpitalnego. To jest na pewno ciekawy temat. Pozornie jednak godziny mają jednak w sobie coś ciekawego, coś ekscentrycznego, egzotycznego wręcz. Przemijanie myśli musi tu na pewno następować pod ciekawym kątem obserwacji. Może jeszcze kiedyś poznam ducha szpitala, a co najciekawsze – rozkład całodzienny myśli i czynności pacjentów, którymi są niezbadani jeszcze do dziś dokładnie – górnicy.

Zawiozłem wujkowi małą flaszkę wódki od babki. Oczywiście, że się cieszył. Bo nawet żona jego nie przyszła go odwiedzić. Siedział przy oknie i patrzył się na powiewające na kopalni flagi.

Czwartek, 12 listopada.

By odczuć Piękno, trzeba być z nim sam na sam. By odczuć Boga, trzeba być z nim sam na sam. W zgiełku, w hałasie tego świata nie objawi się nam ani jedno, ani drugie. Odwracając^[11] się natomiast od świata, jesteśmy bliżej tamtych wielkich rzeczy. A więc – samotność. – Takie myśli wysnułem z dzisiejszej nauki ks. Drobrego^[12] na rekolekcjach dla młodzieńców.

Piątek, 13 listopada.

Do nowego mieszkania Władka idzie się tą samą drogą. I do tej samej sieni tego samego domu, bo... Władek przeprowadził się z dołu do góry. I właśnie dopiero schody do góry są dla mnie nową drogą. Idzie się równo i niemęcząco – po schodach – do góry. Bokami wyrastają obrzydłe kaktusy, nad głową wiszą jakieś wiechcie od słomy^[13]. Potem bliżej strychu wchodzi się w strefę wiecznej ciemności (w nocy nie ma tam światła, a we dnie słońce nie dochodzi). Drzwi jego pokoju wyglądają bardzo niestylowo i bardzo ubogo. Zresztą i sam pokój to klatka naga, w której rozwaliła się kanapa, wyrosła szafa i przypadło do ściany biedne (siaduje się w nim) biurko. Tam mieszka Władek. Tam przychodzi ja i czasem Ryś. Najczęściej zaś nikt, ani Władek. Z okna tego pokoju oczy padają w przepaść ulicy, przez cały dzień zaspanej i cichej.

W tym pokoju Władek wypowiedział dzisiaj te wielkie, historyczne słowa:

– Żeby być porządnym, trzeba być czasem świnią.

Oj Władku, Władku!

Trzeba być aż naprawdę świnią? – Do dupy z taką teorią, jakby na pewno powiedział Boy.

Niedziela, 15 listopada.

Wczoraj i dziś poszedłem późno spać. Siedziałem u Władka do późnej nocy. Słuchaliśmy radia, dyskutowaliśmy, wygłupialiśmy się natomiast najczęściej. Tak bywa. Władek zazwyczaj nuci jakąś wariacką melodię, jakieś dzikie *staccata*^[14] – ja mu zaczynam wtórować basami, a Ryś sopranem, cieniutkim, podniebnym. Jestem pewny, że nawet jego Marysia tak nie potrafi. Oczywiście, że zagłuszamy całkowicie tanga radiowe. Zresztą potrafimy doskonale naśladować chór „Dana”, a więc wychodzi u nas szczególnie dobrze i to na wszystkie głosy „mruczando” oraz „buczando”. I tak dalej...

Biblioteka T.C.L. w niedzielę jest stanowczo zapchana ludźmi. Zwykle chodzę zamienić książkę w czasie tygodnia, ale dziś poszedłem dla ciekawości. Rzeczywiście. Ludzie jednak czytają. I to nie tylko młodzież, ale i górnicy starzy, którzy zresztą mają i swoją „Naszą czytelnię”. Książek, które ja wybieram, nikt nie czyta. Leżą na półkach osamotnione, grube i poważne. Bo któżby wziął *Historię chłopów*^[15] czy *Osmana*, czy poezje Orkana, czy wreszcie nawet Maeterlincka? Wołaj Maya, Vernego i różnych innych Marczyńskich^[16].

Poniedziałek, 16 listopada.

Śniło mi się, że Stefa z Marysią przyjechały do Czerwonki. Ja siedziałem u Władka. Zaanonsował nam je Ryś, który nie wiadomo skąd się wziął. Powitałem je bardzo obojętnie i nerwowo, gdyż byłem zajęty jakimś pisaniem. Ostatecznie powiedziałem im, że najpierw muszę skończyć to „ważne” pisanie i potem dopiero mogę służyć moją osobą.

– Przez ten czas możecie się gdzieś przespacerować. Spokamy się za parę godzin – dodałem.

Wynieśli się wszyscy.

Po skończeniu roboty wyszedłem z pokoju. Chodziłem po ulicach i nie mogłem ich nigdzie znaleźć. Dopiero grubo po południu natknąłem się na Rysia, idącego od strony Jaśkowic^[17].

– Skąd idziesz? – pytam go.

– Z Jaśkowic^[18]. Odprowadziłem je. Pobłąkaliśmy się trochę w lesie.

– W lesie?

– Tak. I wyobraź sobie: widziałem je nagie.

– Nie bujaj.

– Słowo daję. Rozebrały się i ułożyły się na mchu aż soczystym od słońca. Z upojeniem Stefa wsłuchiwała się w szum lasu. Jak zwykle szalona.

– A ja jak zwykle spóźniłem się, by być współredaktorem tego szaleństwa. Zawsze się spóźniam, jeżeli chodzi o miłość.

Staram się wiernie powtórzyć naszą rozmowę i w ogóle cały sen. Są w tej relacji luki, no trudno, w każdym razie szkielec tego dziwnego snu był na pewno taki. Zaiste dziwny, dziwny a w dodatku pełen realizmu sen.

Dowiedziałem się z I.K.C., że p. Folmer Wisti^[19], Duńczyk, lektor duńskiego jęz.[yka] na Uniw.[ersytecie] Jagiell.[ońskim] tłumaczy *Pana Tadeusza* na swój ojczysty język. Napisałem dziś do niego list z prośbą o parę informacji z tego zakresu. Interesują mnie przecież przekłady *Pana Tadeusza*. Kiedyś na pewno napiszę na ten temat gruntowną i źródłową książkę. A kolekcja przekładów musi być bezwzględnie kompletna. – Władek odbił mi list na maszynie. Przyniósł mi go w południe.

– Tyś zwirował – zawołał. – Powiedziałeś, że to jest robota na pięć minut, a tymczasem zajęło mi to godzinę czasu.

– Ano, trudno, trzeba prędzej pisać.

Spojrzał na mnie wściekle i poszedł. Jutro się pierwszy do mnie uśmiechnie. ■

Przypisy

* Bardzo dziękuję prof. Grażynie Barbarze Szewczyk za pomoc w odczytaniu niektórych fragmentów *Pamiętnika*, a także za dodatkowe uwagi, które mogłem spożytkować przy opracowaniu przypisów.

^[1] Tak w rkps. Prawdopodobnie Szewczykowi chodziło o ‘dujawić’, czyli ‘zamięć śnieżną, albo deszcz z wichrem’, a nie o ‘dychawicę’, czyli ‘chorobę dróg oddechowych’.

^[2] W rkps. cały zapis dzienny skreślony później. Pod nim niewyraźna data: „4 XI 36”.

^[3] Nazwisko *Motyka* przekreślone w rkps.

^[4] Być może chodzi o warszawską realizację Studium Radiowego Instytutu Reduty, w dniach 31 X–2 XI 1936; oprac. tekstu W. Hulewicz, reż. J. Osterwa

^[5] (łac.) Najpierw żyć, a potem filozofować.

^[6] W tłumaczeniu Boya: „Trzeba wybierać: albo kochać kobiety, albo je znać; nie ma pośrodką”; zob. Chamfort, *Charaktery i anegdoty*, przeł. T. Zeleniński (Boy), Biblioteka Boya, Warszawa 1933, s. 91.

^[7] Zob. C. Lechicki, *W walce z demoralizacją. Szkice literacko-społeczne*, t. 2, Wydawnictwo Towarzystwa Św. Michała Archaniola, Miejsce Piastowe 1933, s. 463.

^[8] św. Hieronim ze Strydonu (ok.331/347–420), doktor Kościoła, twierdził, że kobiety powinny odczytać wolę Bożą, prowadzącą je do dziewictwa, życia zakonnego lub macierzyństwa, do bycia żoną lub wdową; Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845), pisarka polska, pedagogka, działaczka społeczna, głosiła potrzebę usamodzielnienia się kobiet od strony zarobkowej, choć jednocześnie określała ich rolę tradycyjnie, wedle kryteriów katolickich i patriotycznych (Matka Polka).

^[9] (franc.) *ubiegło*, tu: ‘przeszło, minęło’.

^[10] „Święto flagi” – 11 listopada uznano za datę symbolizującą powrót Polski do grona niepodległych państw. Początkowo było to święto wojskowe, dopiero w 1937 roku, na mocy ustawy o Święcie Niepodległości, stało się świętem państwowym. Sejm postanowił: „Dzień 11 listopada, jako rocznica odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego Wodza Narodu w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym Świętem Niepodległości”.

^[11] W rkps. *Odradzając*.

^[12] Ks. Emil Drobny SVD (1889–1948) – ksiądz katolicki, werbista, historyk, muzeolog, archiwista. W latach 1922–1939 przebywał w Rybniku.

^[13] *Wiecheć od słomy* (skł. gwar.), duży pęk słomy.

^[14] *Staccato* (muz.), tu: krótko, ostro, z przerwami.

^[15] A. Świętochowski, *Historia chłopów polskich w zarysie*, t. 1–2, Wydawnictwo Polskie, Lwów-Poznań 1925.

^[16] Karl May (1842–1912), pisarz niemiecki, autor popularnych powieści o Dzikim Zachodzie, powołał do życia Winnetou i Old Surehanda; Jules Verne (1828–1905), pisarz i dramaturg francuski, prekursor fantastyki naukowej; Antoni Marczynski (1899–1968), pisarz polski, autor licznych powieści sensacyjnych, romansów, kryminałów.

^[17] W rkps. ostatnia część zdania zmieniona, dopisano ołówkiem: *idącego od ich strony*.

^[18] Skreślone, zapisano: *Od nich*.

^[19] Folmer Wisti (1908–2000), duński slawista, absolwent Aarhus Universitet, do roku 1937 lektor języka duńskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1938 twórca instytutu duńskiego na Uniwersytecie Warszawskim.



JAN MIODEK

Napisał w „Ernestynce” Tadeusz Boy Zeleński (1874–1941): „Na co człowiek się naraża, kiedy ojca ma masarza”. Nie dziwi ów *masarz* w tekście wybitnego autora jakże silnie związanego z Krakowem w kontekście chociażby hasła słownikowego w *Uniwersalnym słowniku języka polskiego* pod red. prof. Stanisława Dubisa: „czeski *masarz*, regionalizm krakowski „osoba zajmująca się wyrobem wędlin” (Warszawa 2003, t. 2, s. 779).

Identyczne definicje znaczeniowe *masarza* – „osoby zajmującej się wyrobem wędlin”, tyle że bez kwalifikatora krakowskiej regionalności, znajdujemy także w innych leksykonach.

W kategoriach historycznojęzykowej ciekawostki natomiast odbieram definicję tego rzeczownika w *Słowniku języka polskiego* wydanego w Wilnie w roku 1861 przez Maurycego Orgelbranda: „wyrabiający masę lub z masy różne przedmioty” (część I, s. 636). O *masarzu* – człowieku zawodowo związanym z mięsem – nie ma w *Słowniku wileńskim* ani słowa!

A skoro w ostatnim zdaniu pojawiło się *mięso*, wskazuję przyczynę zajęcia się *masarzem* w dzisiejszym odcinku. Oto Pan Józef H. z Rybnika w swym bardzo ciekawym liście zastanawia się, dlaczego w języku polskim mamy tylko *rzeźnika* i regionalnego *masarza*, a nie *mięsiarza* związanego logiczną słotwórczą relacją z *mięsem*.

Mięsiarza od *mięsa* wywiedzionego mamy – powiedzmy od razu, ale funkcjonuje on w innych znaczeniach: 1. „człowiek odżywiający się głównie pokarmem mięsnym, preferujący mięso w swoim jadłospisie, bardzo lubiący mięso”; 2. „myśliwy lub wędkarz polujący wyłącznie dla zdobycia mięsa” (słownik internetowy).

Regionalnym odpowiednikiem *rzeźnika* natomiast – dopowiedzmy: nie tylko krakowskim, ale też śląskim – jest oczywiście *masarz*, występujący w naszym

Masarz i mięsiarz

regionie pod fonetycznymi wariantami *masorz*, *masoźrz*, *masyrz* i funkcjonujący w znaczeniach „rzeźnik” (*Jedyn jej synek jest dobry masorz. Wydałach się za masoźrza*), „sprzedawca w sklepie mięsnym” (*Ida do masorza*), obecny też w przysłowiu: *Lepiej dać masarzo wi i piekarzowi niż do doktorowi* (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowicz: *Mały słownik gwary Górnośląska*, Katowice 2000, s. 144).

A czemu nie *mięsiarz*? – zapytajmy za Panem Józefem H. z Rybnika. Odpowiedź przyniósł już zacytowany wyżej *Uniwersalny słownik języka polskiego*, przywołując przed definicją znaczeniową *masarza* czeską postać *masarz* (w oryginalnym graficznym na końcu wyrazu „r z odwróconym daszkiem”). Tak, jest to „świeży czechizm”, jak go określił w swym *Słowniku etymologicznym języka polskiego* z roku 1927 Aleksander Brückner (na s. 324).

Poliszczyzna, utrzymująca do dziś odziedziczone z języka prasłowiańskiego samogłoski nosowe „ę” i „ą”, zachowała je również w rzeczowniku *mięso*, kontynuującym prymarną postać *męso* „miękkie części organizmu zwierzęcego lub ludzkiego, mięso”, pokrewną z takimi mającymi to samo znaczenie formami, jak staropruska *mensa*, litewska dialektalna *meisa*, łotewska *miesa* (też „ciało”), gocka *mimz* czy staroindyjska *mamsam*. Pochodzą one od praindoeuropejskiej podstawy *memso* „mięso” (Wiesław Boryś: *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005, s. 328).

Wszystkie inne języki słowiańskie samogłosek nosowych nie utrzymały, zamieniając je w dźwięki czyste ustne, stał rosyjskie i ukraińskie *mjaso*, chorwackie *meso*, słowackie *maso* i czeskie *maso* (dialektalnie określające tym mianem również „miąższ owoców”). To ostatnie jest, oczywiście, podstawą słotwórczą *masarza*, którego przejął nasz język i utrzymuje do dziś, jak już powiedzieliśmy, przede wszystkim w Małopolsce i na Śląsku, ale i innym regionom nie jest on obcy.

W obiegu komunikacyjnym znajdują się też słowa *masarnia*, czeska *masarna* „wytwórnia wędlin” (*założył niewielką masarnię i prowadził ją przez dwa lata; sklep przy masarni*), *masarski* („dotyczący masarza lub masarni” (*wyroby masarskie*) i *masarstwo* „wyrabianie wędlin” (*uczył się masarstwa*) – w cytowanym już *Uniwersalnym słowniku języka polskiego* opatrzone konsekwentnie kwalifikatorem krakowskiej regionalności.

W języku ogólnym (standardowym) funkcjonuje *rzeźnik* i należące do tej samej rodziny wyrazowej formy *rzeźniczka*, *rzeźnia*, *rzeźnicki*, *rzeźnictwo*, *rzeźniczy*, *rzeźny*. Ich wspólną postawą słotwórczą jest przestarzały dziś czasownik *rzezać*, od którego się również wywodzi rzeczownik *rzeżak* – „rzeźnik dokonujący uboju zgodnie z żydowskimi zasadami religijnymi” (*rzeżak rytualny*).

A dlaczego prof. Brueckner określił *masarza* mianem „świeżego czechizmu”? Bo jest on nieporównywalnie młodszymi chociażby od słów ukształtowanych już w średniowieczu pod wpływem języka czeskiego, zwanych też bohemizmami (*Bohemia* to łacińska nazwa Czech). I tak za pośrednictwem czeskim przejęliśmy prawie całą terminologię chrześcijańską – głównie proveniencji greckiej i łacińskiej, z takimi formami, jak *ołtarz*, *msza* czy *kościół*. To pod wpływem czeszczyzny pierwotna *brona* zmieniła się w *bramę*, *gańba* (używana do dziś na Śląsku) – w *hańbę*, czasownik *włodać* (por. *włodarz*) – we *władać* a prymarny ciąg wyrazowy *wiesioły*, *wiesiele*, *sierce*, *czerwony* przekształcił się w serię *wesoły*, *wesele*, *serce*, *czerwony*. To również pod wpływem języka naszych sąsiadów superlatywna cząstka *naj* – (*najlepszy*, *najgorszy*, *najładniejszy*, *najmilszy*) stała się wyłącza, wypierając dawny wariant *na* – (*nałepszy*, *naładszy*, *naładniejszy*, *naładszy*). Wpływowi czeskiemu zawdzięczają też swoje obecne brzmienia takie nazwy własne, jak *Głubczyce*, *Prudnik*, *Władysław* i *Wacław* – najpierw *Głubczyce* (nazwa patronimiczna o etymologicznym znaczeniu „ludzie, potomkowie Głębka”), *Prudnik* (nazwa nawiązująca do prądu rzeki; por. *Prudnik* pod Krakowem), *Włodzisław* – *włodzi* „panować” + *staw* „sława” (od niego *Wodzisław* koło Rybnika i *Włocławek*), *Więcesław* – *więcej* „więcej” + *staw* „sława”.

Oczywiście, dużo starsze od *masarza* są znane bohemizmy funkcjonujące na śląskim obszarze językowym – głównie południowym, takie jak *fulać* „głupio, niedorzecznie gadać, pleść trzy po trzy, mówić za dużo”, *ożarty*, *łożarty* „pijany”, *strom*, *stromek* „drzewo, drzewko”, *bachraty* „gruby, pękaty”, *bezma*, *bezmała*, *bezmaj* „podobno, ponoć, około, prawie”, *brusić* „ostrzyć”, *cesta* „droga”, *dać pozór* „uważać”, *galan* „kawaler”, *gorko* „ciepło”, *graczki* „zabawki”, *hne-da*, *hned* „często”, *hledać* „szukać” czy *szumny* „ładny, piękny, wystawny, bogaty, wspaniały, wielki”.

Wokół „Sądu Ostatecznego” Adama Bunscha

Ks. HENRYK PYKA

Wnętrze Kościoła Mariackiego w Katowicach pamiętam takie jakie zastałem je w roku 1967. W miesiąc po moim powrocie z koszar, gdzie jako kleryk odbywałem zasadniczą służbę wojskową, w listopadzie 1967 roku zmarł biskup Stanisław Adamski. Byłem przy jego otwartej trumnie wystawionej na widok publiczny w rezydencji biskupów katowickich. Byłem na jego pogrzebie. W tym to czasie, niejako „przy okazji” po raz pierwszy odwiedziłem Kościół Mariacki w Katowicach. Znalazłem się we wnętrzu, które już wkrótce, skutkiem przemian jakie niosła ze sobą „odnowa soborowa” miało utracić swoje pierwotne, historyczne walory. Fascynacja soborem watykańskim, która przejawiała się także modernizacją wnętrza sakralnych nie szła, niestety, w parze z kulturą i wiedzą konserwatorską. „Wymiatać” więc z kościołów to, co stare i dawne, czasami przybrudzone, by zrobić miejsce formom prostym, purystycznym, odpowiadającym duchowi odnowionej liturgii posoborowej. W katedrze katowickiej zaniechano wtedy pierwotnych projektów aranżacji wnętrza – zresztą niedoskonałych pod względem artystycznym – na rzecz nowego wystroju istniejącego do dzisiaj. W Kościele Mariackim natomiast pojawiła się myśl zdjęcia wszystkich tynków we wnętrzu, dla odświeżenia kamiennych ciosów charakteryzujących przestrzeń gotyckich świątyń. Nie doszło do realizacji tego projektu, bo wnętrze tego kościoła obok wątków ka-

miennych posiada także wątki ceglane, co odkryto w trakcie badań konserwatorskich. Zdjęto jednak malaturę gwiazdźdźistego sklepienia tego kościoła charakterystyczną dla świątyń gotyckich. Usunięto neogotycki ołtarz główny z wizerunkiem patronki kościoła Niepokalanie Poczętej. Radykalnie postąpiono z wnętrzem kaplicy Serca Pana Jezusa, na które składały się realizacje malarskie Adama Bunscha i formy przestrzenne znanych rzeźbiarzy krakowskich Zygmunta i Bogusława Langmanów. Całe wyposażenie kaplicy powstało w wyniku współpracy tych artystów z fundatorem tych realizacji księdzem Emilem Szramkiem, ówczesnym proboszczem kościoła i wyrażało jego duchowość i upodobania estetyczne.

Z pierwotnego wyposażenia kościoła pozostały do dzisiaj ławki, konfesjonały, witraże i cykl sześciu obrazów maryjnych zamówionych przez księdza Szramka w pracowni zięcia Jana Matejki – Józefa Unierzyckiego. Ksiądz Szramek, kiedy objął duszpasterstwo w Parafii Mariackiej w Katowicach, zastał w kościele tylko jeden witraż z prawdziwego zdarzenia, który znajduje się w północnym transepcie kościoła. Tego typu witraże zdobiące swym kunstem kilka kościołów na Górnym Śląsku zaprojektowanych w duchu historyzmu zamawiane były w najlepszych warsztatach niemieckich. Przewodziła Monachium i Moguncja. Najczęściej są to witraże obrazujące sceny biblijne, niekiedy lokalną historię i miejscowych dobrodziejów kościoła.

Po zawieszeniu w roku 1930 w nawie kościoła cyklu sześciu malowideł Unierzyckiego o tematyce maryjnej ksiądz Szramek stanął przed głównym wyzwaniem, także finansowym. Było nim wyposażenie kościoła w witraże, w których wyrażałby się nie tylko zamysł fundatora ale i kunszt artysty. W Krakowie w tym czasie czynny był jeszcze Józef Mehoffer (+1946), który zasłynął monumentalnymi, podziwianymi realizacjami w katedrze w szwajcarskim Fryburgu. Jednak nie Mehofferowi, a Adamowi Bunschowi ksiądz Szramek powierzył realizację witrażowe w swoim kościele. Podczas trwania Wystawy Sztuki Religijnej w Katowicach w roku 1931 rozpoznał w Bunsch artystę uprawiającego sztukę religijną na miarę współczesnych oczekiwań. Artysta posługiwał się formą przekazu plastycznego, w której przesłanie Ewangelii dzięki nowej rzetelności obecnej w jego sztuce zyskiwało walor przesłania, skierowanego do współczesnych. „Neue Sachlichkeit” – kierunek artystyczny w sztuce niemieckiej lat około roku 1930 – wyrażał się przenoszeniem w sferę obrazowania zastanej sytuacji politycznej, gospodarczej, politycznej nierzadko obciążonej traumatycznym doświadczeniem minionej wojny. Pierwszy zespół witraży Bunscha w kaplicy Serca Pana Jezusa w Kościele Mariackim przedstawia Ukrzyżowanego nie w realiach biblijnych, lecz w zdehumanizowanym przez przemysł pejzażu Górnego Śląska. Witraże te nagrodzono w roku 1936 w Warszawie prestiżową nagrodą. Ksiądz Szramek dostrzegł w Adamie Bunsch nie tylko utalentowanego młodego artystę, ale intelektualne i duchowo pogłębionego twórcę. Bunsch ukończył zarówno Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, jak i filozofię w Uniwersytecie Jagiellońskim. Podobnie jak Stanisław Wyspiański, którego podziwiał, Bunsch uprawiał obok malarstwa dramaturgię. Wypowiadał się formach scenicznych jako dramaturg i scenograf. Znaleźli „wspólny język”. Adam Bunsch w swoich notatkach wspomina nie tylko częste rozmowy w mieszkaniu katowickiego proboszcza, ale opisuje także to wnętrze, w którym, jak pisze, nie było luksusowych przedmiotów. Zaimponował artyście potężny księgozbiór i obrazy znamionujące poziom intelektualny właściciela tej biblioteki i kolekcji. W trakcie prowadzonych rozmów powstała koncepcja pierwszej realizacji



witrażowej poświęconej świętemu Jackowi patronowi Górnego Śląska. Bunsch w tym witrażu przedstawił legendę o rozerwanych paciorkach różańca świętego, które podczas nauczania Odrowąża rozsypały się w miejscowym potoku i tam, jak utrzymuje wieść gminna, do dzisiaj można je znaleźć. Tę piękną legendę opowiedział Bunschowi Szramek rozmówany w tradycji ludowej Górnego Śląska. W zamiarach księdza Szramka było ufundowanie witraża poświęconego Świętemu Andrzejowi Boboli. W tryumfalnym pochodzie po kanonizacji świętego dokonanej w święto Zmartwychwstania Pańskiego 17 kwietnia 1938 roku, w drodze z Rzymu do Warszawy relikwie świętego Andrzeja zatrzymały się także w kościele Mariackim. Z doniesień prasowych wiemy że była to podniosła uroczystość. Wojna przeszkodziła realizacji tego witraża. Zachował się jednak w archiwaliach jego wstępny projekt koncepcyjny, na którym widać ponad zgromadzonym ludem, pośród barw narodowych wysoko uniesioną trumnę – relikwiarz świętego męczennika, niesioną na barkach żołnierzy.

W zamyśle księdza Szramka uwaga na wiedzących mariacką świątynię miała skupić się na wizji Sądu Ostatecznego. „Pamiętaj na rzeczy ostatnie i przestań nienawidzić – na rozkład ciała, na śmierć, i trzymaj się przykazań!” napomina autor Księgi Syracycydesa (Syr. 28,6) Witrażowy moralitet w tym kościele: witraże Sądu Ostatecznego przewidziano do prezbiterium kościoła. Miał skłaniać do refleksji nad własnym życiem i rachunku sumienia z czynów pozbawionych Miłości. Wojna przeszkodziła w realizacji monumentalnego projektu. Pięć wielkich okien które miały być miejscem prezentacji finalnego dramatu ludzkości – Apokalipsy, wypełniają dzisiaj przeszklenia zdołbione geometryczną arabeską.

Należę do wielu osób, które z satysfakcją przechodząc przez nawę główną Kościoła Mariackiego podziwiają ukryte w nawach bocznych witraże, zaprojektowane w duchu secesji. Niewielkich są rozmiarów. Czasowo wyprzedzają finalny projekt Sądu Ostatecznego Bunscha dla tego kościoła. To także dzieło tego artysty, ukończone tuż przed wybuchem wojny. Napisy które umieścił na tych witrażach zamalowano podczas okupacji bo miały polskie brzmienie. Wplecione w zomorficzne to znów florystyczne przedstawienia – odsłonięte po wojnie – objaśniają dzisiaj cytatami z Pisma Świętego przesłanie emanujące z poszczególnych okien. Jest to zestaw cyklicznych przedstawień, które kolorystycznie i znaczeniowo współbrzmiały ze sobą, podobnie jak sonata, utwór muzyczny kontrastujący ciemne i świetliste walory. „Sonata da chiesa” – wyrażająca boski osąd ludzkich czynów zrodzonych z umiłowania Światła, to znów z upodobania do życia w mroku.



Kościół Mariacki w Katowicach jest budowlą orientowaną. W tradycji chrześcijańskiej od V wieku przyjął się zwyczaj budowania kościołów na osi wschód-zachód. Tej tradycji przyporządkowana była liturgia Kościoła, kierująca celebransą ku wschodowi, skąd pojawiał się Słońce – obraz Chrystusa wieczystej światłości (Lux ex oriente). Wierność tej tradycji pozwoliła księdzu Szramkowi, proboszczowi orientowanego kościoła na takie zaprogramowanie jego wnętrza, by zarówno budowla, jak i to, co miało ją zdobić, było czymś więcej jak tylko dziełem sztuki. Ten kościół w swoim wnętrzu miał pouczać, przestrzegać, zachęcać do podążania za Światłem. Taką przeciw funkcję spełnia katechetyczna posługa Kościoła wprowadzająca poszukujących do zrozumienia Tajemnicy. Ten, który pełni tę posługę jest mistagogiem, czyli tym, który wprowadza w rozumienie Sacrum. Tak z pewnością postrzegał swoją posługę w parafii ksiądz Szramek jako duszpasterz. Oddziaływanie na wiernych poprzez sztukę, którą rozumiał, promował, kolekcjonował i stosował jako narzędzie ewangelizacji.

Orientacja kościoła powoduje, że okna północnej nawy kościoła są cyklem przedstawień obrazujących uczynki ciemności. Pod postacią zwierzęcych przedstawień postrzegane są gniew, lenistwo, pycha, nieczystość... „Leniwcze idź do mrówek”, głosi pięknym językiem Biblii ksiądz Jakuba Wójka jedna z sentencji. Cykl witraży od strony południowej jest kolorystyczną antytezą przedstawień strony północnej, gdzie przeważa zimna tonacja barw. Witraże bocznej nawy od strony południa zagrzewają ciepłą gamą słonecznego lata, kiedy to zbudzona do życia natura rozkwita bogactwem barw, kwiatów obiecujących obfity urodzaj. Między kwiatami lipy uwijają się pszczoły, czuje się leniwy skwar południa. Rozkwita życie. Jak pąki róży otwiera się ono na dobroczynne ciepło, emanujące ze swego źródła. Każdy wie – tym źródłem jest Miłość.

Zupełnie przypadkowo w roku 1980 odkryto na strychu probostwa parafii mariackiej trzy projekty Adama Bunscha, z których miały powstać kartony witraży dla prezbiterium. Odkrycie to nie wpłynęło początkowo na nowe postrzeganie wnętrza kościoła dla którego je wykonano. Pełny jego obraz, taki jak miał ksiądz Szramek, miał ujawnić się z czasem. Wyłonił się on w trakcie przygotowywania przez Muzeum Historii Katowic wystawy poświęconej dziejom kościoła mariackiego. Teologicznym oparciem dla wizji mistagoga i artyście okazuje się świadectwo świętego Jana Ewangelisty. Obydwaj, proboszcz i artysta, byli zanurzeni w Biblii. Sąd Ostateczny, który jest tematem odnalezionego projektu Bunscha zdaniem świętego Jana *polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki*. Wspaniała projekcja teologii na funkcję witraża jako medium światła. Święty Jan dodaje: *każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki są dokonane w Bogu.* (J. 19–21) To Janowe przesłanie znaleźć miało wymiar plastyczny w postaci witraży, których funkcją jest emanowanie światłem wprzęgniętym w Służbę Bożą.

Tekst świętego Jana w istocie zawiera program plastyczny. Secesyjne okna na lewej i prawej burcie nawy kościoła korespondują z centralnym przedstawieniem Sądu, gdzie zgodnie z tradycją artystyczną i biblijną miejscem wyznawców Ciemności jest strona lewa, ta północna, pozbawiona światła. Ci, którzy poszli w kierunku Światła zajmą prawą, świetlistą stronę. Rozterkę budzić musi artystyczna niespójność secesyjnych witraży północy i południa z kompozycją centralną utrzymaną w konwencji ostrej ekspresji. Jest to malarstwo, które oddziałuje na odbiorcę siłą przekazu dorównującą ekspre-



sji „Krzyku”, znanego obrazu Edwar-
da Muncha.

Adam Bunsch, którego witraże i polichromie znajdują się w ponad dwustu kościołach, nie osiągnął takiego rozgłosu, na jaki zasługują jego dokonania. Jego twórczość oczekuje na obiektywnego monografistę. Kiedy usunięto jego polichromie w kaplicy Serca P. Jezusa w Kościele Mariackim miał powiedzieć: najważniejsze, że zaistniały i w swoim czasie spełniły swoje zadanie. Parafrazując mickiewiczowskie wyznanie zapisane w „Lirykach Lozańskich” artysta wart jest sławy nie za to, co po sobie zostawił lecz za to, „co myślał i chciał”. Myśli i chęci uważa poeta „to poezycja w świecie”. Twórczość Adama Bunscha w głąb ziemi zaryta zaciekawia dzisiaj młodego odbiorcę. Projekt Sądu Ostatecznego jest bardziej projekcją tego, co myśleli i chcieli fundator i artysta. Do realizacji było jeszcze daleko. Fascynuje jednak sama myśl ogarniająca swą głębią i egzystencjalną powagą całe wnę-

trze kościoła i każdego, który w nim się znajdzie. Ta myśl była inspiracją dla fascynującego widowiska, które niedawno odbyło się w tym wnętrzu, nieukończonym przez księdza Szramka z powodu wojny. Dzisiaj wciąga ono każdego, kto zna jego historię nie tyle ze względu na to, co w nim zobaczy, lecz z powodu owego „genius loci” tu odczuwanego.

14 października w przededniu Dnia Papieskiego „Teatr Kozubka” przedstawił w Kościele Mariackim w Katowicach widowisko zatytułowane „Apokalipsa Bunscha”. W kontaktach z koordynatorem projektu Mirelą Gontarz miałem sposobność zorientować się jak złożona jest organizacja takiego widowiska. Twórca teatru – Mariusz Kozubek; reżyser, aktor, scenarzysta – dał się poznać wcześniej w całej Polsce z realizacji ponad sześćdziesięciu spektakli dramatycznych, muzycznych, przedstawień ulicznych i widowisk. Po roku 2013 wygenerował w katowickim „Spodku” kilka megawidowisk religijno-biblijnych z licznym udziałem pu-

bliczności. „Teatr Kozubka” wzorujący się na tradycji szekspirowskich trup teatralnych łączy grę aktorską z akcją multimedialną i muzyką. Liczny udział wolontariuszy w akcjach scenicznych zbliża go do „Teatru Grzechu” Adama Bunscha. W nim także brali udział nieprofesjonaliści, których teatr miał kształtować.

Totalna gra sceniczna aktorów i wolontariuszy wprowadziła nie tylko mnie, ale z pewnością i wielu widzów w misteryjną atmosferę bunschowej „Apokalipsy”. To było widowisko, poprzez które jego twórcy i odtwórcy dali świadectwo Prawdzie poznanej w wyniku studiów całego zespołu nad dziełem artysty. Zorientowałem się, że posiadli o nim dużą wiedzę. Spenetrowali jego rodzinne archiwum, poznali jego pisma. Dotarli do tego „co myślał i chciał”. Teatr, który uprawia Mariusz Kozubek posiada charakter laboratorium. Finalny efekt – spektakl, jest „czubkiem góry lodowej”. W głębi pozostaje praca poznawcza, wysiłek przenikający poza przestrzeń wizualną w sferę myśli i duchowości. Taki teatr w tradycji „Reduty” Juliusza Osterwy jest w stanie człowieka przemieniać. Dzięki transmisji przemyśleń artysty i jego mecenasa księdza Szramka w sferę obrazu, dotknęliśmy najbardziej dramatycznych pytań niechętnie dzisiaj stawianych. Związane są z ludzkim czynem i jego osądem, powagą ludzkiej egzystencji, tajemnicą przemijania. Śmiercią, której granicę wyznacza Tajemnica Nowego Życia – Zmartwychwstanie. W spektaklu Boski Sędzia jako Zmartwychwstały, bliski plastyczną formą realizacjom witrażowym Wyspiańskiego i wcześniejszym obrazom Bunscha, zstępuje niejako z witraża. Tancerz dzięki któremu owo zstąpienie staje się akcją, wykonując przed publicznością ekscytujący pokaz choreograficzny zespala w tanecznym układzie wizję artysty i współczesne jej postrzeganie. Współczesne postrzeganie to próba malarskiej interpretacji pierwowzoru. Dokonała tego absolwentka katowickiej ASP Agnieszka Jasińska. Pojawił się także patchwork, dzieło grupy plastycznej dorosłych i młodzieży, jako próba nowego spojrzenia na „Apokalipsę” Bunscha. Jako kierownik artystyczny galerii sztuki współczesnej przez wiele lat starałem się promować twórczość wielu artystów i konfrontować ich z odbiorcą dzieła sztuki. Nie były to zabiegi komercyjne, choć i komercja musi mieć na ustach odpowiednie Słowo, by przekonać nabywcę. Widowisko Teatru Kozubka głównie w samych jego realizatorach objawiło pożądany typ odbiorcy dzieła sztuki. Jest to odbiorca pogłębiony, świadomie podejmujący dialog z duchowo-intelektualną warstwą obrazu. ■

Zdjęcia: widowisko „Apokalipsa Bunscha”. Reżyseria, scenariusz widowiska (na podst. tekstów biblijnych): Mariusz Kozubek. Fot. Adam Miozga.



Widowisko „Apokalipsa Bunscha”. Reżyseria, scenariusz widowiska (na podst. tekstów biblijnych): Mariusz Kozubek.



Cheder. Sosnowiec Pogoń, ul. Raclawicka 12



Brama – kamienica Cukermana, Będzin, Al. Kollątaja 24



Judisches Altenheim. Bytom, ul. Smolenia 4

Świadectwo zgładzonego świata

for. Roman Kuszczaki



Z Karoliną i Piotrem Jakoweńko, założycielami Fundacji Brama Cukermana, autorami „Pamięci pogranicza. Opowieści o żydowskim życiu i Zagładzie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim”, wydanej nakładem oficyny Biblioteki Śląskiej, rozmawia MAŁGORZATA LICHECKA.

Jaki był główny powód powstania książki?
Karolina Jakoweńko. Podróżowaliśmy z naszym przyjacielem, Henrim Lustigerem-Thalerem, i ta podróż uświadomiła nam, jak ważne są miejsca, które wspólnie odwiedzaliśmy. Dla mnie i Piotra były czymś powszednim, taką naszą codziennością. A Henri widział je jako wyjątkowe. Nie tylko w skali regionu, ale też świata.

Piotr Jakoweńko. Był i drugi, nie mniej istotny powód. Podczas naszej pracy, prowadzonej już od kilkunastu lat, początkowo tylko w Będzinie, teraz także w innych miejscach, przydarzyło się bardzo wiele opowieści oraz wspomnień. Zachowaliśmy je w archiwach fundacji, ale nigdy ich nie upubliczniliśmy. Projekt „Pamięć pogranicza” stał się pretekstem by je pozbierać, wykorzystać i pokazać ludziom.

KJ. Choć nie myśleliśmy o takiej formie od początku, bo pamiętasz Piotrze, że złożenie było inne: to miały być głównie zdjęcia uzupełnione wspomnieniami z czasów dawnych i dzisiejszych. Mieliśmy odwiedzić różne miejsca i dowiedzieć się, jak dziś funkcjonują w pamięci. Jednak kiedy siadłam do napisania pierwszego tekstu, okazało się, że zmieniamy założenie.

PJ. „Pamięć pogranicza” jest naszą pierwszą książką z pogranicza literatury. Te wszystkie niesamowite historie, których przez lata wysłuchaliśmy, czekały, żeby właśnie tak je opowiedzieć.

Impuls do podzielenia się nimi, na Waszych warunkach, eseistycznie i literacko, pozwolił również na pewne podsumowanie, próbę odpowiedzi na pytania, jak dużo już zrobiliście w fundacji i ile jeszcze pracy przed Wami.

KJ. Nasza podróż, to, co robimy na co dzień, poprzez „Pamięć pogranicza” bardzo mocno uwypukliła, w jakim tyglu wciąż żyjemy. A jak dużo jeszcze przed nami? To jest pytanie... bo opowieści przybywa i przybywa.

PJ. Projekt i książka były dla nas ośmieszeniem do tego, żeby nie bać się innych form opowiadania. Nie zawsze do wszystkiego trzeba podchodzić sucho i ency-

klopedycznie, można podjąć bardziej osobistą, artystyczną narrację, i nie musi ona wyczerpywać całego zakresu wiedzy, a jednak przemawiać do ludzi i przekazywać im też coś o nas. „Pamięć pogranicza” była przełamaniem naszej metody pracy i wyboru medium, którego do tej pory używaliśmy, ale cieszę się, że się wydarzyła.

Baliście się przejścia z pracy stricte historycznej do tej innej formy?

PJ. Ja tak. I nie tyle bałem się, co byłem sceptyczny, bo dotąd korzystaliśmy z pomocy historyków, specjalistów, opisując historię w sposób klasyczny, edukacyjny. W „Pamięci pogranicza” jest inaczej.

KJ. To nasze przełamanie wyszło spontanicznie. Ale bardzo się z tego cieszę. Co więcej, zdałam sobie sprawę, że zawsze o tym marzyłam. Najpierw książka wyszła tylko w formacie PDF, można ją było czytać online. To był też dla nas taki test. I myślę, że przeszliśmy go pomyślnie: „Pamięć” zebrała bardzo przychylne głosy, więc postanowiliśmy poszukać wydawcy już papierowej wersji. Biblioteka Śląska zaopiekowała się nami, wydawnictwo, wspinał się.

PJ. Oprowadziliśmy setki grup i opowiadanie tych historii było rodzajem literackiej narracji, więc stwierdziliśmy, że ich spisanie będzie dobre.

KJ. Dobre przede wszystkim dla upamiętnienia ludzi, świadków, których przywołujemy i cytujemy, osób, które się do nas zgłaszały i wciąż zgłaszają.

PJ. W „Pamięci pogranicza” wyciągamy z nieistnienia głosy mieszkańców, którym nigdy nie dane było opowiedzieć tych historii.

Kiedy czytałam esej o cmentarzu żydowskim na Poniatowskiego w Gliwicach od razu chciałam sprawdzić, gdzie jest grób tego Reka z Waszego opowiadania. Dowiedzieć się czegoś więcej. Dzięki temu, jak to opisujecie, dzięki temu, że jest to bardzo osobiste, dzięki Waszej pracy na rzecz ochrony

dziedzictwa żydowskiego, zachciało mi się te wszystkie miejsca odwiedzić. Przynajmniej – słabo znam Zagłębie: Będzin i Sosnowiec, a Wy mnie „Pamięć pogranicza” bardzo zmotywowałaście do podróży historycznej, ale też uważnemu przyjrzeniu się temu, co zostało. I myślę, że takich osób jak ja, co chcą wskoczyć w samochód i obejrzeć miejsca z książki, jest więcej.

KJ. Uwielbiamy podróże, wytyczanie szlaków. Pracując nad książką najczęściej wracaliśmy do Sosnowca, na Pogoń. Nieodkrytą i wciąż nieprzebadaną. Usłyszeliśmy tam, zupełnie przypadkowo, bo człowiekowi, którego tam spotkaliśmy, nagle się to przypomniało, historię o teflinach, zakopanych na granicy getta.

PJ. Przyjechaliśmy tam w zupełnie innym celu.

KJ. A wyszły tefliny.

PJ. Nie myślałem o „Pamięci pogranicza” jako o przewodniku, ale to jest też dobry kierunek. Nasz wybór miejsc, opisanych w książce, jest specyficzny. Nie są klasyczne, nie turystyczne, a krytyczne, problematyczne, alternatywne, bo takie nas najbardziej interesują. Trochę partyzanckie, trochę śmietnikowe, trochę ruinowe. Pamięć zabezpieczona przez instytucje, zaklepana przez podręczniki nas w tym wypadku nie zajmuje.

KJ. Od lat wchodzimy w bramy i nagle znajdujemy cenne pozostałości, wchodzimy w krzaki i widzimy kawałek deseczki. Te przedmioty gromadzimy w fundacji.

Czy w projekcie od razu założyliście, które miejsca odwiedzicie i opisze?

KJ. Cofnę się na chwilę do roku 2018 i naszej podróży z Henrim Lustigerem-Thalerem. Byliśmy w Pyskowicach, w miej-

scu, gdzie kiedyś stała synagoga. Upał, pot lał nam się po plecach. Staliśmy przy tej nieistniejącej synagodze i Henri mówi, że koniecznie musimy napisać książkę dla niego, naukową, wydaną najlepiej przez jakiś uniwersytet. Ten jego pomysł mocno się zmienił, ale Henri jest zadowolony. Dlaczego o tym mówię? Bo wtedy właśnie wybraliśmy miejsca. Złożyliśmy wnioski do marszałka województwa śląskiego i do Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny, skąd pozyskaliśmy środki na zatrudnienie fotografa, i tłumacza i korektorki.

PJ. Nasz pierwotny zamysł zrealizował się w dużej części, ale też weszły do „Pamięci” rzeczy zaskakujące.

KJ. Nie byłoby chederu, tefilinów, żydowskiej szkoły w Bytomiu.

PJ. Oczywiście, nasza znajomość historii bardzo pomogła, wiedziałem na przykład, że od 1937 roku budynki żydowskie według nazistowskiego prawa miały być oznakowane. I te oznakowania odnalaziliśmy na planach budowlanych, naniesione odręcznie od tak, a potem... wmurowane w budynek ówczesnego domu starców w Bytomiu (przy dzisiejszej ulicy Smolenia 3) po to, by oznakować mieszkańców.

Które z 20 miejsc opisanych w książce mają dla Was szczególne znaczenie?

KJ. Bałam się tego pytania.

Bo wszystkie mają?

KJ. Bo wybór jest szalenie trudny. Na pewno najdroższa jest mi Brama Cukermana w Będzinie i Dom Pamięci Żydów Górnośląskich w Gliwicach. A teraz, po naszej podróży, miejscem na pewno wyjątkowym jest sosnowiecka Pogoń, o której nic nie wiedzieliśmy. Spacerowaliśmy po niej z Romkiem Łuszczki i Izą Grauman, także z Henrim, i ludzie zaczęli do nas krzyknąć z okien „Żydów tu już nie ma”. Skąd wiedzieli, że szukaliśmy ich śladów? Albo ten znaleziony

przez nas w dawnym Chederze dzwonek. Przetrwiał do dziś...

PJ. To kawałek żeliwa. Przez ponad 70 lat ludzie mieszkający w tym budynku, codziennie wchodzi przez drzwi, przy których wisi ten kawałek żeliwa, i nikt w niego nie uderzył, a jednocześnie nikomu nie przyszło do głowy, by go zdjąć i oddać na złom. Wisiał więc sobie, nie gdzieś na strychu, w piwnicy, głęboko ukryty, tylko na widoku.

KJ. Dzwonek, umywalki, niziutkie bariery... na pewno doskonale wiedzianno, że była tam kiedyś szkoła. To miejsce, rozpięte między dawną synagogą, chederem, a rytualną rzeźnią było dla nas niezwykle intensywne.

PJ. Pogoń była małą podsosnowiecką gminą, żyjącą własnym życiem, peryferyjną pod każdym względem, a bieda jest najlepszym konserwatorem takich miejsc.

Podczas podróży, zbierając materiały do książki, znaleźliście kilkadziesiąt przedmiotów. Mnie to zawsze zaskakuje, choć Piotrze już poniekąd wytłumaczyłeś dlaczego przez tyle lat utknęły nieuknięte. Tak jak kawałek drewna zwykłego, tylko pokrytego zieloną farbą – pozostałość po domku w sławkowskim kibucu. To trochę z pogranicza cudu...

PJ. Trzeba szczęśliwego spojrzenia i czasem coś się pojawia. Nie, nie mamy na to recepty. Są ludzie, którzy bardziej takie przedmioty przyciągają, nam się to po prostu przytrafia.

KJ. Nie szkodzi, że te historie opowiada już trzecie pokolenie. Zawsze warto je spisać, bo jest w nich prawda. Cytujemy w książce bardzo dużo *Ksiąg pamięci*, nie będących wiarygodnym źródłem dla historyków, ale dla nas bezcennym, bo są po prostu wspomnieniem, a my się często nim posługujemy.

Pierwotnie to zdjęcia miały stanowić zasadniczą część projektu. Są wyjątko-



Ruiny browaru Abrahama Tropauera w Będzynie-Grodźcu

we i opowiadają przeważnie smutne historie. Czy to celowy zabieg?

PJ. Początkowo chcieliśmy, żeby wszystkie zrobił bytomianin Roman Łuszczki, znakomity fotograf, nasz przyjaciel. Jest wyznawcą fotografii dokumentalnej, bardzo surowej, nie upiększającej, ale też nie efekciarskiej. Ale zaczęły pojawiać się w projekcie nowe miejsca i nie mogliśmy cały czas prosić Romka o pomoc, więc włączyłem się ja, próbując oddać poziom jego zdjęć. Ich nastrój jest naturalny ze względu na tematykę. Nie chcieliśmy, żeby było zbyt piękne, ale też nie zbyt sentymentalne, chcieliśmy zachować realizm obrazu.

Powiem Wam, która z historii była dla mnie istotna, być może ze względu na jej szalony początek. Bo o dawnej katowickiej synagodze opowiadacie niejako od końca, od pomysłu jej odbudowy. Ja też wciąż myślę o odbudowie synagogi w Gliwicach i, w pewnym sensie, rozumiem tamtą osobę. Z drugiej strony wiem, że to niemożliwe. No i uderza mnie zawsze to, co dzieje się dziś w Katowicach z przestrzenią wokół pomnika na placu po synagodze – budy i stragany.

KJ. Tę historię napisałam niemal od ręki. Pamiętałam twórczynię, która przygotowała instalację z namiotem w niebiesko-białe pasy, która mi bardzo utknęła w pamięci. Oczywiście można było tę opowieść zacząć od początku, czyli od powstania synagogi, lecz wtedy byłaby jedną z wielu. Dlatego zmieniliśmy jej bieg.

PJ. Cieszę się, że przypomnieliśmy tę artystkę i cieszę się z pomysłu Karoliny na tę historię, która pokazała, że kilkudzinnym gestem, performensem, można bardzo skutecznie wyrazić protest, który okazał się trwały, bo o tym artystycznym zdarzeniu mówi się do dziś i bardzo często je przywołuje.

Pamięć pogranicza jest otwartym projektem?

PJ. Trzeba go było zamknąć na etapie wydania, ale idea jest jak najbardziej otwarta. Te historie mają wielu bohaterów i narastają piętrowo.

KJ. Bardzo bym chciała dalej go prowadzić, choć wiem, że Piotr jest sceptyczny. Ja uważam, że warto, bo nikt tego za nas nie robi.



Dom w getcie. Będzin Warpie-Kamionka, ul. Rutki Laskier 24



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Trzeba zacząć badać ten etnograficzny tygiel...”

Te słowa sformułował znakomity, choć dzisiaj już niestety zapomniany – nawet w rodzimym środowisku wrocławskim, tam może nawet świadomie – etnograf docent Adolf Jan Nasz. Dodajmy – etnograf, ale i archeolog; autor wielu cennych prac, także przez wiele lat kierownik katedry etnografii. Przede wszystkim był jednak doskonałym wykładowcą, prawdziwym nauczycielem młodych pokoleń. Był ustawicznie zafascynowany Śląskiem, zarówno jego częścią wschodnią, jak i zachodnią. Od pewnego momentu zwracał uwagę zwłaszcza na Dolny Śląsk, który pojmował jako swoisty tygiel kulturowy Polski; nowy region Polski, Polski po 1945 roku. Region będący przestrzenią spotkania przybyszów z różnych regionów – także Polaków brutalnie wypędzonych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Mówił, że teraz to „jest ziemia tych z Małopolski, z Mazowsza i spod Lwowa”. Etnograficzna próba zwrócenia uwagi, nam, studentom, na ten problem, była wielką zasługą Adolfa Nasza. Owo zafascynowanie Śląskiem (na początku oczywiście Górnym Śląskiem) wynikało niewątpliwie z tego, że urodził się w Ustroniu na ziemi cieszyńskiej. Przyszedł na świat 6 sierpnia 1916 roku w rodzinie inteligenckiej. Matka była nauczycielką, ojciec urzędnikiem. To również zadecydowało o sposobie pojmowania świata przez ich syna. Tamtejsza inteligencja za swój obowiązek uważała prace na rzecz polskość Śląska. Pamiętam z jakim zachwytem mówił o „chłopskich zapisnikach” tutejszego ludu, jak i twórcach „Zarania Śląskiego”. Adolf Nasz od początku szedł drogą części swojego pokolenia. Ukończył gimnazjum klasyczne, maturę zdał w 1934 roku. Potem były studia w zakresie prehistorii i etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach okupacji, ukrywając się przed Niemcami, pracował jako kelner w Tarnowie (czy również wtedy

jeździł na nartach, co było, jak i pływanie, pasją jego życia?). A kiedy w połowie 1943 roku Nasz przybył do Krakowa, związał się z tamtejszym środowiskiem inteligenckim. Tam zaczęła się jego przyjaźń z Romanem Reinfussem – późniejszym znakomitym znawcą Karpat, Łemków i Bojków, profesorem uniwersytetu we Wrocławiu. Po zakończeniu II wojny światowej Nasz dokończył przerwane studia. Niedługo potem obronił pracę magisterską, a w maju 1946 roku pod kierunkiem Kazimierza Moszyńskiego rozprawę doktorską „Metoda rekonstrukcji paleoetnologicznej w archeologii na przykładzie przedhistorycznych żaren”. Była to rozprawa z pogranicza historii i etnografii (wiele lat później zachęcał nas do uzupełniania studiów etnograficznych o doświadczenia socjologii). Kilka miesięcy przed obroną wspomnianej pracy doktorskiej, bo w styczniu 1946 roku, Adolf Nasz przeniósł się do Wrocławia. Rozpoczął się nowy etap w jego życiu. Decyzja o przeprowadzce była podyktowana pobudkami patriotycznymi. To może dziś dla wielu brzmi dziwnie – ale tak właśnie było. Bo Nasz był owładnięty swoista misją, tak jak wielu przedstawicieli jego generacji. Chciał pracować na rzecz polskość Śląska, owej „najstarszej oderwy od Korony”. O tym często mówił. W 1950 roku Nasz związał się Uniwersytetem Wrocławskim, z katedrą etnografii. Przedtem brał zaś udział w pracach archeologicznych na wrocławskim Ostrowie Tumskim. Prowadził też badania w okolicach podwrocławskiej góry Sobótki. Interesujące były z owego okresu jego prace w zakresie zagadnień o charakterze genetyczno-historycznym. Owa pasja prehistorią stopniowo ulegała jednak zanikowi na rzecz etnografii. Od samego początku badania i zainteresowania Nasza koncentrowały się na obszarze całego Śląska. Po pierwsze była to tradycyjna kultura tej ziemi, konkretnie

Górnego Śląska, a potem Dolnego. Etnografa interesowały „przemiany kulturowo-społeczne (...) w następstwie przemieszczeń ludności po II wojnie światowej”. W efekcie kierowany przez Nasza ośrodek jako pierwszy w zakresie etnografii realizował w Polsce – dziś niestety zarzucone – badania nad procesami adaptacji i integracji społeczno-kulturowej ludności przybyłej na Dolny Śląsk. W 1971 roku, kiedy odbywaliśmy badania terenowe we wsi Spalona w powiecie kłodzkim, Nasz z zaangażowaniem wprowadzał mnie w istotę tych badań. Zwracał też uwagę, że „nowa ziemia” była dla przybyszów obca, wręcz wroga, skażona przez wieki niemieckością. Ale była też dla nich ziemią prawdziwej nadziei, nowego życia. Mówił o „kulturowym oswojeniu” owej „nowej ziemi”: ulic, placów, budynków, domów mieszkalnych, ponemieckich mebli. Podkreślał, że podobnie, a z zarazem inaczej, przebiegał ten proces w miastach i wsiach. Te słowa skierował do mnie, kiedy zaprosił mnie na wspólną wędrowną etnograficzną – do, o dziwo, przesiedleńców z Toustobab. Zrozumiałem sens słów mojego wykładowcy. Zrozumiałem przemyslenia, rozterki, nadzieje i tęsknoty odwiezionej rodzin.

Mimo fascynacji kulturą Polinezji potem jeszcze wielokrotnie rozmawiałem z Naszem o procesie adaptacji i tworzeniu się nowej tożsamości na Dolnym Śląsku. Niestety, niedługo później docent zachorował. Tęskniliśmy za Jego wykładami – kompetentnymi, logicznymi, celnie dobranymi kontekstami, zawsze też okraszonymi humorem. Tęskniliśmy za Jego otwartością. Osierocił nas 7 kwietnia 1973 roku. Nad Jego mogiłą bp Wincenty Urban – intelektualnie i duchowo związany z kardynałem Bolesławem Kominkiem – powiedział, że Nasz był „przyjacielem polskiego Śląska”.

Spór kompetencyjny, o którym będzie tu wkrótce mowa, nie wybuchł od razu. Najpierw sprawa zdawała się dotyczyć jedynie aktu wandalizmu, jakich wiele w naszym mieście. A to ktoś kopnie kosz na śmieci, ktoś zniszczy wiatę przystanku. Teraz ktoś zrzucił płyty październikowe z balkoniku cechowni kopalni „Makoszowy”, na których jeszcze kilka godzin wcześniej widniał napis: „Program Partii Programem Narodu”. Przez pierwszy kwadrans od ujawnienia zajmowali się więc tym tylko sami swoi: straż przemysłowa, także dyżurny ORMO, potem zawiadomiono milicję i zjawili się tam dwóch młodych z najbliższego komisariatu.

– Na ile pan wycenia stratę? – zapytali dyrektora.

Dyrektor zaniemówił, a gdy odzyskał głos – skwitował to na tyle głośno, by usłyszeli i wyciągnęli wnioski:

– Chyba się przesłyszałem.

Szybko przeszedł na portiernię. Zatelefonował do komendanta miejskiego i poprosił o osobiste przybycie. Sprawa nie jest na telefon. Potrzeba prawdopodobnie ekipy śledczej, techników kryminalnych.

Towarzysz Niedola, dyżurujący tej nocy w sekretariacie Komitetu Zakładowego, przyglądał się ze smutkiem dziełu zniszczenia. Ileż nienawiści musiało być w tym, który to uczynił. Czyn wandalą godził bezpośrednio w niego, bowiem to do sekretariatu propagandy należała troska o wszystkie hasła rozmieszczone w kopalni.

Był wieczór barbórkowy 1978 roku. Dyrektora wywołał z Karczmy Piwnej strażnik przemysłowy, pełniący dyżur na bramie. Załoga miała wolne, co nie oznaczało bynajmniej, że wszyscy siedzieli w domu. To był czas zabaw, potańcówek, karczm piwnych i „spotkań gwarków”. Także górnicy „Makoszów” bawili się w najlepsze. Dyrektor miał dziś na sobie mundur galowy i czako z zielonym pióropuszem. Wygodniej mu było zawsze w szarym mundurze służbowym, podobnym do wojskowego, tylko z godłem górniczym na czapce z daszkiem. Teraz ciążył mu zimowy wełniany płaszcz do munduru.

Stali teraz w kilku, wtajemniczeni w sprawę, przyglądając się z zakłopotaniem w gruzowisko. Na podłodze cechowni leżały płyty październikowe, teraz już rozklejone, oderwane jedna od drugiej. Nad ich głowami, na balkoniku, pozwalał się już widzieć, nagle tam odsłonięty, jak jaka zjawia z zaświatów OŁTARZ ŚWIĘTEJ BARBARY. Przy obrazie głównym chwiały się na zawiasach dwa przyboczne skrzydła, jak te na ołtarzu Wita Stwosza. Jeszcze przed ołtarzem zasuszone kwiatki, kto wie czy nie pamiętały Bieruta. Wszechobecny kurz, brud, teraz także na podłodze cechowni, bo płyty padły napisem do podłogi, i widoczna była tylko strona tylna, nigdy nie odnawiana, zakurzona nie mniej niż ołtarz. Strażnik, który zamknąwszy szybko bramę i furtkę, przybiegł do miejsca, skąd dobiegł go huk czegoś spadającego na ziemię, patrzył z niedowierzaniem na ten ołtarz. Przez tyle lat nikt nic nie wiedział? Tylko że okoliczności tego odkrycia co najmniej dziwne.

Komendant przyjechał niezwłocznie. Uścisnęli sobie z dyrektorem dłonie. Byli kolegami, w razie wątpliwości mówili, że „towarzyszami partyjnymi”. Zamiast większej ekipy za komendantem do cechowni weszli tylko fotograf i młody milicjant z radiotelefonem. Rozglądali się niepewnie.

– W czym problem?

Dyrektor wskazał na pęknięte płyty.

O krawędź, którą wcześniej można było nazwać krawędzią górną, musiał być zaczepiony jakiś hak, może nawet kotwiczka na linie lub żyłce. Pozostały wyraźne ślady metalu, jakby dwa lwie pazury przejechały po tej płycie i wbiły się w nią. Ktoś zarzucił kotwiczkę i pociągnął. Płyty poleciały w dół, sprawca pewnie odskoczył, kotwiczka przeorała październik, wyszarpnęła ją i uciekł.

Czyn ewidentnie z premedytacją, pewnie dobrze zaplanowany, akurat w Barbórkę, gdy z dziesięcioletniej załogi pełni dyżur zaledwie garstka.

– W czym problem? – powtórzył komendant.

Towarzysz Niedola odpowiedział za dyrektora.

– Na frontowej stronie tych płyt jest napis: „Program Partii Programem Narodu”.

Ołtarz świętej Barbary

JACEK OKOŃ

– Która to strona frontowa? Pyskiem do podłogi?

– Teraz tak, przedtem nie. Pysk patrzył przed siebie, do przodu, na przeciwległą ścianę. Poza tym płyty zakrywały ten ołtarz u góry, żeby nie jątrzył. Nie wiem, jak to zostanie zakwalifikowane, ale wydaje mi się, że to coś więcej niż wandalizm.

Dopiero teraz dotarło do komendanta, w czym rzecz.

– To też prawda.

Na tym jednak skończyła się dla niego rola towarzysza Niedoli. W takiej sprawie sekretarz kopalnianej propagandy z pewnością nie będzie obiektywny. Zwrócił się do dyrektora.

– Będziecie to nagłaśniać? Nie lepiej wezwać zaufanych majstrów, partyjnych, i niech naprawią przez noc. Niezależnie od tego my ze swej strony rozejrzemy się za sprawcą.

Dyrektor poinformował, że znalezienie sprawcy nie powinno nastręczać trudności. Dziś Barbórka i na kopalni pracowali tylko najniezbędniejsi dyżurni, każdy musiał przejść przez bramę, pod okiem strażników.

– Był ktoś obcy? – to pytanie do strażnika.

– A ja wiem, kto obcy? Tu pracuje dziesięć tysięcy ludzi, wszyscy obcy. Nie znam tych twarzy.

– Czy mógł wejść ktoś, kto nie jest dyżurnym?

Strażnik zacerwienił się. Ale nie ze wstydu, tylko z frasnku, że może mieć kłopoty.

– Pewnie, że mógł. Ale po co?

Komendant roześmiał się, a dyrektor powiedział dobitnie, że „po to, po to właśnie”.

Fotograf wykonał kilka zdjęć, komendant wskazał mu też ołtarz. Dało się tam teraz wejść po metalowej drabince, więc wspiął się i tam, fotografując do dokumentacji. Nikłe ślady ubrudzonych kurzem butów sprawcy zawiodły ich do łaźni „starej”, skąd przeszli do łaźni „nowej” i pozwoliły się jeszcze odczytać na placu drzewnym. Musiał stamtąd przeskoczyć płot, ale mocny odcisk zaraz za płotem urywał się na podkładach torowiska kopalnianego.

Wkrótce milicjanci wyszli, dyrektor odprowadził ich do bramy. Rozglądali się, jakby spodziewali się zobaczyć sprawcę. Niedaleko był przystanek tramwajowy. Stał tam jakiś elwer w czapce z daszkiem, popijając z piersiówki. Dziś Barbórka, pijani nie podlegają wylegitymowaniu. Milicjant z radiotelefonem zapowiedział powrót, dyżurny z komendy odpowiedział niezrozumiale. Milicjant potwierdził: „Rozumiem, przekażę”.

Towarzysze z dekoratorni, przywiezieni „w trybie pilnym” do posprzątania, uwinęli się w ciągu kilku godzin, mimo że mieli w czubie. Konstrukcja październikowa stanęła na swoim miejscu przed rozpoczęciem felezunku zmiany porannej, jeszcze tylko trzeba ją będzie pomalować powtórnie, bo brudna. Ołtarza nie było już widać. Podłogę zmyły towarzyszki sprzątaczk.

Tak nastąpił poranek dnia następnego.

Ale sekretu nie udało się utrzymać, co musiało mieć swą przyczynę w rauszu barbórkowym, na jakim pracowali dekoratorzy. Pewnie mijali się rano z górnikami i wychlapali. Może raczej wygadały się kobiety? W każdym razie od rana huczała w kopalni plotka, że za płytami, które ktoś w nocy stracił, znajduje się ołtarz świętej Barbary. Komuna go zakryła – zapanowała nagle zgodna opinia braci górniczej. Kto odsłonił? Pewnie KOR...

Stali górnicy pierwszej zmiany, wpatrując się w płyty jak w niebo albo w miejsce objawienia się jakiejś świętości. Szukali miejsca, skąd będzie coś można zobaczyć.

– Jak się stanie tutaj, o, pod ścianą, to jakby tam było coś. Jakby aureola.

– Kaj?

Nic nie było widać, a nikomu nie przyszło do głowy, że elektryk, który co jakiś czas wymieniał świetlówki, stojąc przy tym na wysokiej drabinie, mógł kiedyś szczeniście zobaczyć górny fragment ołtarza, tę aureolę. I mogło go to zaciekawić na tyle, by w sprzyjającej chwili spróbować dowiedzieć się, czy jego podejrzenia są słuszne. Marian Grabiński nie był jednak o nic pytany. Kiedy wczoraj stał na przystanku tramwaju i obserwował bramę, by mieć choć tyle satysfakcji, nikt na niego nie zwrócił uwagi. Ani straż przemysłowa, ani ORMO, ani milicja.

Okazało się, że pończochy na głowę mógł nawet nie brać, bo nikogo nie spotkał od cechowni po Holzplatz, ale na etapie planowania wydawała mu się koniecznie potrzebna, więc założył ją nim zarzucił linkę z kotwiczką. Zawsze ktoś mógł wejść podczas akcji. Stojąc na przystanku niczego trefnego już przy sobie nie miał. Na przystanku wypił trochę z piersiówki, żeby móc w razie czego chuchnąć, że wraca z Barbórki.

Teraz jednak górnicy mieli inną perspektywę, patrzono z dołu, nikt nic nie widział, ale miało się wrażenie, że są tu sami wizjonerzy. Paździerzową zasłonę i napis na niej odmalowano na nowo w ciągu kilku dni. Treść napisu na polecenie sekretarza do spraw propagandy zmieniono na: „Członkiem partii jest się wszędzie”. Pytania ciekawych górników, zwłaszcza te o ołtarz, władze kopalniane zbywały wzruszeniem ramion.

– Nie macie większych problemów? Lepiej się chłopcy weźcie za robotę. Do końca roku tylko kilka dni. Trzeba zapierdalać, a nie zajmować się głupotami.

Do sporu kompetencyjnego, o którym wspomniano, doszło już następnego dnia po wydarzeniu, gdy major Burza, zastępca komendanta miejskiego do spraw SB, przeczytał w biuletynie codziennym, że 4 grudnia około dziesiętnastej w cechowni kopalni „Makoszowy” doszło do aktu wandalizmu polegającego na zniszczeniu tablicy z napisem „Program Partii Programem Narodu”.

– Przecież to sprawa polityczna! – aż krzyknął wtedy na Bogu ducha winną sekretarkę, który mu ten biuletyn przyniosła.

Zmroziło go. Pewny znak, że może ktoś tu w komendzie sobie nieładnie pogrywa. Pamięta nerwówkę, gdy w maju 1971 roku Moczar, który był jeszcze sekretarzem KC partii, zwołał do Olsztyna nieplanowane posiedzenie sekretarzy wojewódzkich, wykorzystując nieobecność Gierka, przebywającego wtedy z wizytą w Pradze. Nie było wątpliwości, że próbuje przejąć całą władzę, a miał na to realną szansę. Gierek wizytę przerwał i w tę pędy pognął do Olsztyna. „Zaszczycił” obrady swą obecnością, pozyskał wielu stronników Moczara z frakcji „partyzantów” (tak nazywano moczarówców), a niedoszedłego puczystę skazał na zesłanie, czyli na prezesurę w NIK.

Nic o nas bez nas.

Major Burza nie wiedział wówczas, za kim się opowie. Za decydowały oczywiście rozum i kalkulacja, nie serce. Tak więc – mimo wszystko – Gierek. Zresztą towarzysz Szlachcic, który został wtedy szefem MSW, też był w gruncie rzeczy moczarówcem, nie tylko w głębi duszy, co gwarantowało – przynajmniej przez jakiś czas – kontynuację. A towarzysz Jaruzelski to niby co, święty? Nie był wcześniej moczarówcem?

Czyżby ktoś chciał teraz, za jego plecami, za plecami SB, zadać zdradziecki cios? Kto i dlaczego? Nie wpadajmy na razie w panikę. „Nic nie jest takie, na jakie wygląda” – stoi na frontonie siedziby CIA w Waszyngtonie. To dewiza tajnych służb. Albo za wszystkim kryje się coś innego, albo coś tylko z pozoru wydaje się stanowić zagrożenie. Najpierw więc zrationalizujmy podejrzenia, czy opierają się na faktach, czy na opiniach i ocenach indywidualnych.

Pobiegł zaraz do piwnicy, do techników. Czy który był na „Makoszowach”? Fotograf był. Fotografie już są, ale nie wiadomo co z nimi robić, bo to drobna sprawa, co najwyżej na kolegium.

– Dawaj te fotografie! Z kim tam byłeś?

Po chwili wiedział już o ołtarzu.

Tego jeszcze tylko brakowało. Przed dwoma miesiącami Polak został papieżem i teraz trzeba wypuszczać na Zachód całe hor-

dy pielgrzymek, a to na inaugurację pontyfikatu, a to tak sobie – do Papieża. Stosunki Państwo – Kościół dobre teraz jak nigdy, przynajmniej tak twierdzą w Warszawie, nie należy tego negować ani tych stosunków pogarszać. Tu w mieście też się dobrze układa. Dziekan Pieruszka już stary, ale dobrze się trzyma i gwarantuje stabilność w swoim zakresie. Dziekan rejonowy Pyrczka też po ludzku gada. Obaj teraz organizują te pielgrzymki do Rzymu, już nawet na przyszły rok mają zajęte miejsca i terminy.

Otwieranie pola konfrontacji byłoby teraz bardzo nie na rękę władzom wyższym. Przygotowywano się już zresztą na „pielgrzymkę Ojca świętego do Ojczyzny”. Temu też zachciało się pielgrzymować!

Ale tego, który śmiał podnieść rękę na Partię, tego terrorystę, który pod osłoną nocy, w Dniu Górnika (wzbraniał się używać słowa Barbórka, zbyt klerykalnego), zamachnął się na hasło łączące Naród wokół wspólnych wartości i celów, tego należało koniecznie znaleźć. Gdzie jednak teraz szukać. Czy komendant tego nie wiedział? Najważniejsze są pierwsze godziny. Gdzie był pies tropiący? Gdzie była tyraliera przeczesująca teren w poszukiwaniu pozostawionych śladów. Podobno był jakiś hak metalowy, jakaś pewnie linka czy żyłka. Musiało to gdzieś leżeć porzucone! A teraz szukaj wiatru w polu. Agentura kopalniana donosi, że huczy tam jak w ulu. Niektórzy domagają się odsłonięcia ołtarza. Akurat! Ucho od śledzia dostaną, nie ołtarz.

Ktoś najwyraźniej zataił istotę rzeczy przed nim, jedynym kompetentnym tu w sprawach politycznych. Nic się już nie znajduje. Można będzie jedynie wyciszyć sprawę i usunąć z papierów wszystkie wzmianki, które mogłyby łączyć ją z pionem SB, gdyby ktoś na przykład zapisał gdzieś ten wątek polityczny. Ktoś mógł na przykład chcieć mu zaszkodzić. Trzeba to będzie wyjaśnić z komendantem. Osobiste zaangażowanie komendanta na początkowym, najważniejszym etapie śledztwa (którego formalnie nie zainicjowano), było dla niego niezrozumiałe i mocno go zaniepokoiło. Czyżby komendant wiedział wcześniej o zamierzonej akcji?

Trzeba to będzie w każdym razie wyjaśnić.

Sprawie nie nadano dalszego biegu.

Grzebiący w śmietniku kłoszard (oficjalnie tacy u nas nie istnieją, ale słowo dostało się do języka na fali przyjaźni polsko-francuskiej, znacie na pewno „Maigret i kłoszard” Simenona) znalazł w kuble przy jakiejś posesji położonej za kopalnianym torowiskiem pończochę z dwiema dziurami, jakby na oczy. Bardzo go to rozśmieszyło, bo pomyślał, że teraz to mógłby nawet napaść na bank. Zaraz wszakże spowaźniał, bo obok znalazł zwiniętą grubą żyłkę wędkarską z wielkim hakiem w kształcie kotwiczki, jakby ktoś się wybierał na rekina, a potem nagle zrezygnował. Żyłkę sobie zostawi, a hak dołączy do złomu, który czeka w kącie komórki, aż zbierze się miarka. Butelkę piersiówkę znalazł w koszu na śmieci na przystanku kto inny i też mu się przydała.

Wybiegnijmy teraz niedaleko w przyszłość. To już 2 września 1980 roku Ktoś dzwoni na komendę. Telefonistka przełącza na gabinet szefa SB. Kopalnia strajkuje. No a jaka ma być – „Makoszowy”? W budynku starej dyrekcji formuje się komitet strajkowy. Czego im się zachce? A kto ich tam teraz wie. Przecież Jastrzębie reprezentuje wszystkich górników, a tam już porozumienie prawie uzgodnione, więc o co jeszcze cudują? Mówią coś o „swoich własnych sprawach”. Posłali już kilku chłopca i odsłoniли znów ołtarz w cechowni. Baby myją go „Ludwikiem”, przyniosły kwiaty z klombu. Jak w kościółku tam teraz. Grabiński stoi pod obrazem i się śmieje, nie wie, czy czemu, zadowolony. Kto w komitecie? Jeszcze nie wiadomo. Ludzie chcą Gierge, Rymszę, Grabińskiego, Serafina. Nie, interwencja nie jest teraz wskazana. Nie, towarzysz, teraz akurat stanowczo nie.

W materiałach tutejszej komendy podane nazwiska nie przewijają się. Będzie jeszcze czas się nimi zająć. Jeśli zaś chodzi o ołtarz św. Barbary, to nadal tam stoi, niezasłonięty. ■

Tekst jest fragmentem niepublikowanej dotychczas powieści Jacka Okonia „Miasto na przedzie”.

popiołowy czwartek

I

Putin atakuje Ukrainę w Tłusty Czwartek
 jakby pomylił go ze Środą Popielcową
 i chciał sypać w twarz braciom z zachodu
 prochem jesteście
 i jeśli entliczek, pentliczek bomba trafi w ciebie
 w gruz się obrócisz

II

poeta nad Wisłą je pączka w Tłusty Czwartek
 i czuje dysonans do tradycji
 niesmak do truskawkowego dżemu
 luksusu za złoty pięćdziesiąt dziewięć proszę
 nieźnośnie przed oczami
 tańczą mu średniowieczni asceci
 swój *dance macabre*

III

na Wschodzie czas jest cofnięty
 więc u nich karnawał i fajerwerki w najlepsze
 dopiero potem chudy czwartek
 na Wschodzie Wielki Post
 zaczyna się po Niedzieli Przebaczenia Win

Martwa natura na tle Mariupola

3.04.2022

dojrzałe bloki nie rosą
 odpadła szypułka dymu
 znad pomarańczy kamienic
 robaki z prędkością dźwięku
 wgryzały się w skórkę cegieł
 płynął sok

ręka jest poza kanonem talerza owoców
 leży rozluźniona jakby trzymała jabłko
 w kadrze reportera



granice

po co tam wracasz
gdzie z nieba leje się piekło
z chmur zamiast aniołów sfruwają bomby

*po kulkę
po traumę
po PTSD*

co chcesz zrobić tam z miękkim ciałem
ukrytym za metalową płytą wkładką balistyczną
okularami strzegącymi galarety oka

*przewieźć jak worek i wylać krew
niech zboże urośnie
kłosy przebiją śmigłowce*

czemu żona ucieka dzieci
żegnacie się na pasie ziemi
która nie należy do nikogo

*wywieźć tkanki ocalić
od gniewu przemknąć
w szaleńczym tańcu przez deszcz żyłek*

*po wodę
kurczaka
powieki bez drzazg*

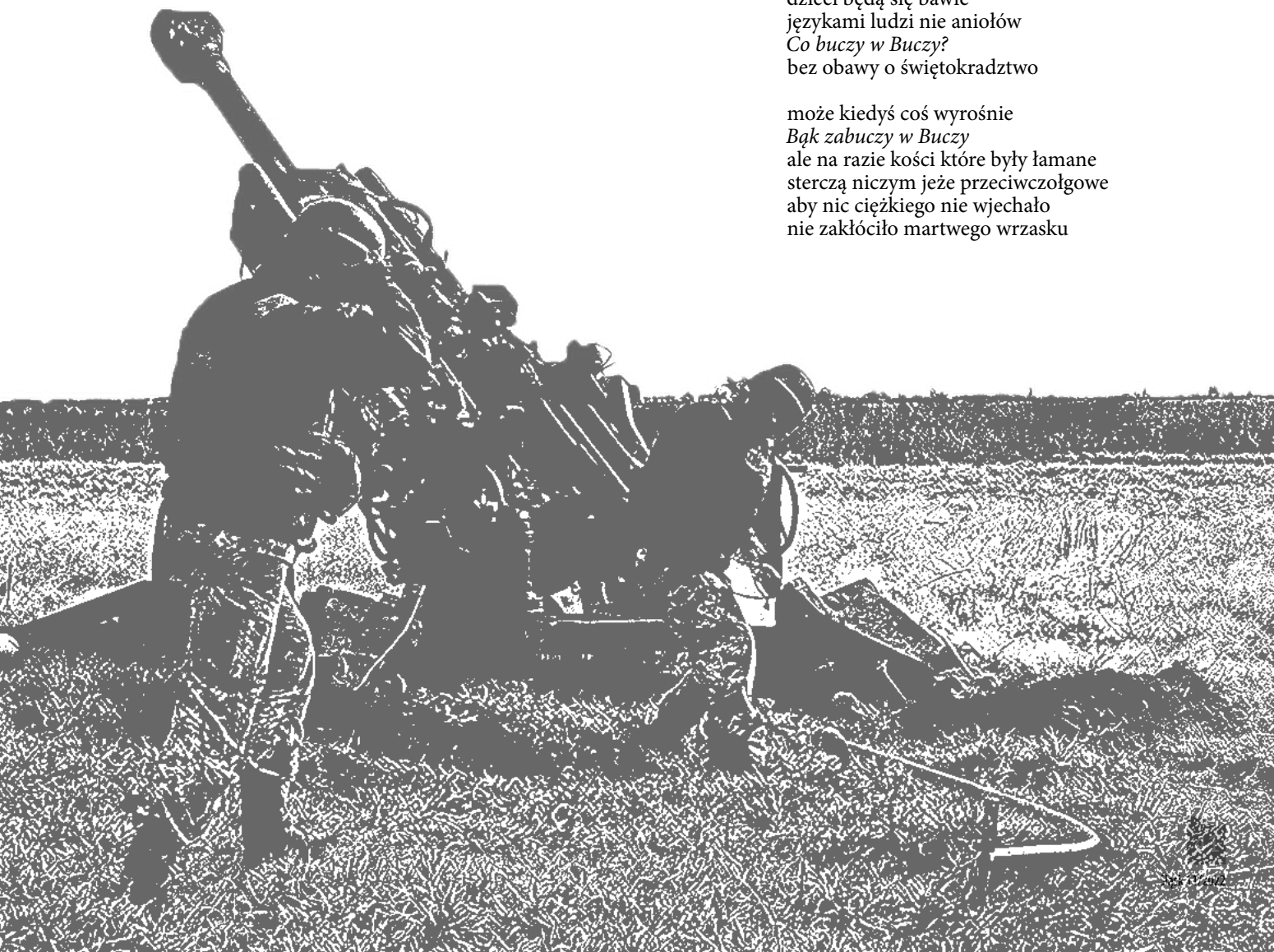
* * *

Buczy

kiedyś przyjdzie poeta albo grafoman
będzie przerzucał ciała między strofami
ukazywał je światu otwierał powieki
a jednak tak trzeba
bo przeistoczą się w ziemię
zejdą w głąb
skąd nie będą krzyżeć zęby
nieskazitelną jasnością

czekam
aż za kilkadziesiąt lat
dzieci będą się bawić
językami ludzi nie aniołów
Co buczy w Buczy?
bez obawy o świętokradztwo

może kiedyś coś wyrośnie
Bąk zabuczy w Buczy
ale na razie kości które były łamane
sterczą niczym jeże przeciwzołgowe
aby nic ciężkiego nie wjechało
nie zakłóciło martwego wrzasku



Tytuł filmu to „Złote Jabłko”, a Górný Śląsk jest kojarzony z węglem, czyli „czarnym złotem”. Jak należy ten tytuł odczytywać?

Szukając informacji o Górnym Śląsku o tym, co tam się działo, kto miał najsilniejszy wpływ na Górný Śląsk, spodziewałem się znaleźć jakieś znaczące słowa, które pozwolą mi zawrzeć całą historię w krótkim zdaniu, w dwóch, trzech słowach opowiedzieć o Górnym Śląsku. I nagle trafiłem na wypowiedź generała Szeptyckiego, polskiego generała, który podczas oficjalnych uroczystości przyłączenia Górnego Śląska do Polski w 1922 roku wkraczał na czele wojsk polskich do Katowic. Później okazało się, że to człowiek niezwykły, z otwartą głową, doskonale znający język niemiecki, pochodzący z Galicji, więc dla niego te relacje polsko-niemieckie nie były szczególnie zaskakujące. I być może, jako jeden z niewielu widział wtedy w Śląsku coś, co wykraczało poza dostrzeganą przez większość powierzchowność – że są kopalnie, węgiel, huty, wszechobecny przemysł. Potrafił docenić rzeczywiste znaczenie Śląska dla Polski. W jednej z wypowiedzi nazwał Górný Śląsk Złotym Jabłkiem, które trafiło w ręce rodzącej się Rzeczypospolitej. Tego szukałem. W tych słowach zawiera się rzeczywiste znaczenie Górnego Śląska dla Polski. Z tej niewielkiej powierzchni, która stanowiła ledwie ponad jeden procent ówczesnej Polski, już chwilę po przyłączeniu pochodziło ponad 70% produkcji przemysłowej Polski, ponad 60% energii elektrycznej. Po prostu gigant przemysłowy. W momencie, kiedy Polska przyłącza Górný Śląsk z kraju rolniczego staje krajem rolniczo-przemysłowym. I ten drugi człon – „przemysłowy” zawdzięcza wyłącznie Górnemu Śląskowi. Oczywiście, pojawiały się też inne, barwne wypowiedzi na temat Górnego Śląska. Chyba minister Eugeniusz Kwiatkowski zwykł mówić, że Górný Śląsk jest złotym dukatem, ale może dlatego, że był ministrem skarbu II Rzeczypospolitej. Złote Jabłko wydaje się zawierać znacznie więcej niż jedynie księgową wartość śląskiego przemysłu – Górnioślazaków, ich przeszłość i przyszłość, marzenia, plany, nadzieje. Ale film ma też podtytuł – „Złote Jabłko... czyli krótka opowieść o długiej historii Górnego Śląska”, który całkowicie wyjaśnia, co jest jego treścią...

Pytanie: jest pan rodowitym warszawianinem, co pana urzekło w Śląsku, że postanowił zrobić film o tej ziemi?

Kilka lat temu realizowałem cykliczny program telewizyjny. Bywaliśmy z ekipami w różnych miejscach Polski kręcąc kolejne odcinki. Kilka razy, może 6 albo 7 realizowaliśmy zdjęcia na Śląsku i za każdym ten Śląsk był tak kompletnie zaskakujący i udowadniał mi, że nic nie wiem na jego temat. Dla mnie to był koszmar, bo jadąc na zdjęcia zawsze bardzo solidnie się do tego przygotowuję. Co prawda, kiedy program jest realizowany w cyklu tygodniowo-



Z reżyserem **JANUSZEM KUJAŁOWICZEM** rozmawia

ELŻBIETA PISARCZYK

wym, musi powstać scenariusz, realizacja na miejscu, a mieliśmy dwoje prowadzących i dwie pełne ekipy, montaż i kolaudacja przed emisją, czasu na porządne przygotowanie jest niewiele. Bardzo dobry research i niedospane noce zwykle jednak wystarczały. W przypadku Śląska to się nie sprawdzało. Jak tylko zaczynałem kopać natychmiast wiedziałem, że nie zrobię tego przez parę dni. Dosłownie gdziekolwiek nie byliśmy, a przecież mieliśmy okazję korzystać nawet z miejscowego wsparcia, wiedziałem, że jedynie dotykam tematu. Więc jechaliśmy na zdjęcia i miałem jakąś tam powiedzmy bazę, natomiast to nie oznaczało, że cokolwiek z tego Śląska rozumiałem. Moja wiedza o Polsce, jej historii, kompletnie nie przystawała do tej śląskiej. Wiedziałem, że przyjechali architekci z Berlina, dwaj bracia Zillmannowie, a właściwe kuzyni, i zaprojektowali Nikiszowiec, Giszowiec, hutę Uthemanna i wiele innych obiektów. Do tego momentu było OK. Ale kiedy wspierający nas historyk z Muzeum Historii Katowic wspominał o projekcie budowy pomnika Zillmannów, a ja do tej pory bazowałem na jednej, tej centralnej, historii czarno-białej, to w tym momencie traciłem grunt pod nogami. Takich przestrzeni na Śląsku jest wiele. A ja już taki jestem, że chcę wiedzieć, chcę zrozumieć, bo tylko wtedy z czystym sumieniem mogę coś opowiadać widzom przed telewizorem. Z Górnym Śląskiem żyję dzień w dzień już trzy lata. Długo się historii Górnego Śląska uczyłem, ale też

poruszania się po jego przeszłości, żeby wiedzieć, co jest ważne, a co mniej, gdzie są przestrzenie wrażliwe. Więcej zrozumiiałem, poznałem... ale to są fantastyczne doświadczenia.

O Śląsku z pewnością wie pan bardzo dużo, jednak korzystał z pomocy konsultanta historycznego. Kto odpowiada za merytoryczną część filmu?

Miałem niezwykle szczęście, że spotkałem profesora Ryszarda Kaczmarka, absolutnie wybitnego historyka, a co dla mnie szczególnie cenne, Pan Profesor jest Górnioślazakiem. Nie tylko wie wszystko na temat Śląska, ale też Śląsk rozumie, czuje poprzez osobiste przeżycia, przeżycia swojej rodziny, znajomych, kolegów. To właśnie to, co umyka z kart historii, a przecież jest ważne, a może najważniejsze. Dzięki Profesorowi na pewno łatwiej było mi zrozumieć, dlaczego ktoś zrobił to albo tamto. O faktach czytamy w książkach poświęconych historii Górnego Śląska, ale ja chcę wiedzieć dlaczego. Prosty przykład – Plebiscyt i pytanie: dlaczego Górnioślazacy głosowali za Polską? Z warszawskiej perspektywy pytanie wręcz nie na miejscu, może nawet obraźliwe. Ale Górnioślazacy już od drugiej połowy XVIII wieku żyją w państwie pruskim, wcześniej pod Habsburgami, a jeszcze wcześniej są częścią Korony Czeskiej. Ostatni raz z polską państwowością mają kontakt z czasów Kazimierza Wielkiego i to raczej symboliczny. Przecież nikt wtedy nie wie, jaka będzie Polska i czy będzie. Jeśli w Warszawie, Poznaniu, czy Krakowie nikt nie wie, jaka będzie Polska, skąd to mają wiedzieć Górnioślazacy? A na dodatek w pamięci górniośląskiej wyjątkowo mocno i fatalnie zapisały się czasy pańszczyzny, której powrotem w przypadku zwycięstwa Polski straszy niemiecka propaganda podczas kampanii plebiscytowej. I okazuje się, że Ci twardo stąpający po ziemi,



Ulica, Katowice 1941 r. Archiwum Adam Macura

pragmatyczni Górnoślązacy po raz pierwszy w swym życiu zagłosowali za marzeniami, bo marzyli, że wspólnie z Polską zbudują Państwo, które spełni ich oczekiwania, że wszyscy, i oni na Górnym Śląsku, i my gdzieś tam na Mazowszu, zaczynamy nową historię, że zbudujemy państwo sprawiedliwe, w którym ludzie będą się wzajemnie szanować i gdzie każdy będzie obywatelem pierwszej kategorii. Wiemy, że nie do końca się to udało.

W realizację filmu zaangażowanych było wielu ludzi żyjących na Śląsku, wiele instytucji. Jak warszawiak zdobył ich zaufanie?

Wyszedłem z założenia, że jeżeli jestem szczerzy w tym, co mówię i w tym, co robię, to po tej drugiej stronie spotkam być może podobnych do mnie. A jeżeli chcę coś zrealizować o świecie, który dla tych ludzi jest bliski, ważny, a stał się też ważny dla mnie, to już naprawdę niewiele trzeba. Zresztą przyznam, że spodziewałem się wsparcia. Oczywiście było pewne zaciekanie, może niedowierzanie: „a dlaczego pan z Warszawy... przecież pan pewnie nic nie wie o Górnym Śląsku”. Ale wiedziałem. Myślę, że właściwe to, że byłem obcy, ułatwiło mi zadanie. Realizowanie filmu o sobie jest trudniejsze. Nie ma dystansu, zbyt wiele spraw tracimy z oczu, bo są oczywiste. Na Śląsku zresztą chyba nie było takich planów. Nawet profesor Kaczmarek, kiedy obserwował moje walki o jakieś archiwa, miesięczne oczekiwania, setki rozmów, setki to jest delikatnie powiedziane, maili i tak dalej mówił: „nie wiem, dlaczego chcesz to zrobić? Ale jak się już robisz, to postaraj się zrobić tyle ile tylko możesz, bo sądzę, że nikt przez następne 30 lat nie pójdzie w twoje ślady”. Prawda jest taka, że sam nie wiedziałem, jaka to będzie praca. Sądziłem, że film zrobimy w parę miesięcy, a okazało się, że robimy go prawie 3 lata. Tysiące „wykopiowanych” materiałów, elementów, zdjęć, map, rycin, wizerunków. W filmie użyjemy ok. 1300 plus archiwalne materiały filmowe, animacje... po prostu gigantyczna robota. Ale cały czas cieszę się tą historią i „zarażam” wszystkich współpracowników, rodzinę i znajomych. Zresztą ten film realizowałem dla siebie i takich jak ja sprzed trzech lat, dla których historia Górnego Śląska w rzeczywistości nie istniała. Po to żeby ten Śląsk zrozumieć, żeby wiedzieć, dlaczego Zillmannom, czy Jerzemu Ziętkowi ktoś stawia pomnik. I myślę, że na Śląsku to wielu ludzi ujęło, sprawiło, że

chcieli mi pomóc. Oczywiście Profesor Ryszard Kaczmarek, niebawym, otwarty człowiek o oniesmielającej wręcz wiedzy, ale też historycy z Muzeum Historii Katowic, dr Ewa Kulik z Muzeum w Rybniku, dr Dawid Keller z Muzeum chorzowskiego, czy Jan Planta z Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, Muzeum Ziemi Opolskiej, Muzeum w Bytomiu... Takich miejsc i fantastycznych, niezwykle życzliwych ludzi spotkałem naprawdę wielu. Jaki będzie tego efekt nie wiem. To trudna historia, ale bardzo, bardzo ciekawa. Ale pewnie cały projekt by nie wypalił, gdyby nie pomoc i zaufanie Katowic Miasta Ogrodów, obecnego koproducenta filmu i miasta Katowice. To są absolutnie fantastyczni ludzie, otwarci, dynamiczni, realizujący mnóstwo naprawdę fantastycznych, wielkich projektów i nagle zechcieli dojrzeć ten nasz, kameralny, taki niewielki film, w którym nie wybiegamy gdzieś w świat, w nieznaną przestrzeń, ale mówimy o sobie, o Śląsku. Bardzo mnie wspierali i wspierają do dziś. Kiedyś już miałem przyjemność współpracy z miastem Katowice przy okazji realizacji programów telewizyjnych i zawsze czułem, że jak zwrócę się o pomoc, to na pewno taką pomoc uzyskam. Tak było i jest. Uzyskaliśmy też wsparcie od Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, które stała się partnerem naszego filmu. Dla mnie, dla naszego filmu, Metropolia jest szczególnie istotna, bo jej działania są po prostu wpisane w naszą filmową opowieść. To między innymi dzięki Metropolii granica, która setki lat istniała na Przemszy i Brynicy oddzielając historyczny Górny Śląsk od Zagłębia Dąbrowskiego przestaje istnieć, nie tylko na mapie, co było działaniem administracyjnym, ale w naszych głowach, powstaje jedna wspólna przestrzeń. Producentem filmu jest firma KAS FILM.

„Złote Jabłko” to obraz historyczny wymagający pokazania dokumentów, zdjęć czy archiwalnych filmów. Gdzie trzeba było ich szukać?

Korzystaliśmy z archiwów Filмотeki Narodowej, Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, Telewizji Polskiej, z zasobów archiwalnych prawie wszystkich śląskich muzeów, Muzeum Ziemi Opolskiej i jego oddziału na Górze Św. Anny. Wiele znakomitych materiałów, zapewne w większości w Polsce nieznanymi, uzyskaliście z archiwów niemieckich, między innymi z Bundesarchiv, ale też Muzeum Berlin-



„Land unterm Kreuz” Archiwum Bundesarchiv

skiego, czy Muzeum w Bochum. Pozyskaliście też materiały z archiwów filmowych z różnych części świata, ale najcenniejsze pochodzą ze Stanów Zjednoczonych, z Archiwum Spielberga i Muzeum Holocaustu. To perły. Korzystaliśmy także z archiwów prywatnych, których zbiory są często zupełnie niezbrane, a mają szczególną dla nas wagę, bo wnoszą najczęściej do tej wielkiej historii taką ludzką, prywatną perspektywę. To dzięki takim archiwom możemy zobaczyć, jak wyglądało Boże Narodzenie w 1941 roku w Katowicach, czy obserwować dzieci podczas zabawy. Takie nagrania przypominają, że nawet w najbardziej tragicznych chwilach toczyło się życie, ludzie przeżywali swoje własne tragedie, ale też były chwile radości. I właśnie dlatego, żeby trochę ożywić, sprawić, żeby ta długa opowieść oparta na archiwaliach nabrała bardziej ludzkiego wymiaru, bo przecież ciągniemy ją przez 100 lat, wprowadziłem sceny aktorskie i rekonstrukcyjne. To są niewielkie elementy, ale mam nadzieję, że oddają emocje tamtych chwil. Realizacja tych scen była zresztą dla nas takim... świętem. Żywi ludzie, plan, rozmowy... Wybitni aktorzy – Barbara Lubos, Andrzej Dopierała. Młodzi i utalentowani aktorzy młodszego pokolenia – Hubert Skonieczka i Paweł Kempa. I Bartholomäus Klempke, niemiecki aktor i scenograf, człowiek orkiestra, którego energia i optymizm ułatwiały pokonywanie wszelkich przeszkód. A na dodatek dwie śląskie grupy rekonstrukcyjne skupione wokół Adama Kaszuby i Mariusza Chłapka – prawdziwi perfekcyjniści, niesamowicie zdyscyplinowani na planie, z którymi można śmiało realizować nawet najtrudniejsze sceny... Mam nadzieję, że jeszcze spotkamy się podczas kolejnych realizacji. Bardzo się cieszę, że dosłownie za chwilę zakończymy prace postprodukcyjne, że nareszcie będzie można zobaczyć ostateczny efekt, ale... Mam nadzieję, że wkrótce powstanie jakiś nowy projekt, też śląski. Chciałbym tu wrócić.

Dziękuję za rozmowę.



Zdjęcie z planu/Archiwum KasFilm

Złote Jabłko, Dukat Szczerozłoty... w reżyserii Janusza Kujalowicza to blisko godzinny film dokumentalny z elementami fabularyzowanymi poświęcony tysiącletniej historii Górnego Śląska i Górnoślązaków. Twórca przybliży widzowi szczególnie skomplikowane losy Ślązaków w pierwszej połowie XX wieku – powstania śląskie, plebiscyt, okupację hitlerowską. Producentem filmu jest firma KAS FILM z Częstochowy, obraz powstaje w koprodukcji z instytucją Katowice Miasto Ogrodów. Premiera planowana jest na grudzień 2022 roku.

żyć szybko, umierać młodo

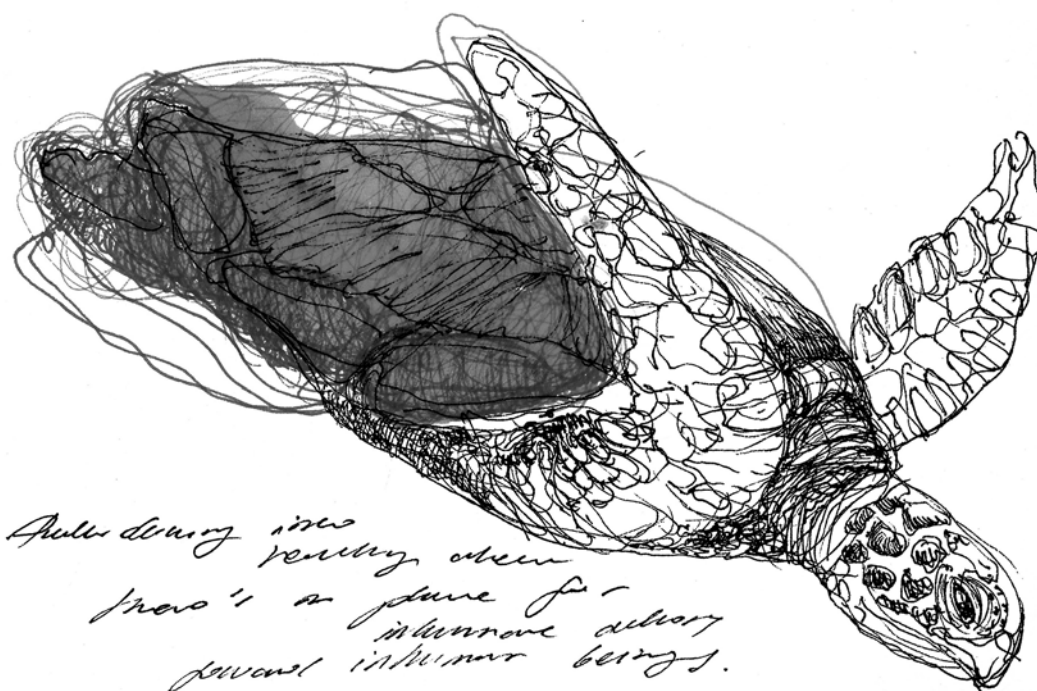
Sto trzydzieści na minutę to za mało, wierz mi
serce ściga się ze sobą byle tylko przeżyć
za daleko ma do Ciebie więc stale przyspiesza
czy spragnione zdąży, czy czas zacznie mu uciekać?
Sto trzydzieści na minutę to za mało, wierz mi
oczy są jak skała więc wytrwałość muszą dzierżyć
umysł nieprzytomny po tych dawkach końskich, Soma
wypiłam butelki trzy, wciąż nie usypiam, szkoda
sto trzydzieści na minutę to za mało, wierz mi
tyle rzeczy do zrobienia, gdzie świat je pomieści?
Każda półka elegancko stoi razem z wnętrzem
choć mam bałagan, ma bałagan wątku przestrzeń
sto trzydzieści na minutę, to za mało, wierz mi
chciałabym móc biec z innymi, z nimi mam gdzie mierzyć
chaos, chaos, chaos, krzyczy w głowie każda z myśli
wagon wypadł z toru, wagon wypadł, lecą iskry
sto trzydzieści na minutę, czuję chłód, choć biegnę
wędnie każdy z kwiatów, który postawiono wcześniej
mięknie moje serce, które biegnie po tych trupach
chciałabym móc oddać hołd, lecz misja wzywa, czuwaj
sto trzydzieści na minutę, serce trochę zwalnia
gdy w Twoich ramionach mieszczą się gwiazdy, ich światła
Ty mi dajesz spokój i dawaj go dużo więcej
kocham Ciebie skarbie, uciekniemy razem jeszcze
sto trzydzieści na minutę
jestem już zmęczona
serce chce biec dalej
choć spocona moja głowa
sto trzydzieści na minutę
dalej lecą iskry
i wciąż spać nie umiem
nie mnie dano być jak wszyscy...

Tam, gdzie ciągle wracam, Mamo...

Czuję, że ta pasja wbija się tak mocno, mocno
czy możliwe, skoro jestem tylko chemią wewnątrz?
Przepraszam, napraw mnie, zmień proszę, bo te szwy pękają
zanim rzucę się do basenu, lub rzuć się ze mną
siedzę w ciszy, chociaż krzyki ponoć raniły najbardziej
ale ktoś mi ukradł głos, więc nic nie mogę mówić, raczej
gołe niebo, a ja pod nim trzęsę się jak małe dziecko
nie pamiętam już dziewictwa, chociaż wiem, że było ciężko
jednak wciąż pamiętam lipy, wyrosnięte aż do Boga
mimo tego żyły w zgodzie i mówiły jednym słowem
nie czerpałam zmartwień, nie chowałam ich, ilekroć trwoga
namawiała mnie do złego, niczym wąż by owoc zjeść...
Czy w tym lesie mieszka zwierz? Czy to niedźwiedz się tam pastwi?
Nie, córeczko, wejrzyj przecie, tam za mało miejsca miałby
las za mało gęsty tutaj, ale dalej może, morze
było wtedy niebem, och! Jak marzę, by zostało morzem...
Słońce przebijało się przez kory, skórę grzało czule, ciągle
z szyi pędzącej maszyny wiatr objął się o skronie
i pachniało wysokością, gdy pieśń ciepła skradła wiosnę
to Ty pierwsza mnie chroniłaś, najmilejszą dałaś troskę
w ramiona tej najpiękniejszej biegnę co dnia
co noc czasem
lat minęło dużo
jej rysy wciąż nieskażone czasem...

Kwiaty na polanie

Kiedym raz kolejny umęczon łatami
ściągam wszystkie plastry i świecę rzekami
(co płaczą po nocach krwią, płaczą plastrami
czekając na Ciebie tak płaczą latami)
i zerkam przez okno; te kwiaty są nami
do ziemi przybite, w ziemi nasze tchnienie
pod wiatru ciężarem zgięte ukłonami
ku niebu płatkami niosą ciężkie brzemie
Ty byłaś goździkiem, kiedy cała reszta
łodygą i liściem w pamięci została
zbyt piękna, zbyt krucha i złem nieskalana
będąc niepodlana przyśniłaś się częściej
od tamtej więc pory jedynie wyglądam
na kwiaty, co pochylone na wietrze
muskają się w grupie, muskają tak co dnia
prowokowane tylko przez powietrze
gdy słońce je ciepłym okrywa promieniem
żeby trochę dalej inne głodzić cieniem
żeby nocną porą znów były nagrzane
gwiazdami na niebie – kwiaty na polanie.



rys. Bogna Skwara

Deszcz

Wysłałam na deszcz, żeby poczuć
chłód, oszołomienie
patrzyłam jak szare niebo opuszcza lzy
grzmocąc cierpieniem
tak intensywnie powiało wprost we mnie
do szpiku zmroziło
ja stojąc tak miernie
oczyszczona ze wstydu i zbędnych uniesień
naostrzyłam umysł przebijając mięsień

Miejska Kronika Aprioryczna (1)

Andrzej Jarczewski

Kolejki węglowe, tworzące w roku 2022 nową cywilizację zakupową, nie biorą swych konstytucji z powietrza. Żyją wszak jeszcze starzy, osiwiali stacze, pamiętający ostatnie lata PRL. Warto przypomnieć ich cenne doświadczenia, bo to i owo, a także niejedno może się przydać przyszłym pokoleniom.

1988. KOLOR NA KOPERNIKU

Konstytucję tej Kolejki ustalono w sobotę wieczorem w trybie gwałym i w brzmieniu typowym dla owych czasów. Tłumek chciałby nawet i posejmikować, ale niespodziewanie wczesne mrozy przynaglały do szybkiego wypracowania konsensusu. Było sześć stopni poniżej zera; starsze dzieci kończyły właśnie rozwalać bałwany, budowane przez młodsze dzieci, a rodzice jednych i drugich zgrabiałymi długopisami wpisywali się na społeczną listę, przyjmując do wiadomości warunki następujące.

1. Sprawdzenie listy codziennie o ósmej rano i o szesnastej.
2. Sposób sprawdzania obecności: przewodniczący wywołuje numery, kolejkant wykrzykuje nazwisko i – jeżeli krzyk zgadza się z zapisem – nazwisko przepisywane jest na nową listę z nowym numerkiem.
3. Po przepisaniu – stara lista ma być niszczona.
4. Dla obrony przed wprowadzeniem listy konkurencyjnej – pełni się dyżury nocne, sobotnie i niedzielne: co dwie godziny kolejna dziesiątka.
5. Za nieobecność na dyżurze – skreślenie z listy.

I oto już cała konstytucja największej Kolejki w krótkiej i tragicznej historii najpiękniejszego w PRL blokowiska betonowego. Później pojawiły się precedensowe interpretacje i rozstrzygnięcia, Kolejka dopracowała się obfitego orzecznictwa w sprawach spornych, kwestie proceduralne ustalono z niesłychaną precyzją, ale kanon trwał bez zmiany ducha i litery aż do wesoło-smutnego końca, mimo iż tekst owej konstytucji nie został nigdy zapisany. Pięć punktów, sformułowanych w sobotę 19 listopada roku 1988, przekazywano ustnie codziennie o ósmej i o szesnastej, utrwalano w długich nocnych rozmowach podczas dyżurów obowiązkowych i recytowano każdemu nowemu kolejkantowi.

Przypadkiem – u zarania dziejów Kolejki – mróz odebrał głos anarchistom i demokratom, więc nie było problemu z wyborem władz. Królował w tym względzie precedens, a setnicy wyra-

stali sami: wchodzili na rampę, mijając bez słowa ewentualnych kontrkandydatów, zastanawiających się o pół sekundy dłużej.

I już byli przechodnimi wodzami Kolejki. Liczył się donośny głos i refleks. Nikt zresztą nie pchał się na setnika, gdyż poza satysfakcją z chwilowej władzy – profitów ta funkcja nie przysparzała. Przeciwnie. Zwykły kolejkant mógł trochę pokombinować, mógł załatwić sobie na boku jakiś interes lub nawet strzelić bumelkę, jeśli tylko był kryty przez uprzejmego sąsiada. Setnik natomiast był tak starannie kontrolowany, że za jakiegokolwiek odstępstwo od wzorca cnót groził mu chyba lincz. Piszę „chyba”, bo rzecz nie była przetestowana. Żaden setnik nie próbował kombinować. Z tysięcy setnikami było już trochę inaczej, ale któż w owym czasie na tak wysokim stanowisku był bez winy?

Sklep firmowy wytwórni telewizorów kolorowych otworzono w poniedziałek 21 listopada 1988. Do tego czasu Kopernik oglądał programy czarno-białe i tylko w najbogatszych oknach zaczynały migotać – budzące powszechną zazdrość – kineskopy kolorowe. Zgodnie z przewidywaniami okazało się, że telewizory są o 30% droższe niż zapowiadano w sobotę. Naturalna weekendowa inflacja nie speszyła zbyttno Kolejki, przygotowanej duchowo na gorsze rzeczy – mogli przecież wcale nie otworzyć!

A oni otworzyli, choć w pierwszym dniu jeszcze klientów z Kolejki do sklepu nie wpuścili. Obserwowano jedynie wzmógłony ruch na zapleczu, co było do tego stopnia zgodne z powszechnie akceptowanymi zasadami, że nikomu nie przyszło nawet do głowy interesować się, co też zawierają wnoszone i wynoszone kartony. Za to we wtorek, osoby zapisane na społecznej liście zaczęły już naprawdę dostawać wielkie pudła z upragnionymi „Heliosami”. Ku powszechnemu zaskoczeniu – tego dnia sprzedano aż dziewięćdziesiąt osiem telewizorów. Trochę mniej w środę i trochę więcej w czwartek. A to już przerosło najśmielsze oczekiwania, gdyż zwykle na innych listach numer pięćdziesiąty nie zapewniał zdobycia telewizora nawet w ciągu roku.

Tak więc skrajni optymiści i przypadkowi przechodnie, którzy – ot tak sobie – wpisali się na astronomicznie odległe dwusetne miejsce, stanęli w czwartek przed życiową szansą. Zostawiali w Kolejce dzieci, które przedtem donosiły kanapki lub zupę w termosach, i biegli załatwiać nagle pożyczki, u kogo się dało. I tak to szło przez dłuższy czas. Jednego dnia sprzedano 100 telewizorów, innego 70 (bo w sklepie była kontrola), kiedy indziej znów zepsuła się antena i sprzedaż szła jeszcze wolniej. Zawsze jednak te 50–90 sztuk dziennie udawało się ludziom kupić.

W mieście nie dowierzano. Doświadczeni stacze twierdzili, że takie dostawy urywają się zwykle w parę dni po otwarciu sklepu. Tu wszakże hossa trwała zachęcająco długo. Fama poszła w świat i zaczęli pojawiać się klienci z odległych dzielnic i sąsiednich miast. Przed ósmą i przed szesnastą dojazd na osiedle Kopernika autobusem miejskim stawał się coraz trudniejszy, aż w końcu stali mieszkańcy zaczęli z miasta wracać na piechotę.

Ujawniła się wtedy grupa dziwaków, którzy jęli rozpętywać kampanię antykolejkową. Pisali memoriały do władz i listy do gazet, chodzili od domu do domu, zostawiali jakieś ulotki, próbowali przekonywać znajomych i ostrzegać obcych. Przyjmowano ich początkowo z pewnym szacunkiem i ostrożnością, gdyż każda tego typu działalność, prowadzona w czasach panowania

46
Słask 11/2022
fot. A. Jarczewski



ustroju kolejkowego, miewała swój finał w więzieniu. Widziano więc w nich przyszłych męczenników sprawy w zasadzie słusznej, ale niewartej widocznego poparcia. Napływ gości przynosił bowiem zbyt wiele korzyści.

Osiedle Kopernika, wybudowane jako jedna gigantyczna sypialnia, nieposiadające żadnej instytucji kulturalnej, placówki, czy choćby kiosku z namiastką kultury – zyskało nie tylko pierwszą prawdziwą atrakcję, ale i profity warte pewnych wyrzeczeń. Ceny noclegów domowych wzrosły do tego stopnia, że stałym mieszkańcom opłacało się wynajmując sobie pokój gdzieś na mieście, a siedzibę na Koperniku wypożyczać materacami dmuchanymi i tylko raz na tydzień przyjeżdżać, by skasować należność. Inni znów brali urlopy, a nawet zwalniali się z pracy i zaczynali nareszcie porządnie zarabiać jako stacze lub wykonawcy różnych innych usług kolejkowych. Niezwykle sukcesy święciły też lokalne prostytutki i producenci bimbru.

W tej sytuacji dziwacy dokonali klasycznego zamachu stanu. Korzystając z ogólnego zaferowania Kolejki i niewiary w sens wspólnego działania – zebrali wszystkie możliwe odwody i w sile dwudziestu dziewięciu ludzi pojawili się na zebraniu wyborczym Komitetu Osiedlowego Stałych Mieszkańców. To wystarczyło. Ich przeciwnicy – przyzwyczajeni do tego, że na podobnych zebraniach frekwencja nie przekracza półtora zwykłego obywatela – znaleźli się w przeraźliwej mniejszości, oddali władzę i podali tyły. Zamachowcy nie zdawali sobie jednak sprawy, że przejęli tylko władzę. Myśleli, że wystarczy do uporządkowania spraw na osiedlu. Tymczasem była to władza bez pieniędzy i bez jakichkolwiek narzędzi wykonawczych.

To, czego brakowało dziwakom – gromadziło się grubą warstwą wokół Kolejki. Przez pewien czas utrzymywała się jako taka równowaga między sprzedażą telewizorów a nowymi zapisami, jednakże od Nowego Roku 1989 lawina telemanów z całego kraju zaczęła zasypywać osiedle. Dopóki na liście było nie więcej niż pięćset nazwisk, aktualny szef kolejki mógł osobiście dwa razy dziennie ją przepisywać, ale na wiosnę, przy pięciu tysiącach pozycji – trzeba było zatrudnić parę sekretarek. W jednym z okolicznych bloków Kolejka wynajęła pokój, ustawiono maszyny do pisania i to na jakiś czas wystarczyło.

Gdzieś daleko przy Zielonym Podstoliku rozgrywano poker stulecia, ale wieści polityczne stanowiły jeno temat rozmów w wąskich kółkach. Kolejka od tego nie malała. Przeciwnie – wkrótce stało się jasne, że oprócz setników i tysięczników konieczni są dziesięcioletnicy.

Zapisy trwały nadal, gdyż nawet dwudziestotysięczne miejsce (przy dziennej sprzedaży na poziomie zbliżonym do 90 sztuk) dawało możliwość zakupu telewizora w terminie 223 dni roboczych, czyli trzeba tu było czekać krócej niż rok. Na tle ogólnokrajowego standardu stwarzało to szanse nader korzystne. Przybysze z dalszych stron porozbijali namioty i rozstawili przyczepy kempingowe. Było optymistycznie.

Z braku wystarczająco dużego placu utwardzonego – mityngi o ósmej i szesnastej musiały się odbywać w mniejszych grupach. Każdemu więc kolejnemu tysiącowi przydzielano coraz odleglejsze od pawilonu miejsce. Rosła też liczba lokali, wynajmowanych przez Kolejkę do obsługi list i załatwiania spraw bytowych przyszłych nabywców.

Teraz już każdy tysiąc miał kilkumieszkaniowe biuro z sekretariatem, pokojem konferencyjnym, księgowością, działem kartek na mięso, na benzynę, wódkę i inne dobra oraz naddziałem rozdzielania przydziałów kartek na kartki. Na biurowiec każdego nowego dziesięcioletnika przeznaczano cały blok, z którego zawczasu wykwaterowywano stałych mieszkańców. „Już się dosyć namieszkali” – twierdzono – „teraz niech ustąpią przed wyższą społeczną potrzebą”.

Konflikty między dawnymi a nowymi gospodarzami osiedla rozstrzygał specjalny sąd pojednawczy, któremu przydzielono następną budynek. Osiedlową szkołę przekształcono w posterunek Kolejkowej Służby Porządkowej, co – wobec nieobecności zwykłej milicji – pozwoliło Kolejce przejąć pełną kontrolę nad sprawami osiedla ku zadowoleniu wszystkich kolejkantów.

Stali mieszkańcy, którzy w komplecie zaopatrzyli się w telewizory już w pierwszych kilkunastu tygodniach, przyjmowali to zupełnie inaczej, ale honor nie pozwalał im początkowo stosować się do zaleceń powszechnie wykiwanego Komitetu Osiedlowego. Pozajmowane parkingi, nieprawdopodobne zwaly pudeł i niewywożonych śmieci, częste awantury, zasikane klatki schodowe, sekty, szerząca się prostytutka i narkomania – wszystko to zważyło się na bezbronne osiedle nagle, przysięgło, zaskoczyło i kompletnie sparaliżowało. A najsilniejsze jednostki, zamiast organizować obronę, całe dnie wpatrywały się w szczęśliwie zdobyte kolorowe ekrany. Gdy wyrzucani z domostw mieszkańcy w końcu postanowili coś przedsięwziąć, było już za późno. Miejsce na ogół potulnych zwykłych kolejkantów zaczęli bowiem zajmować zawodowi stacze z miasta i okolicy.

Początkowo niektórzy klienci sami pilnie wpatrywali jakiegoś zastępcy, bo nie byli w stanie obstarwić sobą i swoją rodziną wszystkich terminów. Wiadomo: im bliżej pawilonu, tym miejsce cenniejsze, a zawalonych przez stan spraw – więcej. Jednakże z wolna zawodowi stacze zdobywali coraz większą przewagę. Już nie czekali, aż klient przejdzie do pierwszego tysiąca. Atakowali propozycjami każdego nowego.

Jeszcze wiosną stacze konkurowali między sobą stawkami i byli w miarę uprzejmi wobec klientów. Nie trwało to długo. Kilkunastu, a potem kilkudziesięciu najbezwzględniejszych staczy, bramkarzy, cinkciarzy i melinarzy utworzyło korporację, która w błyskawicznym tempie wykurzyła stacze niezrzeszonych. Zmieniono też strategię. Doszło bowiem do tego, że po osiągnięciu pierwszej setki tysięcy zapisanych – w samej Kolejce stawało nie więcej niż dziesięć tysięcy zwykłych kolejkantów i stu staczy zawodowych, obstawiających jednocześnie po kilkaset (niektórzy nawet i po kilka tysięcy) numerów.

W momencie, gdy Komitet Osiedlowy pozyskał w końcu szersze poparcie dla swych antykolejkowych idei – szef korporacji staczy postanowił uprzedzić moment spodziewanej konsolidacji stałych mieszkańców i opracował genialny plan. Po wyeliminowaniu ostatniego stacza niezależnego – wprowadził swojego człowieka na stanowisko prezydenta Kolejki i któregoś dnia zażądał ścisłego przestrzegania obowiązującej tu praworządności, czyli kolejkowej konstytucji. Zaraz też zwykli klienci zostali powiadomieni, że muszą niezwłocznie stawić się w wyznaczonych miejscach, bo inaczej wypadną z interesu.

To wystarczyło. Liczbę klientów oceniano naówczas na dobre dwieście tysięcy. Ich przemarsz z punktów zbornych na miejsce mityngu, które zorganizowano w pustej, ogromnej misie Kapielska Leśnego, był manifestacją tak potężną, że ostatni mieszkańcy kompletnie stracili ducha i dali się przegonić z osiedla jak stado milczących owieczek. Interwencje KOSM-u (Komitetu Osiedlowego Stałych Mieszkańców) przestały być rozpatrywane z chwilą, gdy uznano, że wobec wysiedlenia byłych mieszkańców – KOSM nikogo nie reprezentuje.

Następnego dnia powiadomiono klientów, że już nie muszą się facytować, a osiedlem niepodzielnie zawładnął szef stuosobowej zaledwie korporacji staczy. Potem wybuchły różne, pożalowania godne niesnaski i awantury, których nie będziemy tu zbyt szczegółowo relacjonować, gdyż jednocześnie w centrum miasta zaczęły dziać się rzeczy, o jakich nie marzył nawet żaden szeregowy stacz z Kopernika.



foto: A. Jarczewski



ZDOBYCIE MIASTA

Wiele tomów zajmie kronika, opisująca wszystkie zjawiska, towarzyszące upadkowi długo i niezbyt jasnie panującego ustroju kolejkowego. Do piór biorą się historycy, socjologowie i inni uczeni. Niech się biorą; naszym zadaniem jest jeno obejrzenie tego zjawiska ze wszystkich trzech stron kolorowego ekranu.

W czasach, gdy liczebność Wielkiej Kolejki Telewizoryjnej na Osiedlu Kopernika zbliżała się do swego apogeum, Sprytny, szef korporacji cinkciarzy i staczy, dokonał interesującego odkrycia. Otóż gdy do aktualnej ceny krajowego „Heliosa” dodać spodziewane i co pewien czas dokonywane podwyżki, pięcioletnią gażę stacza, koszty niewygod, dojazdów tudzież nieobecności w pracy kolejkanta – okaże się, że taniej wyjdzie sprowadzenie telewizora zagranicznego.

W całym kraju kolejkowy ustrój statyczny zmienił się nagle w kapuptyczny i zaczął się rzeczy niezwykle. Któregoś dnia stacz o pseudonimie Katapulta odstąpił niespodziewanie koledze, zwanemu Przyciężki, trzy tysiące obstawionych przez siebie numerów w zamian za trzecią część wynagrodzenia, płatną z góry. Przyciężki, który nie był wcześniej zbyt aktywny i załapał się na zaledwie siedmiuset kolejkantów, zgodził się bez wahania w przekonaniu, że robi świetny interes. Rozumował tak.

– Biorę teraz trzy tysiące numerków, a płacę tylko za tysiąc i to po aktualnych cenach. 200% zysku! Wiadomo, że w ciągu roku stawki za stanie wzrosną o kilkaset procent, więc przebiecie roczne jest co najmniej sześciokrotne. To jest interes! Sześć złotych za jedną zainwestowaną złotówkę!

Katapulta usłyszał od Sprytnego zupełnie inną kalkulację.

– Jeżeli stawka za numerek wynosi jeden procent wartości telewizora rocznie, to otrzymując gotówkę za tysiąc numerków – masz w kieszeni równowartość dziesięciu „Heliosów” albo pięciu równorzędnych telewizorów tajwańskich czy koreańskich. I zapomnij o tych trzech tysiącach śmieci, których się pozbyłeś – dodał, uprzedzając wątpliwości Katapulty. – Dają teraz paszporty, pozwalają kupić marki, więc skok do Berlina, kupujesz pięć telewizorów i za dwa dni wracasz z czterema, bo wartość jednego odpadnie na koszty transportu, łapówki i te rzeczy. Mamy więc cztery telewizory, ale każdy z nich ma pilota, więc możemy je spokojnie sprzedać w cenie nie dwóch, lecz trzech bezpilotowych „Heliosów”. O zbyt się nie martw, ja to załatwię.

Jak powiedział, tak uczynili. Katapulta przywiózł cztery sztuki i zanim zdążył się wyspać po trudach podróży – Sprytny sprzedał je starannie wyselekcjonowanym „szczęśliwcom”. Następnego dnia, nie inwestując ani jednego nowego grosika, Katapulta startował do Berlina z pieniędzmi na sześć telewizorów. Jeśli teraz powtórzymy – uwzględniając koszty – rozumowanie Sprytnego, łatwo wyliczymy, że po trzeciej trasie Katapulta miał już pieniądze na siedem „Samsungów”, a po czwartym kursie – na dziewięć. Sprytny upychał je co bogatszym kolejkantom, używając do tego kolejno wtajemniczanych staczy.

Doświadczenie pozwoliło ograniczyć koszty operacji, a berliński dostawca, w miarę rosnących obrotów, dawał coraz większą marżę. Nie upłynął miesiąc, a Katapulta mógł już wynająć kierowcę i wielką ciężarówkę, która w jednym tygodniu przywoziła kontener z setką telewizorów, a w drugim – trzydzieści hektolitrów spirytusu. Kilkudziesięciu byłych staczy organizowało sieć sprzedaży. Sprytny miał już teraz hurtownię telewizorów, przedsiębiorstwo

transportowe, stację benzynową, tajną rozlewnię alkoholu, swoich ludzi na cle, swoich poborców podatkowych, swoich radców, rajców a w końcu i parlamentarzysty.

Natomiast Przyciężki i jemu podobni kupowali numerki za coraz niższe stawki. Zajęci skupem nie opuszczali Kolejki i nie zauważyli, że tymczasem świat się zmienił. Gdy zabrakło im pieniędzy, zaczęli pożyczać pod zastaw, a w końcu musieli wystawiać weksle gwarantowane mieszkaniem wszystkich żon i kochanek. Zaniepokoił się dopiero, gdy kolejkanci nie tylko przestali płacić za stanie, ale w ogóle jakby zniknęli z osiedla. Kolejka topniała z dnia na dzień, aż w końcu Przyciężki doliczył się tylko pięćdziesięciu wytrwałych, z których każdy był członkiem korporacji staczy z co najmniej dziesięcioma tysiącami numerków w plecaku. Szef korporacji wpadał coraz rzadziej, od czasu do czasu kogoś zabierał do hurtowni, aż w końcu zupełnie przestał się pokazywać. Podobno Przyciężki wkrótce umarł z głodu i zgrzyoty, a pozostali stacze rozplynęli się w miarę, jak wokoło pawilonu rosła sterta niesprzedawalnych „Heliosów”.

Na osiedle Kopernika z wolna wracało życie. Dawni mieszkańcy odgrzebywali swoje domy spod sięgających ósmego piętra hałd śmieci, wytruwali szczury, malowali ściany, wstawiali telewizory i urządzali się na nowo, choć na ogół – po staremu.

Za to śródmieście zaczęło się przeobrażać w sposób rewolucyjny. Wiecznie puste sklepy zapełniały się towarami różnymi. W każdym podwórku otwierano minihurtownie, a targowiska, parkingi i chodniki aż pęczniały od tłumów sprzedających z ręki, ze stolika, ze składanego łóżka, czy tylko prześcieradła. Koniunktura łała się szerokim strumieniem spirytusu „Royal”, a wygłodzony rynek lykał wszystko bez objawów niestrawności.

Wielkie dni przeżywali wtedy nowobogaccy kupcy z ulicy Sukcesu. Sprowadzali najwspanialszy towar z całego świata: z Indii – tekstylia, z Turcji trampki (prawie jak oryginalne), z Chin – wszystko, jak leci. Klient był nienasycony. Zachowywał się tak, jakby kilkadziesiąt lat panowania ustroju kolejkowego całkowicie pozabawiły go myślenia rynkowego. Rzucił się na towar jak szarańcza, wysypywał gromadzone latami banknoty dolarowe, biegł z nimi do rozmnożonych ponad wszelkie spodziewanie kantorów i ze zdwojoną siłą uderzał w rynek, który dzielnie stawiał czoła wszelkim atakom. Kupcy walili trzystuprocentowe marże, a klient brał jak głodny leszcz. Mały sklepik wystarczał, by właściciela było stać co roku na nowe, coraz większe auto.

Salon sprzedaży, zatrudniający pięć ekspedientek pozwalał na zbudowanie willi, a właściciele większych interesów lokowali nadwyżki w nieruchomościach, kupując całe hektary miasta. Inni znów gustowali w wozach turystycznych do najodleglejszych krain lub też uwalniali się od uwierającego nadmiaru gotowizny w okolicznych salonach gry tudzież masażu.

Inwestować nie było trzeba. Usprawniano jedynie kanały dystrybucji. Singapur, Dubaj, Stambuł, Hong Kong. Byle szybciej. Nie dlatego, iżby obawiano się pogorszenia koniunktury. Nie, o tym nikt nie myślał. Raczej chodziło o stałe doskonalenie obrotu i jak najszybsze zaszpanowanie nowym mercem.

W naszej ulubionej branży pierwsze objawy przesyty pojawiły się w momencie, gdy została przekroczona magiczna liczba siedmiu salonów telewizoryjnych na sto metrów bieżących każdej śródmiejskiej ulicy. Klienci stawali się niepokojąco wybredni. Łażili od stoiska do stoiska, wypytawali o telegazetę, o podłączenie vi-





deo, a nawet o możliwości odbioru satelitarnego. Jednym słowem – kompletnie im się we łbach poprzewracało. Tak, jakby zapomnieli, że jeszcze niedawno maszerowali przez osiedle Kopernika z pieśnią, wyrażającą ich najgłębsze tęsknoty:

Heliosie, Heliosie! (bis)
Tylko ciebie chcemy,
Bardzo cię pragniemy.
Heliosie, Heliosie mój...

Sprzedawcy telewizorów, wśród których znaleźliśmy reprezentatywną próbkę byłych staczy, poznawali swych niedawnych, wylęknionych i ponad wszelką miarę uprzejmym zleceniodawców. Teraz ich, tzn. kupujących, zachowanie stawało się coraz bardziej butne, aroganckie, a nawet bezczelne. Dochodziło do tego, że klient po zwiedzeniu stu, czy dwustu sklepów w ogóle nie dokonywał zakupu, a w najlepszym razie – odkładał transakcję na jutro, żądając doniesienia do domu prospektu reklamowego, projektu karty gwarancyjnej, a nawet próbki towaru.

To ostatnie żądanie przybrało miarę wręcz epidemii. Wszystkie salony sprzedaczy prześcigały się w sprawnym dostarczaniu próbek. Powszechnym zjawiskiem stały się teraz długie kolejki sprzedawców, gońców i tragarzy, stojących godzinami pod domem niezdecydowanego klienta. Zdarzało się, że dopiero osiemsetny telewizor dostępował zaszczytu pozostania w domu nabywcy. Co prawda tylko na okres próbny, ale i to przydawało sensu stanowi nawet tysięcznego dostawcy.

Mieszkańcy osiedla Kopernika początkowo z dużą dozą wyrozumiałości wysłuchiwali wieści, napływających ze śródmieścia. Każdy swojego „Heliosa” już miał, więc informacje o kolejnym tysiącu sklepów ze sprzętem audio-video przyjmowano bez emocji. Jednakże z wolna pojawiało się pewne zainteresowanie, które z czasem przeszło w obsesyjną obserwację i żądę odwetu. Oto któregoś dnia wszyscy mieszkańcy spod trzynastki wybrali się do śródmieścia i zażądali na jutro próbek towaru z doniesieniem do domu. Jeśli zważymy, że trzynastka ma pięć klatek schodowych po dziesięć pięter i że do każdego mieszkania ustawiła się kolejka z paroma setkami telewizorów – wyobraźnia bez trudu pozwoli nam współodczuwać błogą zemstę stałych mieszkańców, którzy jeszcze niedawno – wyrzuceni z mieszkań – tułali się po świecie z nieodłącznymi „Heliosami” pod pachą.

Trzynastce pozazdrościli natychmiast mieszkańcy innych bloków. A straszliwe rezultaty nie dały na siebie zbyt długo czekać. Już od rana następnego dnia zagęszczenie na osiedlu zaczęło osiągać wskaźniki znane z epoki ustroju kolejkowego, by w południe przekroczyć wszelkie dopuszczalne normy. Korzystając z archiwalnych zdjęć satelitarnych, obliczyliśmy, że w przeddzień dramatycznych wydarzeń: do piętnastu tysięcy mieszkańców osiedla Kopernika ustawiły się rozmaite kolejki o łącznej zawartości ponad siedmiu milionów telewizorów.

Dane te potwierdzili też archeologowie, którzy na podstawie naszej kroniki rozpoczęli parę wieków później odpowiednie badania i – po rozkopaniu wzgórz otaczających miasto – odkryli coś w rodzaju nowego Herkulanum. Wyglądało to tak,

jakby w samym centrum osiedla wybuchł elektroniczny Wezuwiusz i przykrył wszystkie bloki kilkudziesięciometrową warstwą telewizorów. Znawcy przedmiotu nie mają wątpliwości, że mieliśmy tu do czynienia z niezwyklej erupcją hysterii w gigantycznym zbiorowisku dostawców próbek towaru. Niewyraźne ślady wskazywałyby na starannie przygotowaną prowokację, ale wobec braku niezbitych dowodów – snucie dalszych domysłów zostawiamy archeologom i psychologom tłumu.

Tak czy owak, po samounicestwieniu się wielu tysięcy importerów i sprzedawców, w śródmieściu uchowało się zaledwie kilka hurtowni telewizorów. Nie muszę tu już dodawać, że Sprytny, który od dłuższego czasu trzymał rękę na pulsie miasta, nie uległ szaleństwu i krytycznego dnia nie wysłał ani jednego telewizora na osiedle Kopernika. Pewne światło na całą sprawę rzuciło badanie kartotek magazynowych w hurtowni spirytusu, które wykazało, iż właśnie wtedy po obniżonych cenach wydano kilka milionów półlitrowek „Royalu”.

POTĘGA ETERU

Wprawdzie telewizoryjna konkurencja została wybita niemal do nogi podczas sławetnej akcji zasypywania osiedla, to jednak zdobyty rynek nie przedstawiał prawie żadnej wartości. Każdy mieszkaniec naszego miasta miał już telewizor w domu i trudno było zaproponować mu drugi. Sprytny wymyślił więc kolejny trick: otworzył własną stację telewizyjną TELE-KLOPS, której zadaniem było nadawać programy atrakcyjne, ale koniecznie „nieparzyste”. Jeżeli więc w serwisie krajowym czy regionalnym leciał „Świat mody” lub „Porady kulinarne”, to w tym samym czasie TELE-KLOPS nadawał „Świat boksu” lub „Porady automobilisty”. Gdy inne stacje transmitowały mistrzostwa świata – KLOPS puszczał melodramaty. Wiadomości przykrywano wenezuelskimi serialami, seriale – reklamami, a reklamy – nowinami.



*Do Czytelnika z roku 3022. Przedstawione tu wydarzenia działały się lub też się nie działały jakiś czas po sporządzeniu kolejnych zwojów niniejszego manuskryptu. Wszystko to zaobserwowano wiele wieków później, niż opisano. Nie można tedy wykluczyć, że poszczególne scenariusze nie dotarły w porę do właściwych kuglarzy i niektóre marionetki wykonały w końcu nieco inne, niż zakładano, ewolucje. W powyższych badaniach naukowych należałoby więc korzystać ze źródeł historycznych, pochodzących również z epok późniejszych. Jednakże istota rzeczy nie ucierpi na niepełnej pewności podanych danych, gdyż **Kronika Aprioryczna** nie jest opisem stanów zastanych, lecz stojących się stale, wirtualnych lub – co najmniej – stuprocentowo możliwych. Jednym słowem – nie jest to fotka, ale zwykła ekstrapolacja predykcyjna z konwergentnym korelatem stochastycznym, prowadzona ze staranną niesystematycznością jakiejś dziesięć wieków temu;-).*

Rzecz jasna – dalszy ciąg nastąpił, choć nie było to takie pewne. W następnym odcinku o „potędze eteru” opowie się więcej.

1922. Wojsko Polskie wkracza na Górny Śląsk Tarnogórskie podsumowania

Przed rokiem miesięcznik „Śląsk” objął swym patronatem medialnym obchody 100. rocznicy przyłączenia części Górnego Śląska do Rzeczypospolitej Polskiej, zorganizowane przez Instytut Tarnogórski i Muzeum Instytutu Tarnogórskiego. Kilkakrotnie publikowaliśmy informacje i zapowiedzi kolejnych imprez. Obecnie pora na podsumowanie całego cyklu, obejmującego bardzo wiele wydarzeń uroczystych, naukowych i popularnych, w tym konkursy dla dzieci i młodzieży.

Program obchodów 100. rocznicy przyłączenia Tarnowskich Gór do Polski przygotowali: Nina Jarzyńska, Leszek Waligóra i Marek Wronski. Za najważniejsze uznano rekonstrukcje wydarzeń z pamiętnego 26 czerwca 1922 roku, w tym odtworzenie pochodu z udziałem grup w historycznych uniformach, a także uroczyste polowe nabożeństwo przy zrekonstruowanym ołtarzu z asystą pocztów sztandarowych i chorągwianych, uświetnione występami chórów i orkiestry.

Wobec niemożności powtórzenia tej historycznej mszy u stóp ratusza na głównym placu miasta, msza celebrowana była w Kaplicy Pułkowej w koszarach 5 Pułku Chemicznego.

W dziale naukowym odbyło się kilka konferencji popularnonaukowych oraz kolejne Tarnogórskie Sesje Naukowe. Rocznicową tematykę poruszano także na otwartych lekcjach muzealnych realizowanych przez cały 2022 rok. Przygotowano patriotyczną wystawę filatelistyczną oraz kilka wystaw czasowych, w tym:

– „Wojsko Polskie wkracza na Górny Śląsk, 1922”

– „Tarnowskie Góry 26 czerwca 1922” (wykorzystano wybór z około 150 unikalnych, niepublikowanych zdjęć wykonanych 26 czerwca 1922 roku w Tarnowskich Górach ze zbiorów prywatnych i Muzeum Instytutu Tarnogórskiego)

– „Śląskie bramy triumfalne na powitanie Majestatu Rzeczypospolitej 1922”.

Dostępne były też wystawy stałe Muzeum Instytutu Tarnogórskiego: „3 Pułk Ułanów Śląskich”, „11 Pułk Piechoty”, „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie”.

Działania naukowe i związane z ekspozycjami muzealnymi przełożyły się na przygotowanie do druku książek, w tym:

– drugie wydanie książki z 2003 roku Niny Jarzyńskiej „Szkoci w Tarnow-

skich Górach, czyli zapomniana historia doby powstań śląskich i plebiscytu na Górnym Śląsku (1920–1922)”

– drugie wydanie książki „Udział Wojska Polskiego w uroczystościach objęcia części Górnego Śląska, 1922”

– album „Tarnowskie Góry 26 czerwca 1922 roku. W setną rocznicę przyłączenia części Górnego Śląska do Rzeczypospolitej Polskiej (1922–2022)”

– „Bramy triumfalne na powitanie Majestatu Rzeczypospolitej. W setną rocznicę przyłączenia części Górnego Śląska do Rzeczypospolitej Polskiej (1922–2022)”

– „Uroczystości objęcia Górnego Śląska w 1922 roku we wspomnieniach płk. Ignacego Kowalczewskiego”

– Reprint „Pieśni o Śląsku” – poematu Jana Nowaka.

Oprócz tego wydano dziesięć „Informatorów Komitetu Obchodów”, zawierających m.in. reprints polskich gazet z 1922 roku, w tym „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, „Żołnierza Polskiego”, „Polski Zachodniej” i „Sztandaru Polski”, relacjonujących śląskie wydarzenia, oraz szkockiego periodyku „The Red Hackle”.

Setki tych druków rozdano w Muzeum Instytutu Tarnogórskiego oraz podczas uroczystości. Pomyślano także o wytworzeniu pamiątek, mających dalej funkcjonować jako ekspozyty w muzeach oraz prywatnych kolekcjach. Takimi stały się specjalnie wydrukowane karty pocztowe, na których odcisnięto pieczęć Poczty Konnej Ochotniczego Szwadronu 3. Pułku Ułanów Śląskich oraz okolicznościowy kasownik, stosowany w punkcie pocztowym 26 czerwca 2022.

Do dzieci i młodzieży adresowano dwa konkursy – fotograficzny, mający być reportażem z obchodów, oraz plastyczny. Do udziału w uroczystościach zachęcała gra miejska, polegająca na zebraniu co najmniej trzech spośród przygotowanych stempli okolicznościowych pieczęci Poczty Konnej oraz pocztowego kasownika. W tym swoistym konkursie uczestnictwa wydano kilkaset karnetów, spośród których wylosowano 20 nagrodzonych.

Wydarzeniem stały się zawody „Stu strzelców na stulecie”, w którym stu zawodników, reprezentujących dzielnice oraz stowarzyszenia i organizacje, rywalizowało o laur indywidualnie i drużynowo. Na zdjęciu obok jedna z tarcz, przygotowanych na te zawody przez tarnogórską artystkę Barbarę Mróz.

Prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej wydał pozwolenie radiowe na uruchomienie stacji krótkofalarskiej, przyznając znak wywoławczy SN100TG. Za połączeniami – do wielu krajów wysłano okolicznościowe karty QSL, przypominające o obchodzonej rocznicy.

Wydarzeniami artystycznymi przyjętymi owocnie stały się dwa koncerty – 25 czerwca pt. „Szkoci w Tarnowskich Górach w 1922 roku” z udziałem Pipes and Drums i Donegall, zaś następnego dnia: koncert pieśni patriotycznej z wykonaniu Tarnogórskiej Orkiestry Dętej oraz chórów Canzona, Słowiczek, De Profundis i Polonia-Harmonia.

W obchody 100. rocznicy przyłączenia Tarnowskich Gór do Polski zaangażowało się bezinteresownie wiele osób i organizacji. Na szczególną wdzięczność zasługuje pomoc Wydziału Promocji i Kultury Urzędu Miejskiego w Tarnowskich Górach, zwłaszcza naczelników Piotra Koraba i Damiana Stadlera, dzięki którym udało się zrealizować wiele pomysłów. Naczelnik Stadler pełnił honorowy urząd Herolda Miasta Tarnowskie Góry, wzbudzając wielkie zainteresowanie. Odnotować należy też wsparcie Stowarzyszenia Kombatanów w Kanadzie – Calgary.

Szczególną radość sprawił liczny udział w konkursach patriotycznej młodzieży z całego województwa. Na sąsiedniej stronie zamieszczamy fragment ogromnego (318 x 21 cm) dzieła Jakuba Franka, lat... 10, ucznia Szkoły Podstawowej nr 11 im. Juliusza Słowackiego w Siemianowicach Śląskich. W uzasadnieniu pierwszej nagrody wskazano na oryginalność i niekonwencjonalną koncepcję konkursowej pracy, połączone z wielką rzetelnością historyczną (żółto-białe proporce ułanów to nie błąd, to historia).





Polska maszeruje do Tarnowskich Gór, Tarnowskie Góry maszerują do Polski. Jakub Frank, technika mieszana, fragment



Z Krakowa przybył poczet Sztandaru Związku Legionistów Polskich, udekorowany Orderem Wojennym Virtuti Militari. Fot. Archiwum Instytutu Tarnogórskiego



Częstochowa Pipes and Drum. Fot. Adam Sieja



Ochotniczy Szwadron 3 Pułku Ułanów Śląskich. Fot. Archiwum Instytutu Tarnogórskiego



Strzegomska Starówka z wieżą targową dzisiaj

Dom zajezdny w Strzegomiu

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Miejscowa tradycja przypomina, że Strzegom leżący w pół drogi pomiędzy stolicą Śląska Wrocławiem a Śnieżką – Królową Sudetów, był znany już w czasach antycznych. Po raz pierwszy na mapach świata, jako ikonka z nazwą: Stragona, pojawił się w II wieku naszej ery za sprawą aleksandryjskiego geografii i matematyka Klaudiusza Ptolomeusza. Jego nazwę, bytomski sławista dr O. L. Bersdorf (1830–1887) wywodzi od prastarych określeń: trag – straż oraz stragon – strażnik.

Dzisiaj, jako spadkobierca prawie dwu tysięcy lat, Strzegom wciąż pozostaje skarbnicą archiwalnych i anegdotycznych niepodzianek.

Jedną z nich przywołuje wspomnienie domu przy ulicy ks. Siwca 2. Tam właśnie, w Roku Pańskim 1600, imię Antoni Schafberger, zamożny ziemianin z pobliskiego Ruska, wystawił mieszczkańską kamieniczkę a nad jej wejściem umieścił rodowy herb szlacheńskich urodzonych Cierniów oraz dowcipną, wiele obiecującą sentencję: „Tym którzy mnie odwiedzają, Niech Bóg da jeszcze raz tyle, ile oni mi życzą”.

Od XVI stulecia dom zajmował parcelę na rogu Rynku i ulicy Świdnickiej. W latach 20. XX wieku właścicielem staro-

świeckiej kamienicy pod adresem Rynek 32 był Paul Fischer. Pół wieku później jej miejsce zajął budynek mieszkalny z restauracją na parterze. Przez kilkanaście lat serwowała smaczne posiłki i zapraszała na przyjęcia towarzyskie.

Jako kameralna jadalnia z bufetem, do historii przeszła pod szyldem – Stragona.

Wybitny zabytkoznawca, prof. Mirosław Przyłęcki, legenda, sława i chwała powszechnego środowiska pionierów opieki nad pomnikami przeszłości, wskazywał ten obiekt jako jedyny tego rodzaju na całym Śląsku.

Jeszcze w dziewiątym roku po zakończeniu drugiej wojny światowej, Marii Schabenbeck udało się sfotografować arkady i główną fasadę budowli. Mimo zewastowanych okien i tynków, wciąż jeszcze prezentowała się efektownie. Można ją podziwiać w publikacji Dariusza Wędziny zatytułowanej „Jak Feniks z popiołów”; wydanej nakładem Stowarzyszenia im. Witelona w Legnicy.

Jeszcze w latach 50. XX wieku kamienne mury i filary ze skarpami przyporowymi starodawnej budowli na rogu miejskiego Rynku i Świdnickiej stanowiły atrakcję dla krajoznawców i studentów szlifujących talenty na dolnośląskich uczelniach

sztuk pięknych. Odwiedzali to miejsce, aby na sztalugach lub kartach akademickich szkicowników utrwalić wyjątkowy wygląd późnogotyckiego zajazdu. Nie imponował wielkością ani ozdobnymi detalami. Przez kilka wieków, cztery masywne, oskarpowane podpory jego fasady głównej zbudowane z łamanego granitu rytmicznie wspierały elewację, z naścinnym szyldem o brzmieniu „Deutsches Haus”. Powyżej znajdowały się trzy okna sali zabaw na piętrze, a nad nimi wysokie poddasze przykryte dachem z dwoma lukarnami.

Mimo zaniedbanej elewacji imponował jako gościniec i oberża z tajemniczą przeszłością. Wśród przyjezdnych i Strzegomian uchodził za replikę „Domu Niemieckiego”, przez Joannitów wybudowanego na śródziemnomorskiej Malcie.

Jego legenda przypominała dzieje protoplastów biznesu, od stuleci transportujących towary na popularnym szlaku kupieckim łączącym Adriatyk z Bałtykiem. Przed podcieniami „Zajazdu”, na placu targowym krzyżował się z podsudeckim odcinkiem handlowej, kontynentalnej magistrali wschód-zachód. Tutaj, krajowi i zagraniczni merkatorzy spotykali kolegów obsługujących drogę wrocławską – ważny odcinek jednej z tras transeuro-



Dom zajezdny w roku 1954

fol. Maria Schabenbeck

pejskiego szlaku handlowego pomiędzy wybrzeżami Atlantyku a Morza Czarnego.

W Strzegomiu, otoczonym solidnymi wieżami i murami obronnymi, zawsze czekała na nich bezpieczna, wygodna kwatery i zamożni nabywcy.

Ten szczęśliwy zbieg dróg, interesów i okoliczności, już od piastowskich czasów wzbogacał ofertę miejscowych kramarzy. Prawie zawsze mieli na sprzedaż: atłasy, adamaszki, aksamity, weneckie złoto i srebro, szafran, pieprz, imbir, ryż, proch, papier i wiele innych atrakcyjnych artykułów sprowadzanych z odległych krajów i kontynentów.

Karczma przy drodze

Poprzedniczką kamiennego zajazdu była zapewne drewniana karczma, którą jeszcze na początku XIII wieku, a więc przed lokacją Strzegomia na prawie miejskim, nieznanemu z imienia osadnikowi wydzierżawił komes Paweł Imbramowicz. Badacze dziejów miasta wskazują, że miejscem osiedlenia pierwszych hospitów było otoczenie ulicy Świdnickiej. Wolni osadnicy, najczęściej przybyłe z Karkonoszy albo z Nysy (Morawianie, Czesi, Łużycanie, Saksończycy) cieszyli się przychylnością Pawła Imbramowicza, właściciela miejskich gruntów. Są uważani za protoplastów tutejszego mieszczaństwa i promotorów strzegomskiej urbanistyki. Wiele wskazuje na to, iż drewniana karczma – poprzedniczka kamiennego zajazdu, już w początkach XII wieku posiadała regale piwowarskie.

W tamtej epoce, władcą Śląska, Wielkopolski i Krakowa byli dwaj Henrykowie z rodu Piastów: senior Brodaty i junior Pobożny. W 1241 r. po heroicznej śmierci Pobożnego pod Legnicą – władczynią ziem Śląskich została owdowiała księżna Anna, z królewskiego domu czeskich Przemysławów. Strzegomską kasztelanię i podgrodzie otaczała szczególną opieką. W pierwszym roku swego panowania, Stary Strzegom wraz z przyległościami ulokowała na prawie miejskim i ustanowiła pierwszego wójta o imieniu Peregrinus. Na początku III tysiąclecia, miłośnicy miasta i jego dziejów, swojej orędownicze wystawili granitowy monument, jedną z piękniejszych ozdób grodu u stóp Trzech Gór.

Od czasów ustanowienia i konsekracji kościoła parafialnego pod duszpasterską opieką Zakonu Joannitów, Strzegom zaczął pełnić funkcję religijnego, administracyjnego i kulturalnego centrum dla okolicznego rycerstwa oraz możliwych posiadaczy dóbr ziemskich. Spotykali się podczas nabożeństw, z okazji wielkich świąt i wydarzeń. Coraz większą sławę zdobywał sobie hospicjum szpitalne pod wezwaniem św. Ducha, do którego przybywali nie tylko chorzy, ale także ubodzy: obdarci i wygłodzeni. Jego prepozytami byli Joannici, cieszący się uznaniem jako „Szpitalnicy”. Do historii przeszli także jako mistrzowie sztuki

budowlanej. Toteż nie od rzeczy będzie przypuszczenie, że to właśnie oni w roku 1510 zaprojektowali i wybudowali stylowy zajazd o nazwie „Dom Niemiecki”.

Był przytuliskiem dla podróżujących konno i pieszo. Stał na skrzyżowaniu ruchliwych szlaków handlowych, ale także przy drodze łączącej lenno książęce i kościół parafialny z kasztelanią na szczycie Góry Szerokiej. Pełnił rolę węzła drogowego łączącego kilkanaście okolicznych dominiów i szlacheckich dworów, z których drogi prowadziły do kamiennego grodu u stóp „Trzech Gór”.

Dziedzinnie i Rozdroże przed wrotami gościnnej karczmy z biegiem lat w naturalny sposób zamieniało się w oficjalny plac targowy, wokół którego wyrastały kolejne równie solidne budowle użytku publicznego.

W bliskim sąsiedztwie, w 1532 r. Strzegomianie wybudowali pierwszy ratusz, a w rok później gruntownie odnowili stojącą vis a vis Wieżę Targową. Górowała nad placem i miastem.

W 1560 również naprzeciwko Zajazdu, w kamienicy pod adresem Rynek 44, podwoje otworzył pierwszy strzegomski smatruz, przez Polaków zwany sukiennicami, a przez Niemców „Schmetterhaus”. Pełnił funkcję giełdy handlowej miejscowych rzemieślników: sukienników, płócienników, piekarzy itd. W czasie wojen napoleońskich podupadł i groził zawaleniem. Po roku 1826. jego właścicielem został kupiec i radny miejski Kamitz. Mieszkał tam wraz z żoną Fryderyką Luizą, a na parterze prowadził sklep z artykułami kolonialnymi. Umiejętnie inwestował i modernizował swój dom. W 1841 r. kamienica miała już taką prezenację i komforty, że w jej komnatach gospodarz mógł podjąć Księcia Fryderyka Wilhelma von Hesen, syna elektora Wilhelma II. Kilkanaście lat później, w czasie budowy nowego ratusza, w domu Kamitza aż do roku 1860 funkcjonowały gabinety i kancelarie magistrackich notabli. W XX wieku, sklep na parterze kuśił Strzegomian gustowną, importowaną i krajową porcelaną, a w pracowni, tuż za elegancką bramą wejściową do kamienicy, przyjmował Adolf Bachmann – złotnik i technik dentystyczny, oferujący, dziś już raczej ekstrawaganckie wstawianie złotych zębów.

„Dom Zajezdny” i pobliskie budowle już wtedy decydowały o reprezentacyjnym charakterze tej części Kamiennego Grodu. O dobrej kondycji dostojnego zajazdu zaświadcza księga hipoteczna miasta, w której zapisano, że w XVIII stuleciu „Deutsches Haus” był: „Domem z prawem do 3 warów piwa, gorzelnią, z prawem do wyszynku i prowadzenia gospody oraz zwolnieniem z obowiązku kwaterunku wojskowego.” W czasie wojen śląskich miał reputację dobrej winiarni.

W 1743 r., być może w związku z pruskimi wojnami o habsburski Śląsk, został sprzedany za 760 talarów.

Romantyczna osobliwość

Moda na zwiedzanie strzegomskiego „Zajazdu z granitowymi podcieniami” zapoczątkowała dopiero na przełomie XVIII i XIX wieku. Zastępy jej miłośników i chwalców rosły wraz z popularnością gotycyzmu, gotyckiej architektury i upodobań do romantyczności. W stuleciu upowszechnienia masowej turystyki, nie bez znaczenia dla takiej hossy były drogi żelazne, które połączyły Strzegom z największymi ośrodkami miejskimi regionu. W krajach anglosaskich, promotorami nowego stylu byli między innymi: sławny lord Gordon Byron i zaprzyjaźnieni z nim Schelleyowie. Od tamtej pory stare, po gotycku – ostrołukowo sklepiane kościoły, zamczyska i dworzyszczą zaczęły uchodzić za „natchnione” arcydzieła i osiągnięcia ludzkiego geniuszu.

Ten okres, również dla „zajazdu Niemieckiego” w Strzegomiu stał się złotą erą w jego historii. Pod czterospadowym, łamanym dachem nieco przysadzistego budynku z karczmą, gościli królowie a także książę poetów, Johann Wolfgang Goethe, autor „Cierpień miłosnych młodego Wertera”, bestselleru tamtych czasów.

Miejscowi cicerone przypominali, że w tym domu mieszkał przez kilka sierpniowych dni 1790 roku.

Zwiedzając Śląsk w towarzystwie wielkiego księcia Karola Augusta, przyjechał do Strzegomia z książęcą kwatery w pobliskich Cierniach. Po drodze złożyli wizytę w koszarach gwardii przybocznej stacjonującej wtedy w podmiejskich Grabach. Przez kilka dni, poeta i zawołany kolekcjoner kamieni szlachetnych, wyruszał na piesze wycieczki po Wzgórzach Strzegomskich. Poszukiwał topazów i słynnej glinki leczniczej, znanej jako „terra sigillata stragioniensis”.

W kronikach i księgach pamiątkowych sędziwego zajazdu odnotowano wiele znaczących wydarzeń. Podczas wojen śląskich służby medyczne zorganizowały tu lazaret dla rannych oficerów austriackich, wziętych do niewoli przez wojska pruskie, w bitwie pod Dobromierzem. W dniu 5 czerwca 1745 roku (nazajutrz po zwycięskiej batalii) – honorową wizytę pokonanym przeciwnikom złożył osobiście Fryderyk Wielki.

W XIX i na początku XX stulecia właścicielami zajazdu z podcieniami byli spadkobiercy rodziny Thilo, a w okresie międzywojennym Paul Fischer. W tym czasie miał rangę hotelu o nazwie: „Gasthof zum Deutschen Hause”. Jego sala teatralna na piętrze była ulubionym miejscem aktorskich popisów bądź koncertów muzycznych i pieśniarskich oklaskiwanych przez miejscowych melomanów. Kronikarskie zapiski przypominają, że pierwsze Towarzystwo miłośników muzyki i pieśni w Strzegomiu powstało już w XVI wieku i należało do najstarszych na Śląsku.

Przed sceną, na starannie wyszlifowanym, dębowym parkiecie w rytmie walca, polki i oberków wirowały pary taneczne.

Gdy miłkły Muzy, w trakcie uroczystych zebrani bądź bankietów, ze sceny lub zza stołów przemawiali przywódcy strzeżomskich organizacji społecznych a w XIX stuleciu coraz częściej politykujący emsariusze debiutującej burżuazji.

Po 1945 roku, obiekt kontuzjowany podczas ostrzału artyleryjskiego, pozabawiony fachowej interwencji remontowej, zamieniał się w powojenną ruinę, ale wciąż zadziwiał sponiewieranym hieratyzmem i kusił nieprzemijającą legendą. Bryłą i lukowo sklepionymi arkadami przypominał średniowiecze, a profilami okien i dekoracją wewnątrz renesansowe komnaty śląskiego mieszczaństwa. Jego niegdysiejszy splendor potwierdzały relacje z niemieckich czasopism, plotki i wspomnienia dawnych mieszkańców miasta Trzech Gór.

Dawniej był ulubionym miejscem spotkań ówczesnych elit. W sali bankietowej na piętrze, w karnawale 1777 roku mieszczanie, kupcy i rzemieślnicy świętowali stulecie powstania strzegomskiego Stowarzyszenia Kupieckiego.

Fronton z wysoką, dębową bramą wejściową, nadal znajdował się pod masywnymi arkadami od strony dawnego placu targowego. Aby wejść do nieco mrocznej sieni bez okien trzeba było pokonać kilka granitowych stopni. Tutaj, przed wiekami pod osłoną kamiennego sklepienia, z karet, bryczek i kolas a czasem mniej szykownych powozów wychodzili znakomici goście. Pojazdy i konie stanęli greci odprowadzali do stajni i wozowni przy dziedzińcu od strony zachodniej. Na parterze, po obu stronach hallu głównego mieściły się pokoje gościnne dla przyjezdnych oraz sale konsumpcyjne austrii prowadzonej wedle „zwyczaju staroniemieckiego”.

Nieodłącznym segmentem renesansowego zajazdu były piwnice. Przypominały, że tam dojrzewały wina i piwa, a w mie-

dzianych alembikach czyściły się gorzałki. Istniały tutaj dwa poziomy podpiwniczenia. Na pierwszym miejscowi i przybysze gasili pragnieniem sławnym „Białym” pszenicznym z zajezdnego browaru, albo bardziej wyskokowym napojem z firmowej propinacji. Z głębszego prowadziły tajemne podziemne, nisko sklepione przejścia do lochów pod sąsiednimi parcelami. Legenda głosi, że korytarze tworzyły labirynt umożliwiający potajemną komunikację pod powierzchnią całego średniowiecznego grodu, a przede wszystkim pomiędzy posesjami należącymi do rycerskiej komandorii, sławnych w świecie Joannitów, pieczołowicie strzegących – rycerskich, medycznych i architektonicznych sekretów swego papieskiego zakonu. Opoдал pod numerem Rynek 34, już od średniowiecznych czasów, gości przyjmował zajazd rycerski o nazwie „Zbrojownia” zapewniający gościnę cudzoziemskiej klienteli. Jego fasadę zdobiły posągi siedmiu niemieckich elektorów, którym od XIV wieku przysługiwał przywilej wyboru cesarza Rzeszy Niemieckiej. Byli symbolem uniwersalistycznych tradycji cesarstwa rzymskiego i chrześcijańskiego zachodu Europy, w 962 r. zainicjowanych przez Ottona I Wielkiego z dynastii saskiej, sympatyzującego z Mieszkiem, pierwszym władcą słowiańskich ziem nad Odrą, Wisłą i Bugiem.

Na pierwsze piętro zajazdu wchodziło się po schodach z zawrotem umieszczonych w głębi korytarza, przy ścianie południowej. Stąd, na kolejne półpiętro prowadziły granitowe stopnie wysłane dywanem. Kończyły się szerokim podestem przed progiem dwuskrzydłowych dębowych drzwi, za którymi otwierał się widok na salę w nowszych czasach nazywaną bankietową, koncertową lub taneczną. Lewą część obszernego pomieszczenia po lewej zachodniej stronie zajmowało podium z teatralną kur-

tyną i kulisami dla orkiestry albo aktorów, a przestrzeń przed sceną w zależności od charakteru aranżowanego wydarzenia – najczęściej wypełniały dębowe stoły i ławy ustawione wzdłuż ściany południowej oraz okien. Za nimi można było oglądać wieżę Targową albo (po drugiej stronie ulicy Świdnickiej) zajazd „Pod brunatnym jeleniem”.

W podobny sposób została zaprojektowana, młodsza o kilka stuleci, istniejąca do dziś sala muzyki i tańca XIX-wiecznego hotelu „Deutscher Kaiser”. Mieściła się przy ulicy Panieńskiej, vis a vis klasztoru „Czarnych Mniszek”. Po latach była znana jako Dom Kultury.

Jak we śnie

Lata mojego dzieciństwa przypadły na okres powojenny. Mieszkałem wtedy *vis à vis* pomnika staroświeckiego budownictwa; w kamienicy pod adresem Rynek 44. Siedząc na szerokim parapacie okna wyłożonego słońcem, jednym okiem zaglądałem do lektury „Wiadomości o stylach” Witwickiego, albo do legendy „O królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu”, a drugim na resztki zrujnowanego dworzyszczca, w miejscowej legendzie uchodzącego za arcydzieło architektów Zakonu Joannitów.

Od czasu do czasu bywałem na wewnętrznym podwórzu dawnego zajazdu. Tam rosła sędziwa, ale wciąż owocująca grusza. Kiedyś wspiałem się na jej konary. Nagle, pod moją nogą pękła sucha gałąź. Przerażony, zawisłem nad ziemią zaczepony na kurczowo podgiętym kolanie. To była ostatnia ekspedycja w głąb zakamarków budzących grozę babci Klementyny. Zabronione eskapady w ekscytujące obszary epoki urwisowania, mocno utkwily w mojej świadomości.

Dom o potężnych filarach z wysokimi podcieniami do pierwszego piętra, dachu już nie miał. Główne wejście znajdowało się od strony Rynku. Pełen obaw zakradłem się do długiej sieni pogrążonej w półmroku. Na lewo i prawo znajdowały się drzwi – wszystkie pozamykane. Na końcu korytarza zaczynały się schody. Przez półpiętro prowadziły na wyższą kondygnację. Tam czekały na mnie otwarte drzwi. Prowadziły do dużej Sali bez sufitu. Była pozostałością zdemolowanego teatru. Po lewej stronie widniały resztki podium. Dawny krąg taneczny przypominały połamane klepki parkietu. Na krawędzi proscenium stał wielki kosz z ozdobnych, dębowych deszczulek. Wypełniała go ziemia, w której wciąż jak cień dawnej świetności dogorywał pień zwiedłej palmy. Nade mną lśniło wysokie, błękitne niebo. Na wprost drzwi wejściowych sterczały kikuty futryn i fragmenty trzech podokiennych parapetów. Za nimi po drugiej stronie Rynku wznosiły się mury dawnego domu kupca Kamitza i wieża Targowa pamiętająca średniowieczne dzieje.



„Gasthof zum Deutschen Hause” 1902. Karta pocztowa z kolekcji Edmunda Szczepańskiego

Na okoliczność Zaduszek myśli postrzępionych kilka Nie zdążyłem porozmawiać

JANUSZ PLEWNIAK

W pewnym liście – przysłanym mi przez znajomą z lat studenckich – było takie zdanie: *Spisuję teraz wspomnienia z dzieciństwa i bardzo żałuję, że przegapiłam czas, gdy mogłam porozmawiać z tatą.*

Kto z nas nie żałuje nieodbytych rozmów? Najstarszy brat mego ojca, wuj Marcin, brał udział jeszcze w wojnie bolszewickiej. Jako dziecko czasami miałem okazję wysłuchiwać jego opowiadań. Jak to było z zawieszeniem broni? To oni wówczas szli do rosyjskich okopów, nosząc alkohol, a dostawali machorkę. A może na odwrót? I rozmawiali z sobą jak człowiek z człowiekiem. Bo tamci to nie byli żadni komuniści, tylko normalni prości żołnierze, tacy sami młodzi ludzie. Z naszej strony dla chłopaków też ważne było, by wojnę przeżyć i do rodziny wrócić. Ta otoczka nad to już polityka, historia i dorabianie ideologii do faktów. A potem na sygnal trąbki był koniec zawieszenia broni i mieli tylko kwadrans czasu na powrót do okopów. I znów częstowali się... dla odmiany ołowiem.

Zanim ja dojrzałem do dorosłych rozmów, wuj zmarł. Może by tak jeszcze raz teraz przeczytać Żeromskiego? „Przedwiośnie” odbierałbym zapewne inaczej, ale też ciężiej chyba byłoby przebrnąć?

Nie wiem, kiedy to oglądałem, ale dzieciakiem jeszcze byłem i trochę jak owoc zakazany. To była telewizyjna „Kobra” – „Pies Baskerville’ów” w dwu odcinkach, w domu wczasowym w Sosnowcu nad Karpaczem w Karkonoszach. Dwa razy w całym życiu, albo lepiej powiedzieć tylko dwa razy, byliśmy razem z mamą na prawdziwych wczasach. Właśnie wtedy, po raz pierwszy w Sosnowcu, a obok były Bierutowice (tak nazwane od tego pierwszego powojennego prezydenta), obecnie Karpacz Górny. Wcześniej jeździliśmy dość często na krótkie wypady do nieodległego Szczyrku i Salmopola, gdzie mieliśmy zaprzyjaźnione rodziny, ach, co tam zaprzyjaźnione, prawie rodzina. Tam to był prymityw... Gotowanie na denaturacie wlanym do pudełka po paście do butów. Garnek na trzech wbitych w deskę gwoździach. Lampa naftowa, sienniki na łóżkach, za to przy zagrodzie był pyci sad z drzewami owocami, poniżej skarpy rzeka Żylica i piękna nieskażona przyroda wszędzie wokół.

Jako bardzo mały brzdąc, może miałem lat niespełna cztery, przypominam sobie, gdy raz nocą „leśni” przyszli po żywność. Było poruszenie na tyle duże,

że i my dzieci pobudziliśmy się. I jakoś tak, mimo że już w dorosłym życiu odwiedzałem parę razy „ciocię” Elżbietkę w Szczyrku, nie wróciłem w rozmowach do tamtych czasów, a teraz to już nie ma do kogo wrócić z rozmową.

Zaś tam, w Sosnowcu, to już był „Łukus”. Nawet dzieci miały osobne stoliki w ergonomicznych gabarytach. Bo to był PSS-owski dom wczasowy dla matek z dziećmi. Niejeden z byłych towarzyszy dziś podkreśla, że i komuna miała swoje dobre strony. Jakby to było wystarczające usprawiedliwienie dla stron mniej przyjemnych. I właśnie tam – a nie mam pojęcia, kiedy to być mogło, w każdym razie w bardzo szczeniackim wieku jeszcze byłem, początki podstawówki – zezwolono mi oglądać oba odcinki „Kobry”.

Natomiast pierwszy obejrany film TV we własnym pudle to Science Fiction – *Film „Krakatit”* na podstawie noweli Karla Capeka. Zdarzyło się, że dziadka mego Józefa przejechał na pętli w Siemianowicach tramwaj. Tak skutecznie, że odciął mu nogę tuż pod kolaniem. Dziadek do końca życia miał drewnianą protezę. Za odszkodowanie rodzice kupili telewizor „Smaragd” – co na pewno było z dziadkiem uzgodnione, bo mieszkał był on wówczas z nami. To był drugi odbiornik TV w naszym domu, już wcześniej miał telewizor jeden z sąsiadów. Niechętnie pozwalał przychodzić do siebie na seanse, mimo że przecież jakieś dobra za to od mamy otrzymywał, np. łuski kakaowe. Wtedy nieznane było u nas kakao, ale – podobno tak to było tylko na Śląsku – właśnie *kakauszale*. Wrzucało się do mleka albo wody i gotowało z cukrem, wygotowując reszki kakao. Smakowało normalnie dobrze. I kiedy tego pierwszego dnia po zainstalowaniu pudła wieczorem rodzinny krąg dorosłych biesiadował w kuchni (może świętowali nowy nabytek?) my z bratem po cichu oglądaliśmy ten sensacyjny film. Wtedy TV Katowice nadawała jeszcze tylko dwa albo trzy

razy w tygodniu. A i to po parę godzin zaledwie.

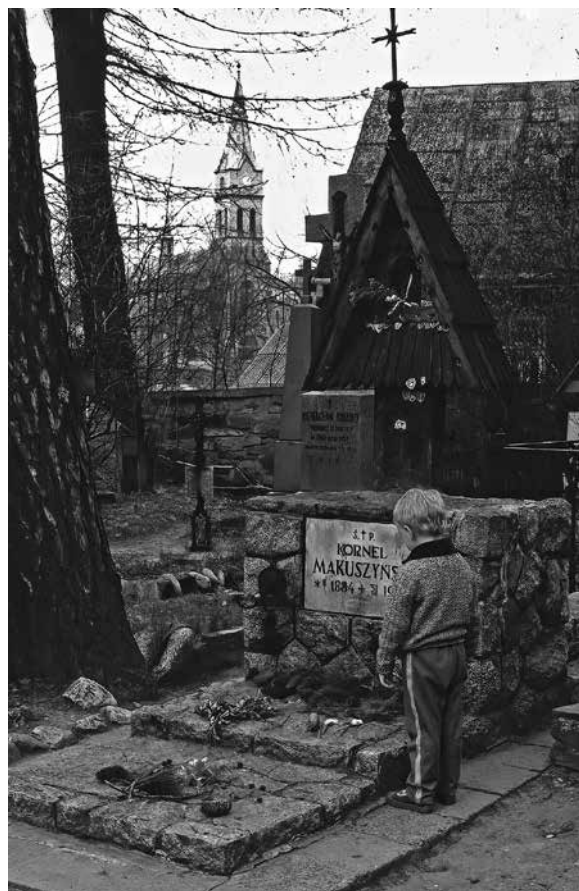
Tak strzępiąc, coraz to coś tam z życia dopowiadam, przypominam sobie i może nie tylko sobie? Na raty. Bez pośpiechu. Z przyjemnym namysłem.

To już tuż, tuż, a pójdziemy we Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszych cmentarnymi ścieżkami odwiedzić znajome groby, poszukać może innych grobów, ludzi znajomych nam kiedyś, może nawet ludzi kiedyś tam nam bliskich. I w krótkiej modlitwie pomyślimy o nich. A w zadumaniu może dopowiemy to, czego nie zdążyliśmy...

Gdy z pięcioletnim synem, Łukaszem, byliśmy w Tatrach, odwiedziliśmy też cmentarz Pęksów Brzyzek za starym kościółkiem. Łukasz jeszcze nie umiał czytać, więc opowiadaliśmy, czyje groby mijamy.

Nagle, spontanicznie Łukasz zatrzymał się nad grobem Makuszyńskiego i sam z siebie pomodlił się tymi słowami:

Dziękuję Ci panie Makuszyński za Koziołka Matołka i za myszkę Fiki Miki i za wszystkie twoje książeczki. Amen.



fol. Janusz Plevniak

Tatry, grób Makuszyńskiego

Conrad w Polsce

O wydaniach zbiorowych dzieł pisarza

STEFAN ZABIEROWSKI

1 Równy sto lat temu, bo w roku 1922 – jeszcze za życia Conrada – wydawnictwo „Ignis” z Warszawy przystąpiło do zbiorowej edycji jego dzieł, zatytułowanej *Pisma wybrane*. Jako pierwszą pozycję wytypowano powieść Conrada *Almayer's Folly*. Tłumaczenia tej powieści podjęli się kuzynka pisarza Aniela Zagórska i Stanisław Ignacy Witkiewicz. Przekład tego utworu ukazał się pierwotnie pod tytułem *Fantazja Almayera*. Tytuł taki zdawał się sugerować sam Conrad, który pisał do Anieli Zagórskiej, w liście datowanym na 10 kwietnia 1920 roku: „W sprawie tytułu co myślisz o tłumaczeniu *Fantazja Almayera*? To jest możliwe. Po angielsku wyraz *Folly* daje się zastosować do budynku także. Po polsku obłęd nie daje się tak zastosować. A's *Folly* jest głupi tytuł, który w żadnym innym języku nie można oddać”.

Należy w tym miejscu jedynie dodać, że w kolejnych wydaniach zmieniono ten tytuł na *Szaleństwo Almayera* i tak pozostało do dziś dnia.

Pierwszy ten tom zbiorowego wydania poprzedzony został wstępem napisanym przez Stefana Żeromskiego. W tekście swoim Żeromski nader dokładnie – jak na owe czasy – przedstawił biografię Conrada i rozwój jego drogi pisarskiej. Wyraził też przekonanie, że polska edycja utworów Conrada stanie się wyrazem hołdu dla jego rodziców – Ewy i Apolla Korzeniowskich – wielkich polskich patriotów, Żeromski pisał: „Należy rozradować dwa bohaterskie cienie, co nie tylko żyją w miłosierdziu Bożym, lecz żyją i żyć będą w wiecznej, wdzięcznej pamięci pokoleń, najgłębszą i ostatnią radością, iż doskonałe pisma ich umiłowanego dziecięcia, jaśniejące w bezcennym dorobku świata, stanowią także klejnot tej mowy, która była głosem ich cierpień, wyrazem ich cnoty i zawarła w sobie westchnienia ich świętej nadziei”.

Przedmowa Żeromskiego sprawiła Conradowi ogromną radość. Autor *Lorda Jima* napisał do autora *Ludzi bezdomnych* 25 marca 1923 roku: „Zaraz po odczytaniu Kochanego Pana wspomniałem przedmowy do *Almayer's Folly* prosiłem Anielę [Zagórską – przyp. S.Z.], żeby Panu wyraziła wdzięczność moją za sprawioną mi łaskę. Co do mnie, to wyznaję, że nie mam wy-

razów, by opisać Panu moje głębokie wzruszenie przed tym zaszczytnym świadectwem od Ojczyzny przemawiającej głosem Kochanego Pana – największego Mistrza Jej literatury! Składam Łaskawemu Panu najserdeczniejsze dzięki za czas, myśl i pracę, którą mi poświęcił, i za sympatyczne ocenie, które odkryło rodaka w autorze”.

Niestety, wydawnictwu „Ignis” nie udało się doprowadzić planowanej edycji do końca. Po wydaniu 6 tomów obejmujących niektóre powieści i zbiory opowiadań, w roku 1926 oficyna ta zrezygnowała z kontynuowania tej edycji.

Dalszego wydania dzieł Conrada podjął się w roku 1928 warszawski Dom Książki Polskiej, nadając temu wydaniu tytuł – *Pisma zbiorowe Josepha Conrada* i prowadził tę edycję aż do wybuchu II wojny światowej? W sumie wydano 21 pozycji. Jako główna tłumaczka tej edycji wystąpiła Aniela Zagórska. Tłumaczka ta postawiła przed sobą trudne zadanie – wprowadzenia do przekładu polskiej terminologii morskiej. Tak jej zabiegi w tej dziedzinie opisywała Maria Kuncewiczowa: „Wyobrażam sobie Anielę w rezedowej walcie, czekającą z uśmiechem w poczekalni Departamentu Morskiego Min. Wojny, to znów Departamentu Żeglugi Min. Przemysłu i Handlu, na różnych urzędowych wilków morskich i rzecznych z prośbą o wyjaśnienie... o termin techniczny... Widzę ją zagłębioną w stare słowniki pod literą M (morze), i O (ocean) i D (dżungla). ...Potem patrzącą w zamyśleniu na dachy kamienic po drugiej stronie ulicy Hożej (może to była Wilcza). A później chwytając za pióro (czyżby raczej za maszynę Underwooda?) i piszącą wszystko, co trzeba”.

Należy też przypomnieć, że owa edycja Domu Książki Polskiej trafiła w latach trzydziestych na nader podatny grunt. Był to bowiem okres wzmożonego zainteresowania twórczością Conrada w Polsce. Ukazała się wówczas pierwsza polska monografia tego pisarza – książka Józefa Ujejskiego *O Konradzie Korzeniowskim* (1936), która wzbudziła wielkie zainteresowanie krytyki i czytelników. Interesowano się też w tych latach – szeroko omawianą w prasie polskiej – książką Gustawa Morfa *The Polish Heritage of Joseph Conrad* (1930), pojawiły się szczegó-

łowe studia biograficzne i interpretacyjne pióra takich badaczy jak Rafał Marcei Bluth, Ludwik Fryde, Bolesław Miciński, czy Konstanty Troczyński.

2 Wojna i okupacja niemiecka zmieniły tę sytuację radykalnie na niekorzyść. Zakazane i wycofane zostały z bibliotek i księgarń wszystkie twory literackie, które tłumaczone były z języków zachodnich – angielskiego i francuskiego. Jeszcze większą stratą było zamordowanie przez okupantów hitlerowskich szeregu wybitnych badaczy i interpretatorów Conrada, wśród nich Rafała Marcego Blutha, Ludwika Frydego i Konstantego Troczyńskiego.

Jednocześnie jednak pisarz ten zdobył w owych latach niezwykłą popularność wśród młodzieży konspiracyjnej przeciw hitlerowcom, przede wszystkim zaś wśród żołnierzy Armii Krajowej. Pisał Jan Józef Szczepański: „Mówiliśmy o *sytuacjach conradowskich*. Nawet ci, którzy nie przeczytali nigdy ani linijki z jego książek. Na pozór jest to bardzo dziwne. Kiedy się jednak zastanowić, widać, że nasze drogi – drogi Conrada i mojej generacji – musiały się zbiec”.

Warto również przypomnieć, że w czasie okupacji tłumaczono Conrada. Aniela Zagórska przełożyła – nie istniejącą dotychczas w polskim przekładzie – powieść Conrada *Złota strzała*.

3 Dużą popularność zdobyły sobie także w latach wojny teksty Conrada wśród polskich żołnierzy, którzy walczyli na zachodnich frontach. Szczególnie zasłużony był tutaj II Korpus, dowodzony przez gen. Władysława Andersa. Staraniem tej formacji w latach 1945 i 1946 wydano w Rzymie 11 pozycji Conrada. Były to takie utwory jak – *Falk*, *Freja z siedmiu wysp*, *Murzyn z załogi Narcyza*, *Plantator z Malaty*, *Pożar na Judei*, *Smuga cienia*, *Szaleństwo Almayera*, *Tajfun*, *Ukryty sojusznik*, *Zwycięstwo*.

Owo szczególne zainteresowanie twórczością Conrada wśród żołnierzy polskich, stacjonujących po wojnie we Włoszech tak komentował emigracyjny krytyk i badacz Conrada – Wit Tarnawski: „Łatwo się domyśleć, że do tych polskich żołnierzy – walczących bez gwarancji i zapłaconych sojuszem ze śmiertelnym wrogiem – przemówił



inny znowu Conrad: już nie subtelny analityk spraw sumienia i sędzia charakterów, ale kapitan statku, który trzeba prowadzić do końca, poeta walki na przekór nadziei, choćby tylko dla zachowania uczciwości i godności własnej. To właśnie Conrad – gdy niewiele mógł już dać nawet brawurowy Sienkiewicz – trzymał i żywił ducha ludzi, którym ziemia usuwała się spod stóp”.

4 Jeszcze inaczej stosunek do Conrada kształtował się na ziemiach polskich – nad Wisłą. Będąca u władzy po 1945 roku ekipa komunistyczna i wspierający ją intelektualiści byli – zgodnie z lewicową tradycją – jak najgorzej nastawieni do Conrada. Nie stało się to przypadkiem, ponieważ Conrad był powszechnie uznawany za autora szczególnie bliskiego Armii Krajowej. Tuż po wojnie rozgorzał wielki spór o Conrada. Zdaniem marksistowskich intelektualistów Conrad nie mieścił się w – proponowanym

przez nich – modelu kultury. Spór ten zainicjował Jan Kott, przedstawiając najpierw w formie prelekcji, a następnie jako esej publikowany na łamach miesięcznika „Twórczość”, tekst *O laickim tragizmie*. Tekst ten został także przedrukowany w książce Kotta *Mitologia i realizm* (1946), która była pierwszą książką humanistyczną wydaną w Polsce po zakończeniu wojny. Kott starał się dowieść, że „Conradowska wierność samemu sobie jest w rzeczywistości, w konkretnej rzeczywistości społecznej posłuszeństwem prawom świata, którymi się wewnętrznie gardzi, odrzuceniem prawa do buntu. Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem jest bowiem ten, kto słuca pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawość. I myślę, że dlatego właśnie pisał Zygmunt Jarosz – *Kiedy patrzę na bohaterów Conrada, zaczynam rozumieć jak trudno będzie zbudować społeczeństwo socjalistyczne*”.

Równie mocno wypowiedział się na łamach „Odrodzenia” Stefan Żółkiewski. Pisał on: „Norwid czy Conrad, ich interpretatorzy: Przesmycki, Kołaczkowski lub Ujejski – należą nie tylko fizycznie, ale właśnie duchowo do minionej bezpowrotnie epoki”.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że przedrukowując ten artykuł w zbiorze *Cetno i licho* (1983) profesor Żółkiewski odciął się od głoszonej w roku 1945 oceny Conrada.

Rezultatem tych ataków publicystycznych było zatrzymanie przez komunistyczną cenzurę – poza drobnymi wyjątkami – edycji utworów Conrada w Polsce w latach 1949–1956. Jak pisał Zdzisław Najder: „Conrad znikł na pięć lat z planów wydawnictw państwowych. Nie znikł jednak z pamięci czytelników – i jego utwory, pojawiające się od czasu do czasu w antykwariatach, uzyskiwały wręcz bajeczne ceny”.

Sytuacja ta uległa istotnej zmianie na korzyść po przemianach październikowych roku 1956. Już na początku tego roku ukazał się w „Twórczości” esej Jerzego Andrzejewskiego *Trzykrotnie nad Lordem Jimem*. W tekście tym Andrzejewski reinterpretował – w kontekście doświadczeń lat stalinizmu – dwa wybitne utwory literackie – *Hamleta* Szekspira i *Lorda Jima* Conrada. Pisał tam: „Hamlet w zetknięciu ze zbrodnią, z zakłamaniem panującym na królewskim dworze

przeżywa gwałtowny wstrząs i załamanie się humanistycznych idei wyniesionych ze studiów w Wittenberdze. Świat jego moralnych wyobrażeń i ocen *rzeczywiście wypadł z orbity*. [...] Natomiast dramat Jima jest dramatem wynikającym ze świadomej i dobrowolnej wierności wobec raz przyjętego światopoglądu. Wyobrażenia Jima o elementarnych prawach moralnych trwają w nim niezmiennie i nawet cieniem wątpliwości nieskażone. Jedyne, czego Jim pragnie – to znów się znaleźć w kręgu ich działania, jako pełnowartościowa jednostka. Dla Hamleta w każdej sytuacji kryją się co najmniej dwie możliwości. Stąd jego wahania i trudność powzięcia decyzji. Hamlet kiedy myśli – widzi wieloznaczność i względność. Jim – potrzebę pełnej zgody swych czynów ze swoimi wyobrażeniami o świecie. [...] Trudno mi by było rozstrzygnąć czyj dramat powtarza się w naszych czasach częściej i dobitniej – Hamleta czy Jima”.

Wydaje się, że esej Andrzejewskiego stanowił próbę nowego odczytania utworów Szekspira i Conrada w kontekście niedawnego doświadczenia totalitaryzmu w wersji stalinowskiej. I nie przypadkiem tekst ten został powtórnie wydrukowany – jako posłowie – do powieści *Lord Jim*, wydanej w roku 1956. W istocie rzeczy esej Andrzejewskiego stanowił wstęp do nowej edycji zbiorowej utworów Conrada, tym razem dzieła Państwowego Instytutu Wydawniczego, edycji zatytułowanej *Z pism Josepha Conrada* i wydawanej w latach 1956–1970.

5

Kolejne – i najpełniejsze – polskie wydanie zbiorowe utworów Conrada miało miejsce w latach 1972–1974. Wydawcą był znowu PIW, a redaktorem naczelnym – Zdzisław Najder. Zwrócił on uwagę, że obecny w świadomości czytelników polskich dotychczas ukształtowany obraz Conrada jest nader jednostronny. Najder pisał na łamach „Polityki”: „W opinii najbardziej rozpowszechnionej Conrad to przede wszystkim pisarz morsko-egzotyczny. W opinii czytelników bardziej wyrobionych, a także w pamięci krytyków – to pisarz podejmujący problematykę odpowiedzialności moralnej jednostki, poddający bohaterów trudnym próbom sił w walce z przyrodą i własną słabością. Wszystko to prawda i ważna prawda – ale prawda cząstkowa. Conrad kształtujący rozwój form europejskiej i amerykańskiej prozy powieściowej, Conrad pisarz polityczno-społeczny, twórca powieści o walce idei, krytyk współczesnej cywilizacji Zachodu prawie dla nas nie istnieje. Nieznany pozostaje

również – krytyk literacki i publicysta polityczny”.

Natomiast nowa edycja PIW-u miała ten stan radykalnie zmienić na lepsze. Tak Najder przedstawiał jej założenia: „Wydanie niniejsze jest pierwszym na świecie z założenia pełnym i opartym na możliwie najlepszych podstawach tekstowych. Wydaniem pism Josepha Conrada-Korzeniowskiego. Fakt, że jest to pierwsze wydanie tego rodzaju oraz że jest to – paradoksalnie – edycja tłumaczona, pociąga za sobą wiele swoistych konsekwencji i trudności”.

Do rysów znamienych owej edycji Najdera zaliczyć wypadnie sprawę uporządkowania terminologii marynistycznej. Ponieważ – jak pamiętamy – kwestia terminologii morskiej budziła liczne zastrzeżenia. Najder powołał ekspertów z tej dziedziny. Tak o tym pisał: „Głównym konsultantem marynistycznym całości wydania był kapitan żeglugi wielkiej Józef Miłobędzki. Pomagali mu członkowie Sekcji Conradowskiej Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Morskiego w Gdańsku, przede wszystkim redaktor Stanisław Ludwig i kapitan żeglugi wielkiej Wojciech Zaczek. [...] Fachowa pomoc umożliwiła uniknięcie wielu niejasności i nieporozumień, a także wprowadzenie nazewnictwa i form rozkazów, rzeczywiście we flocie polskiej używanych”.

Edycja Najdera obejmowała 27 tomów. Ale mimo starań Redaktora nie udało się wydać wszystkich zamierzonych tekstów Conrada. Komunistyczna cenzura nie pozwoliła na druk szkiców Conrada o tematyce politycznej. Wstrzymane teksty wydane zostały jako tom 28, nakładem emigracyjnego wydawnictwa „Polonia” w Londynie i wiele z nich prze-myciono do kraju.

Ale edycja *Dzieł* Conrada, pod redakcją Najdera, była także doniosłym wydarzeniem w dziejach kultury polskiej. Tak o niej pisał popularyzator Conrada – Stanisław Ludwig: „W żadnym z krajów obchodzących pięćdziesiątą rocznicę śmierci Conrada nie przeprowadzono przedsięwzięcia tak doniosłego, długofalowego, a zarazem o tak szerokim zasięgu, jak to się stało w Polsce. Czy można uczcić pamięć wielkiego pisarza w sposób lepszy niż przez ponowne wydanie wszystkich jego dzieł?”

Na inny aspekt edycji PIW-u zwrócił uwagę w czasie dyskusji nad tym wydaniem, która toczyła się w polskim PEN-Clubie, Andrzej Braun. Mówił on: „Nie ma potrzeby uzasadniać przełomowego znaczenia tego faktu dla kultury i literatury polskiej. Oto dzieło Conrada, syna tej ziemi i tego kraju, nieszczęśliwego wygnańca w świat kultury łacińskiej i anglosaskiej, przedmiot tylu sporów i kontrowersji, wraca po 50 latach od śmierci pisarza w krwioobiegu piśmiennictwa polskiego w pełnym swoim kształcie, odpłacając zawiązką wszelkie owe rzekome długi moralne i wzbogacając świat polskiej kultury literackiej o swe uniwersalne wartości”.

6

Edycja *Dzieł* Conrada – pod redakcją Najdera – stała się pretekstem do powstania nowych, ważnych prac na tematy conradowskie. I tak kapitan Miłobędzki wydając osobno publicystykę Conrada na tematy morskie *Conrad w żeglarskiej kurcie* (1972) poprzedził ją ważnym wstępem charakteryzującym Conrada jako marynarza i kapitana marynarki.

Pojawiły się nowe, doniosłe prace analizujące złożoną problematykę przekładu utworów Conrada na język polski. Należy tu wymienić książki Ewy Kujawskiej-Lis *Marlow pod polską banderą. Tetralogia Josepha Conrada w przekładach z lat 1904–2004* (2011) oraz Agnieszki Adamowicz-Pośpiech *Seria w przekładzie. Polskie warianty prozy Josepha Conrada* (2013).

Tak w Polsce bywało, że przedmiotem szczególnego zainteresowania twórczością Conrada przez krytykę i czytelników stały się poszczególne utwory Conrada. Przez długie lata rola taka przypadała powieści *Lord Jim* uważanej za swego rodzaju syntezę sztuki pisarskiej i etosu Conrada. Później rola ta przypadła noweli *Jądro ciemności*.

Ale pełne poznanie twórczości Conrada gwarantowały przede wszystkim wydania zbiorowe. Ich ilość i zróżnicowanie, z jakim możemy się spotkać na przestrzeni stu lat, stanowi dowód, jak wielką rolę odgrywała twórczość Josepha Conrada w dziejach kultury polskiej.



Cztery tomy trylogii Vincenza. Trzy pasma *Na wysokiej połoninie*

JERZY PASZEK

Już od numeracji woluminów i zawartych w nich pasm, ksiąg i części, w których zaprezentowano epopeję Stanisława Vincenza (1888–1971), zaczynają się kłopoty i rozterki czytelnika. Bo rzecz przedstawia się tak: tytuł całości, czyli 4 tomów na 2074 stronach, brzmi: *Na wysokiej połoninie*. Podtytuł pasma I: *Prawda starowieku. Obrazy, dumy i gawędy z Wierchowiny Huculskiej*. Ten wolumin składa się z księgi I: *Za głosem trembity*; księgi II: *Ludzie lasowi*; księgi III: *Dzieje Słobody czyli koniec opryszkom* (Sejny 2002, s. 512; skrót: t. 1). Pasma II to *Nowe czasy*, obejmujące księgę pierwszą pt. *Zwada*, mającą cz. I: *Źródła*, cz. II: *Rębacze*, cz. III: *Wody wiosenne* (Sejny 2003, s. 546; skrót: t. 2) oraz księgę drugą pt. *Listy z nieba z 4 częściami*: cz. I: *Chrzcziny na Jasieniowie*, cz. II: *Stara wiosna*, cz. III: *Kłopoty z sądami*, cz. IV: *Żniwo górskie* (Sejny 2004, s. 510; skrót: t. 3). Pasma III ma dwuczęściowy nagłówek *Barwinkowy wianek. Epilog* oraz 3 segmenty w księdze pierwszej – cz. I: *Wiatr nad Pokuciem*, cz. 2: *Wiatr nad Bukowiną*, cz. 3: *Bukowiec*; księga druga to *Agon*, księga trzecia – *Wczoraj, dziś i zawsze. Epilog* nosi tytuł *Kroniki stancyi górskiej. Posłowie* napisał Andrzej Vincenz, syn autora (Sejny 2005, s. 504; skrót: t. 4). Uff! Nie jest to proste i łatwe do zapamiętania! Ale wyjaśnia, dlaczego tę powieść-epos nie należy nazywać tetralogią. To tak, jak gdyby ktoś Trylogii Sienkiewicza [zajmującej najczęściej 6 tomów] nadał niestosowny synonim „sześciotomówka”, bo przecie „sześciopak” nie pasuje jeszcze bardziej!

Czym jest ta huculska epopeja? Warto pamiętać, że Andrzej Kuśniewicz nazwał w roku 1980 Vincenza „Home-rem Czarnohory” (*Przedmowa* do t. 1, Warszawa 1980, s. 5). Twórca opisywanego tu dzieła tłumaczył również Platona, w którego księdze o *Prawie* (*Nomoi* 677) wyszukał fragment o pasterzach i góralach, ocalałcach po zagładzie rodu ludzkiego: „Nie znając złota ani srebra nigdy nie stali się bogaczami. A w społeczeństwie, w którym ani bogactwo, ani ubóstwo nie zamieszka, najłatwiej jeszcze można znaleźć oby-

czajność najrzetelniejszą” (t. 1, 5). Zgodnie z tym mottem, *Na wysokiej połoninie* jest próbą zarysowania szczęśliwej społeczności, zajmującej się pasterstwem, mieszkającej z dala od cywilizacji XVIII wieku (czyli szkół jezuickich i ateizmu wolteriańskiego, regionalnych rządów opryszków ze sławnym watażką Doboszem [1700–1745] na czele) oraz cywilizacji XIX wieku (traktującej puszcze jako podręczny magazyn strzelistych, solidnych i wytrzymałych drzew). Nasz homeryda snuje więc rozważania, gdzie, kiedy i jak możliwy jest raj na ziemi. Gdzie mieszka szczęście? Czy nie jest na pograniczu kraju Rachmanów, indyjskich Brahmanów i brahmanów, starohebrajskiego „rachmonim bne rachmonim” [‘miłosierni synowie miłosiernych’] (t. 4, 383), arabskiego „Bismillahi rachmani” [‘w imię Boga wszechmogącego, miłosiernego’] (ib.)? W utworze homerydy obok poliglotyzmu lśni też tolerancja religijna!

Wspomnę tutaj, jeszcze przed opisem epopei, że Vincenz urodził się w Słobodzie Rungurskiej, a przebywał też często u dziadka w Krzyworówni nad Białym Czeremoszem, więc z autopsji znał kraj Huculów z jego Jabłonowem, Kosowem, Kutami (stąd pono: Pokucie), Kołomyją i wsią Żabie. Był doktorem filozofii od 1914 roku (Uniwersytet Wiedeński), a od 1918 – kapitanem w armii austriackiej, by w roku 1922 zostać zdemobilizowanym w randze kapitana Wojska Polskiego. Znał 14 języków, więc mógł czytać literaturę europejską z oryginalnych edycji (tłumaczył nawet z języka węgierskiego, gdyż w latach II wojny światowej chronił swą rodzinę na Węgrzech). Jego wielkie dzieło powstawało od roku 1930 w Słobodzie Rungurskiej lub Bystrzcu pod Czarnohorą (pierwszy tom ukazał się w roku 1936 w Warszawie).

Charakteryzowana przeze mnie książka ma wymiary ponadgatunkowe, czyli stanowi syntezę narracji protodusznych bohaterów, wierzących w latające smoki i możliwość założenia dynastii Szumejów przez dziecko urodzone z rozłupanej siekierą limby; na te naiwne opowieści nakłada się warstwa uczona, czyli wywody dotyczące magii, re-

ligii, ewolucji uprzemysłowionej Europy. Mamy tu połączenie gawęd pasterkich i spojrzenia filozofa XX-wiecznego, znającego dalsze przygody i losy mieszkańców krainy położonej nad Białym i Czarnym Czeremoszem – ich emigrację „za chlebem” na obce kontynenty. Ten filozof jest jednocześnie filologiem, pochylającym się nad wielojęzycznością Huculów: język ukraiński przebija się ponad gwara miejscową, pełną zapożyczeń z leksyki rumuńskiej (a i wzbogacaną germanizmami i polonizmami jako że „Huculia” przed 1914 rokiem leżała w granicach państwa austriackiego, a przed 1939 – polskiego). Nie należy zapominać o Żydach, bo ich mowa (jidysz i hebrajski) jest tu cytowana.

Trzeba koniecznie dodać, że i Vincenz nie próżnuje, urozmaicając opowieści własnymi tłumaczeniami obcego słownictwa, a także sypiąc jak z rogu obfitości Amaltei polskimi wyrazami, noszącymi piętno i pieczęć jego fantazji (myślę o neologizmach i okazjonalizmach autora). Już sam incipit jest dowodem możliwości poetyckich Vincenza: „Od pierwowieku, w wyroków noc. Piorun, las i wodospad, trzech szumni posłańcy, radeczkę radzą, jak począć trembitę” (t. 1, 9). Jest tu i zdanie o składni nominalnej (czyli bez czasownika), i gra słów (polipoton + okazjonalizm „radeczkę radzą”), i dwuznaczność epitetu „szumni”, gdzie ukrywa się ‘szum lasu’ oraz określenie ‘dumni, ważni’. Następne zdania mogą wystraszyć czytelnika nieznaną mu rzeczywistością i dziwnymi wyrazami: „W rewaszach starowieku przekazane tak: ‘Weź na trembitę suchar ze smereki, zdartej przez piorun, skruszonej piorunem. Wydrąż go w trąbę, szczelnie spleć i ściśnij łykiem z brzeziny spod wodospadu, z piany i z szumu’” (ib.). Trzeba poszukać w słowniczku (na końcu każdego tomu), co to jest rewasz, trembita, smereka. Potem zastanowić się nad tym, czym „starowiek” różni się od „pierwowieku”? Czy przypadkiem nie pojawia się tu syntaksa biblijna, zasygnalizowana choćby w podwojeniu frazy o piorunach: [smere-

ka] „zdarta przez piorun, skruszona piorunem”. A czy brzezina musi być koniecznie „spód wodospadu, z piany i z szumu”? Od kiedy brzozy rosną w pianach wodospadu? W dalszym tekście trembita „wodą wygrana, niechaj się osłucha z wszelką tajemnością wód, rodem z puszczy. Niechaj zagarnia, niech łączy jak woda” (ib.). Wszystko to świadczy o patosie wyśłowienia, o metaforyzacji zdań (synestezja: dźwięk + dotyk) i hiperbolach w określeniach. Trembita „wyciąga się niezmiernie długo: trzy metry przeszło” (ib.). Materiały encyklopedyczne powiadają nas, że ten instrument góralski ma „do 2 metrów” długości (zob. M. Brzezina: *Stylizacja huculska*. Kraków 1992, s. 194).

Najważniejszym słowem jest **rewasz**. Jacek Łukasiewicz objaśnia kompetentnie: „Rewasz huculski to karbowana deseczka lub kij z zapisanymi wzajemnymi zobowiązaniami. Deseczka-umowa. Może oznaczać zobowiązania finansowe albo jakieś inne, także moralne. Rewasze dziedziczy się. Tworzą historię, która staje się szeregiem zobowiązań. Zamysł pisarski Vincenza ewoluował. W wydaniu przedwojennym pierwszego ‘pasma’ czwórksięgu, jak zauważył Jerzy Paszek [*Styl Vincenza*]. „Ruch Literacki” 1991, nr 5; potem studium przedrukowywane w t. zb.), słowo ‘rewasz’ występowało dopiero na stronie 70, w edycji powojennej ta podstawowa dla interpretacji powieści nazwa występuje już w drugim zdaniu” (J. Łukasiewicz: *Święto i rewasz – czwórksiąg Stanisława Vincenza*. „Teksty Drugie” 1991, nr 1/2, s. 156). Foka Szumejów dodaje: „Rewasz potrzebny dla rachunku, dla pamięci, w głowie pamięć się zatrze, a na rewaszu trzyma się długo” (t. 3, 120).

Oprócz bajed, gawęd, humorystycznych historyjek, wierszy i piosenek, listów (nawet z nieba) – czytelnika może zainteresować zamilowanie filozofa do zadawania i rozwiązywania **zagadek**. Już na początku pojawia się zagadka: „Kiń biłobokij zabrył w Dunaj hłybokij, jak zairzał weś świt zaznał” (t. 1, 24). Chyba trzeba to odczytać jako: Koń białoboki zabrnął w [Dunaj] rzekę głęboką, a jak zarzał [wierzgnął], to cały świat go rozpoznał [odczuł, usłyszał]. Po tej „końskiej” zagadce następuje pean na cześć hucułka, konika Karpat Wschodnich: „Konie, to szczególna ozdoba i duma Huculii” (t. 1, 26). „Dzieckiem jeszcz marzyłem nieraz o tym, by stać się koniem: takim spokojnym, łagodnym srokaczem, którego białe plamy śniegiem się wydają przy kontraście pasów brunatnych lub czarnych” (t. 1, 24; t. 4, 455). Kilka razy brzmi też refren, opisujący onomatopiecznie ruch koni: „plusk jednostajny: dzyń-dzyń, bam-ba-łam, człap-człap, pyrsz-pyrsz” (t. 1, 27, 28,

29, 30). W innych tomach Vincenza mamy np. „Grzywiaste śnieżne konie bukowe, [co] gięły szyje niecierpliwie, grzebały kopytami, stawały dęba. Rżały aż góra drżała” (t. 3, 11). W *Epilogu* wspomina się imiona koni, poznanych przez autora: Kapka, Kocioróbka, Lubka, Bajtały, Hajdamaki, Ogiezryca (t. 4, 455–456).

Warto dodać, iż w tomie 2 (151) cytowana jest 9-wersowa poetycka zagadka, dotycząca konia huculskiego: „Jasne pręciki sięgają nieba / Liść dęba staje, łapie szoch-połoch / Czujki motyla ostrzejsze od zębów [...] To oczy końskie sięgają nieba / To uszy końskie łowią szept i lęk / Węch nozdrzy miękkich rozgrzyzie wilka”.

Zresztą nie tylko hucułki zasługują na peany filozofa. Owieczki także: „Bo Stwórca zadziwił pasterza pokazując mu jagnię, szepnął mu zapowiadając, tak po pastersku, po huculsku: ‘Szymbałe-szymbałe! Cóż to za **zagadka**?’ I pasterz zgadywał przez wieki. [...] Ośmielił się [pasterz] i odgadnął: oto obietnica Stwórcy. [...] pasterz dojrzał w jagnięciu coś, co ziści się lub nie, lecz co napina uwagę słuchacza szeptów i łowcy **zagadek**. Przeto dosłucha się modlitwy: [...] tej, którą stary prorok izraelski śmiało wygłosił, jak napisane jest: ‘Poślij, o Panie, jagnię na władcę ziemi. [...] Dlatego pasterz, [...] zasłuchany w **zagadki** i w obietnice, głosi: ‘Jagnię zwycięży’ [Baranek Boży]” (t. 1, 30–31, podkreślenia w całym tekście – J. P.).

Zagadki bywają niekiedy polityczne, stąd zaskakują pasterzy. Gdy do nich – do wsi Uścieryki – przyjeżdża cesarski „deputat” („mandator”), zaproponował zgromadzonym sadzenie ziemniaków („baraboli”), wówczas „wąsacz-pisarzyna” bada gościa trzema zagadkami: „Cóż to za gad, co sam siebie zjadł?”; „Niższe – od – psa – wyższe – od – konia – zdatne – dla – człowieka. Choć raz szczętnie – czeka – nie ma nadeń leka...”; „Szczęście ptak przyniesie, co w ziemi się niesie” (t. 1, 445). Sprytny Dmytro, syn Sztefanka, odgadł najpierw drugą zagadkę: niewola. Ale rzecz jaśniej wyłożył Gienyk Kwiatkowski: „Ten gad, co sam siebie zjadł – to sloboda, górską sloboda. Widzieliście, do czego doprowadziła... [...] A co mniejsze od psa, jednak wyższe od konia najwyższego? – To siodło. To i dla człowieka najlepsze, aby dał się osiodłać, aby się poddał władzy prawowitej. To posłuch, to lek na slobodę. [...] A co w ziemi składa jaja? To nasienie cesarskie, to barabola, na to posłana, by nigdy już nie było głodu, by trwało szczęście” (t. 1, 447).

Zagadki mogą się przyśnić bohaterom. Ojcu Dmytra, Sztefankowi, „panny-zagadeczki” we śnie zadały takie pytania: „Szymbałe – szymbałe!! Gdy trzech

się położy, którzy trzej będą czuwać?”; „Szymbałe – szymbałe! Jakież to ptak, do-tąd latał tylko ku ziemi, odtąd nie ruszy się z gniazda hardego?”; „Szymbałe – szymbałe! Który deszcz przejdzie, który wiatr przewieje, które słońeczko nigdy już nie zajdzie?”; Dmytro swojemu ojcu odpowiedział: „Trzech położy się spać: panowie, księża, urzędy. Trzech będzie czuwać nad światem: wieszczuny [‘prorocy’], śpiewacy, majstrowie [...] Ten ptak – to kresania [‘kapeluszy męski z szerokim rondem’]. Latał on do-tąd ku ziemi, spadł do stóp. Odtąd nikt czapkować nie będzie, nie będzie ludzi niewolnych, każde czoło chrześcijańskie wzniesie się wysoko. [...] Przejdzie ten deszcz, co teraz świat zalewa, deszcz dukatów. Przewieje wichry, co wojny niesie, rzezie-pomory. A nasze słońeczko nie zajdzie nigdy – Sloboda!” (t. 1, 451–452).

Drugi tom zaczyna się od zagadki, dlaczego szczyt Palenica (1758 m n.p.m.) jest „pępkiem ziemi”? Otóż „oznacza-no Palenicę jako kąć trzech państw: Polski, Węgier i Wołoszczyzny” (t. 2, 8–9). Dalej czytamy, że „jest węzłem szczególnych a stałych związków pomiędzy pokładami górskimi, wodami podziemnymi, a powietrzem wraz z jego prądami, wiatrami, chmurami” (t. 2, 10). „Tylko na szczytach Palenicy niebo roziskrzono a powiększone przez kryształowe kopuły powietrza, **zniża się, przybliża i otwiera**” (t. 2, 11). „Z łona Palenicy, z Popadii, z wszystkich ciemnych łon ty-siące ssawek ssie wodę dla Morza Czarnego. Bo pod Czarnohorą, pod czarnolasem i w pępku ziemi bije starsze czarne morze, **morze w czasie**” (t. 2, 12). „I kto bywał na Palenicy, nie zaprzeczy, że czasem nocą hen spoza Mokryna błyskają długo oczy cesarskie” (t. 2, 15). Nie jest to zagadka podobna do poprzednich, bo przenosi nas w regiony metahydrologiczne, mistyczne i monarchistyczne! Czuć tętno rajskiej, rachmańskiej krainy...

Główny tekst epopei kończy się dziecinną zagadką, którą przypomina sędziwy Maksym: „Polata ptach popod Boży dach”. Odpowiedź: dzwon. Do-powiedź gawędziarza: „Nie masz dlań [dzwonu] świątyni godniejszej, skle-pienia lepszego niż niebo. Jest ptakiem zwiastunem, prowadzi nas do ziemi rachmańskiej” (t. 4, 400).

W cytowanym przez Łukasiewicza moim eseju wskazuję na więzi stylistyczne Vincenza z językiem artystycznym Żeromskiego i Berenta. Po 30 latach mogę dodać, iż Olga Tokarczuk w swoich *Księgach Jakubowych* podejmuje wątki chasydzkie homerydy, przy czym jej oryginalny styl nie jest tak zawikłany i uwikłany poliglotycznie, jak w trzech pasmach o Wierchowinie Huculskiej.

Najnowszy utwór Doroty Masłowskiej *Bowie w Warszawie* to tekst tylko pozornie błahy. Napisany prostym, chwilkami wręcz prostackim językiem, mówi jednak o czymś bardzo ważnym – o poszukiwaniu wolności, którą należy rozumieć zarówno jako wolność wyboru, jak i jako pragnienie zmian. Wolności, do której większość społeczeństwa, ukazana na tle Polski epoki gierkowskiej, nie jest przyzwyczajona, której nie zna lub się jej boi, nie jest więc na nią przygotowana i nie potrafi z niej korzystać.

Istotnymi rekwizytami świata przedstawionego w sztuce Masłowskiej są dwa przedmioty: stolik i kalkulator. Stolik jest pewnego rodzaju symbolem łączności z przeszłością, znakiem tradycji. Matka odnajduje go po powrocie do Warszawy w splądrowanym po wojnie, zniszczonym i pustym rodzinnym domu jako jedyną rzecz, która ocalała. Niesie go na własnych plecach do przyszywanej ciotki do Otwocka, raniąc się dotkliwie, podczas gdy jej siostra wyśmiewa ją i odmawia pomocy. Mebel staje się dla Matki ważnym przedmiotem, wiążącym ją z przeszłością. Kiedy Wacia zabiera jej go myśląc, że uda się go sprzedać jako antyk, Maria zrywa kontakty z siostrą na długie lata. Okazuje się jednak, że stolik jest niewiele wart, jest niepraktyczny i nie pasuje do nowego mieszkania Waci, siostra zwraca go więc Marii. W ewidentny sposób stare meble i dawne tradycje nie pasują do nowoczesnego świata i nie przynoszą mu zysków. W mieszkaniu Marii natomiast odzyskany mebel znajduje ważne miejsce, właściwe mu miejsce. Kobieta bardzo o niego dba, mimo że został zniszczony przez siostrę. Nie przedstawia wartości materialnej, nie jest piękny, ale ma dla niej ogromną wartość sentymentalną. Jednocześnie stolik obrazuje również stagnację starszego pokolenia, któremu wszelkie zmiany przypominają chaos i kataklizm drugiej wojny światowej, nie tylko źle się kojarzą, ale są wysoce niepożądane.

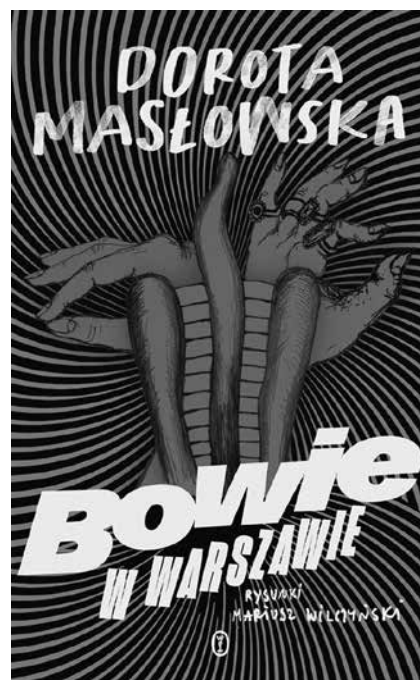
Z kolei kalkulator sygnalizuje potrzebę zmiany, powiew Zachodu, przypomina wszystko to, co w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku było niedostępne, zabronione, ukryte za fasadą imitowanej wolności. Atrakcyjny i wywrotowy wydaje się nie tylko sam przedmiot, ale również wykonywane na nim obliczenia, choć jedni używają go z nudy (na przykład Bowie, znudzony długą i bezowocną podróżą pociągami), inni – bezmyślnie jak Regina, gdy po raz pierwszy bierze go do ręki, a Bogumiła objaśnia jej, do czego służy tajemniczy przedmiot i co można na nim policzyć. Odtąd obliczenia, podobne do tych na kalkulatorze, pojawiają się w głowie Reginy w momentach, w których czuje się ograniczana, wtłaczana w rolę narzucaną jej przez kogoś innego. Tak dzieje

Poszukując wolności

KSIĄŻKI NATALIA STASIUK

się podczas rozmowy o pracę z Dyrektorem księgarni, na której to pracy tak naprawdę wcale jej nie zależy: „Dyrektor gada bez końca, gestykulując, ale Reginy to wszystko raczej nie interesuje. Przytakuje zamyślona i robi empatyczne miny, lecz jego słowa coraz bardziej zamazują się, oddalają. Pojawiają się jej myśli: $1+2+3+4+5+6+7+8+9=?$ ”. Za ową magią cyfr kryje się tęsknota za wolnością rozumianą jako wolność wyboru. Praca, o którą ubiega się Regina, została „załatwiona” przez jej matkę, nie jest jej wyborem, a dodatkowo, aby tę posadę otrzymać, musi mówić nie to, co myśli, a to, co chciałby usłyszeć na ten temat Dyrektor. To z tego powodu rzekomo swoje „przemyslenia” ma temat książki *Wiosna nie nadejdzie* Krępińskiego, którego Dyrektor nie cierpi, Regina czyta „dyskretnie ze ściegi z trzymanej w dłoniach tecki”.

Regina rozpaczliwie, lecz nieudolnie próbuje stawić opór tradycji i przyzwyczajeniom swojej matki. Nie zgadza się na projektowany przez nią porządek rzeczy. „Wciąż to samo. Mąż, mieszkanie, meble, chłopiec i dziewczynka. W dupie to mam! Nie będę tak żyć. Choćbym miała zdechnąć! Sama i bez żadnych mebli!” – krzyczy do Plutonowego, który udaremnia jej skok z mostu. Ta próba samobójcza jest rozpaczliwym przejawem wolności. Regina chce zmiany, pragnie prawdziwego życia. „Niech raz zobaczy kawałek prawdy. A nie tylko fasady, polityry, yardleje i żurnalowe makijaże” – mówi Matce przy okazji wizyty Pana Kozelki, gdy nie chce się specjalnie myć przed spotkaniem z narzucanym jej kandydatem na męża. Pragnienie zmiany próbuje forsować różnymi



sposobami: odrzuca zaloty dobrze sytuowanego producenta pieczarek, wybranego przez Matkę, co gorsza nie szanuje nawet pamiątkowego stolika. Kiedy ów mebel ulega zniszczeniu z rąk Pana Kozelki, Regina „chce jeszcze odruchowo rzucić się w tym kierunku, ale z jakichś powodów rezygnuje i macha na to ręką”.

W tej scenie wyraźnie widać świadomą rezygnację z próby ratowania przeszłości. Regina zachowuje się w ten sposób, bo już wie, że można żyć inaczej, zaznała „zmiany”, wikłając się w nieszczęśliwą, homoseksualną miłość do koleżanki z obozu, Judyty. Wszelkie próby wyłamania się z narzucanych przez Matkę schematów życia społecznego są jednak nieudolne i w efekcie nieskuteczne. Los Reginy toczy się utartym torem, a więc przyjmuje ona oświadczenia Pana Kozelki, choć ma do nich stosunek objęty. Gdy koleżanka z pracy spostrzeżę na jej palcu pierścionek zaręczynowy, Regina mówi speszona: „O czym tu mówić? Się oświadczył. Tak na mnie patrzyli, że co miałam zrobić? A teraz już za późno. Zresztą wszystko mi jedno”. Nie wróży to bohaterce szczęśliwego życia – myśli o własnych, samodzielnie podejmowanych decyzjach i możliwości wyboru prawdopodobnie nigdy już jej nie opuszczą.

Regina wychowała się w domu bez ojca. Nie wiemy, co się z nim stało, najprawdopodobniej nie żyje. Matka dostaje po nim rentę, dopóki Regina się uczy. Być może jego brak wywołał przekonanie Reginy o tym, że mąż nie jest jej potrzebny – jej matka jakoś sobie radzi sama, choć dziewczyna narzeka, że mięso jedzą tylko raz w tygodniu. Matka natomiast, obrończyni tradycji, nie

dopuszcza nawet myśli, że córka mogłaby pójść inną niż tradycyjną drogą, nieustannie żyje złudzeniami i przeszłością. List, który przychodzi z uczelni, bierze od razu za pochwałę i nagrodę, podczas kiedy w rzeczywistości jest on zawiadomieniem o relegowaniu córki ze studiów za absencję. Nie przychodzi jej nawet do głowy, że Regina faktycznie na uczelni się nie pojawia i list tłumaczy sobie jako pomyłkę.

Nie ma wątpliwości, że Matka za wszelką cenę próbuje ocalić pożądaną przez siebie wizję własnego dziecka. By ją utrzymać, towarzyszy córce niemal na każdym kroku. Podczas rozmowy o pracę między Regimą i Dyrektorem oświadcza: „(pojawia się w sposób niewytłumaczalny, jakby siła jej modlitw i zaklęć teleportowała ją tu na chwilę): Wiersze recytowała najpiękniej w całej klasie!” To jasne, że Matka żyje przeszłością. Chciałaby, żeby jej córka wciąż była mała, jak wówczas, kiedy chodziła do szkoły – prawdopodobnie dlatego, że wtedy miała na nią największy wpływ. Traktując Reginę jak dziecko i narzucając swoją wolę, doprowadza córkę do próby samobójczej, w sytuacji gdy jej wszelkie próby odzyskania władzy nad własnym życiem kończą się fiaskiem.

Nie mogąc się pogodzić z wyborami Reginy, Matka prowadzi ją do lekarza. Ten stwierdza, że „Jest pani Regina zdrowa jak ryba; problem, wynikałoby z tego – leży w psychice. Trzeba jej spacerów i porządnego rock and rolla”. Tym samym staje po stronie Reginy i jej prawa do wolności, którego Matka nie rozumie tak dalece, że podejrzewa Reginę o przyjmowanie narkotyków. Sama jest ślepo przywiązana do tradycji, czego dowodem historia stolika z rodzinnego domu. Kiedy Pan Kozelko zamiast zabranego do renowacji mebla przynosi jej w zamian nową ławę z płyty meblowej i gęś, zagniżwana kobieta lży „dostarczycielką nowego” i odziera go z nimbu „najlepszej partii dla córki”. Dopiero teraz Regina zgadza się przyjąć zaręczyny. Przekora wobec Matki jest dla niej namiastką wolnej woli i własnej decyzji, chociaż ich rezultaty nie niosą dla niej samej nic dobrego. Regina staje się niejako symbolem wojowniczkii o wolność nawet kosztem własnego szczęścia.

Bowie w Warszawie Masłowskiej prezentuje całą galerię postaci, które ukazują stosunek ludzi do zmian i ich pojęcie wolności. Jest wśród nich Bogumiła (córka Cioci Waci), która była w Anglii na au pair, ale przez nieopanowane napady złości i głupie pomysły musiała wrócić do kraju. Ta bohaterka jest przykładem osoby, która miała możliwość bycia wolną jednostką, ale nie potrafiła z tego skorzystać. Marzy o wolności, ale po nią nie sięga – świadczy o tym chociażby scena, w której Ciocia Wa-

cia wiąże jej buty, podczas kiedy Bogumiła bawi się kalkulatorem. Wyobraża sobie wolność, a jednocześnie pozwała sobie na uzależnienie od innych, bo tak jest jej wygodnie. Swą pozorną inność podkreśla sposobem wystawiania się – często wplata w wypowiedzi angielskie słówka. Wymownym znakiem braku umiejętności korzystania z wolności jest jej stosunek do kalkulatora, dziewczyna ma go na własność, nawet pokazuje Reginie, ale szybko odbiera z obawy, że ta wpisując zbyt duże liczby, zepsuje go.

Inny przykład to postać Dyrektora, który zniewolony nałogiem, żyje jedynie myślą o tym, że jest dobrym pisarzem, lepszym niż poczynny Krępiński. Czas, jaki mógłby poświęcić twórczości, trawi jednak na picciu i niszczeniu książek swojego konkurenta. Zaprzepaszcza swoje możliwości, kierując się niskimi pobudkami. Mimo że nie można mu odmówić inteligencji i celnych przemyśleń, podlega władzy stereotypów. Rozmienia swoją wolność na drobne w utarczkach i sporach.

W galerii postaci Masłowskiej pojawia się też Pani Nastka, sprzątaczką, przykład zniewolenia przez wiarę. Prześliczna Panienska tak jej objawia: „Los twój wódką spisany na potłuczonym szkle. Synowie z wódki zrodzeni, do wódki ciągnę ich będzie. Lecz kobieta cierpieć musi, a w cichości trudy swe i wódki niedogodności zawierzyć Panu, a On weźmie je od ciebie i tobiez wszystko, co złe, wynagrodzi swojemiż darami”. Pani Nastka jest osobą prostą, niewykształconą, o czym świadczy przede wszystkim język, którym się posługuje. W konfrontacji z potęgą wiary, w której ją wychowano, nie ma siły ani wiedzy, by się przeciwstawić i wyrwać z pełnego przemocy związku. Nie ma też do kogo się zwrócić o pomoc – jej rodzina zginęła w czasie wojny, ludzie zeswatali ją z Ładczukiem mimo wiedzy, że ten pije i bije, a ostateczną instancją – Ksiądz – z racji swojej profesji tłumaczy jej wszystkie cierpienia wolą i miłością Boga. W konfrontacji z Bowie (Wolnością w całej okazałości) Pani Nastka wpada w histerię i mdleje. Widzi swoje zniewolenie, ale nie może się wyrwać na wolność, ponieważ nie zna jej i nie miała z nią nigdy do czynienia. Co ciekawe, Pani Nastka jest postacią, która łączy w całość wszystkie wątki, pojawia się bowiem w tle prawie każdej sceny.

W korowodzie postaci, przewijających się przez sztukę Masłowskiej, napotkamy również człowieka, który jest na początku drogi do wolności, rozumianej jako potrzeba zmian. To Plutonowy Wojciech Krętek, zanurzony w marazmie codziennego życia, o czym świadczy wygląd jego mieszkania, które zajmuje razem z żoną i dziećmi – ciasne-

go, zagraconego. Mamy też Karolinę – przykład dystansu i używania swojej wolności niejako „po cichu”. Kiedy Dyrektor zabronił jej czytać dzieło Krępińskiego, i tak przeczytała i ma na ten temat własne zdanie, którego jednak oficjalnie nie wygłasza.

I tu dochodzimy do wzoru wolności absolutnej. Jest nim tytułowy Bowie. Jego szalik z angielskim napisem SKI wyróżnia go z tłumu i podkreśla, że jest człowiekiem z innej rzeczywistości. Bowie robi, co chce, bo jest wolny pełnią wolności, wolności bez ram i granic. Przychodzi nieproszony, jakby przypadkiem i nikt go nie zauważa lub jest mylony z kimś innym, ale kiedy zwraca na siebie uwagę i zaczynają go gonić – ucieka. Pogoń za wolnością powoduje, że ta się oddala, ale jeśli żyje się w niej, korzysta się z niej na co dzień, jest czymś zwyczajnym. W pierwszej scenie w rękach Bowiego pojawia się symboliczny kalkulator, którego używa on bez celu, wpisując odruchowo bezsensowne działania. Jednak w odróżnieniu od innych postaci, mieszkańców gierkowskiej Polski, kalkulator nie jest dla niego niczym dziwnym czy nowym. Jako człowiek Zachodu, przywykły do wolności i korzystający z niej codziennie, nie traktuje jej w jakiś szczególny sposób, wręcz jej nie zauważa. Używanie wolności bez celu, bezmyślnie również nie prowadzi jednak do niczego dobrego.

Idealnym podsumowaniem tej wolności, do której ludzie nie przywykli i nie potrafią z niej korzystać jest opis społeczeństwa, które zamieścił Plutonowy w swoim pamiętniku: „Tak, jakby w niewoli – małe ludzie porosły. Pokurzone, piwniczne, na wół już na zawsze zgięte, pokraczne, chrome. Z kajdan uwolnione, krzyczą strasznie i wielce wiwatują. Ale kiedyś się im wiwaty skończą, a proporce zwędną. Wtedy nie wiedzą co z tym wszystkim, z tą wolnością swoją nagle robić. Bo jakoś tak nijak... jak się sufit o łeb nie obciera... Dupsko wolne od bata, to już tak latać się nie chce. [...] Minie kilka chwil, a za murami już tęsknią, ba, kraty sami gotowi sobie zrobić z byle czego. Strażników im nie trzeba. Sami za sobą chodzić będą, dozorować się, pilnować, sobie dozwalać, wydzielać, wymierzać. Ten nogę krzywo stawia, a ten kuleje, coś kombinuje... Ze spojrzeń kraty sobie sami robią, a nahajki ze słów obrzydliwych, okrutnych. Trzymać się będą sami krótko, nikt nie podskoczy. Gównem sami się obsmarują grubo i wreszcie im będzie tak, jak znają, jak lubią, jak im trzeba”

Dorota Masłowska, *Bowie w Warszawie*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 176.

W recenzji ostatniego tomu Jadwigi Maliny noszącego tytuł *Teoria powtórzeń* Bożena Boba-Dyga nazywa autorkę: „poetką smakowitego paradoksu, która umie w kilku słowach ująć tyle, ile filozofowie na setkach stron”. W blurbie towarzyszącym tomowi Krzysztof Lisowski stwierdził: „Te wiersze tworzą rodzaj palimpsestu: na historię osobistą nakłada się historia świata, porządek czasu i głosy, sądy, komentarze do świata w istnieniu. To ważna poezja pełna namysłu, wątpliwości – na skraju milczenia”.

Wskazany tom jest siódmym, nie licząc wyboru wierszy zatytułowanego *Światło i szelst*, w dorobku poetki, związanej z krakowskim życiem literackim. Poprzedzają go wiersze zgromadzone w tomach *Od rozbłysku, Tu, czy Czarna załoga*. Skąd imię *Teoria powtórzeń*? Zwykle tytuł tomu znajduje swojego „protoplastę” wśród zawartych w nim wierszy. Tak jest i tym razem. *Teoria powtórzeń* opatrzona rokiem 1998, bo trzeba dodać, że każdy z wierszy ma przypisany rok, brzmi tak: „Sadzonki deszczu, które zakopywaliśmy/ Głęboko w ziemi, by udowodnić wątpliwym/ Ze wśród przepaści, mysiego gniewu./ Rosną czasem, wzbijają z nienacka/ drobne główki zawilców/ Kruche zwyczajstwa, których boi się/ Zło”.

Co otwiera ów wiersz-klucz? Do jakich przestrzeni prowadzi? Przede wszystkim *expressis verbis* podnosi gardę moralną, co we współczesnej poezji wcale nie jest takie oczywiste i częste. Przeciwwstawienie życia: „kruche zwyczajstwa” nicości zła wydają się być jej zadaniem najpierwszym. Ocalanie nie następuje jednak poprzez nadzwyczajną „wagę” poetyckiego obrazu, a wprost przeciwnie, wybawia to, co kruche, delikatne, zmysłowe: „sadzonki deszczu”, „główki zawilców”. Sensualność mocna prawem powtórzenia i delikatna prawem estetyki odbioru zdaje się być *Teorii powtórzeń modus operandi*. Przy czym głównym kierunkowskazem jest nadzieja, by „udowodnić wątpliwym” „kruche zwyczajstwa”, połączona z czułością, zmysłem obserwacji świata, w tym zwłaszcza natury, w którym jesteśmy zanurzeni, i którego jesteśmy częścią. To wraz z nim i w nim – powtarzalnym, pojawiającym się osobni i wpleceni w jego sakralną kolistą doświadczenia własnej indywidualności oznaczonej na linearnej osi czasu datą narodzin i śmierci. I wówczas *Postępek 1997*, ów zdradliwy posłaniec przemian „na dobre”, w poetyckim dyskursie Maliny indagowany jest tak: „Co nam możesz zaferować/ W tej chwili./ Gdy schylam się po borówkę./ Dokoła las. Igliwie./ Wynurzający się z trawy/ Pyszczyk./ Stado szans. A dalej. Wyżej./ Boska sprawiedliwość”.

Owo „stado szans” rozpoczyna się w tomie wierszem datowanym na rok 1974. Tak, dobrze się domyślamy. To data narodzin Jadwigi Maliny. Poetka użyła zatem steżaku swojego życia, by rozpiąć na nim poetycką materię. Zadanie wydaje się bardzo ryzykowne. Wiersz jak jeden rok? A może odwrotnie? Co było w nim ważniejsze świat, czy ja? Rzutnikiem w owym dylemacie okazuje się, kolejny

Poezja namysłu

K S I A Ź K I P I O T R S K O W R O N E K

przymiot wpisany w poetycki świat autorki *Zanim* – poczucie humoru. Wiersz *Cóż dodać* ma bowiem tylko jeden wers: „Dokładnie nie pamiętam, niedokładnie też.”

Delikatność, subtelny humor, sensualność i refleksyjność pozostaną również na swoim miejscu, kiedy w przestrzeń prywatną wędrują wydarzenia świata zewnętrznego. Wszyscy wiemy co przyniósł z sobą rok 1981. Poetka bierze więc świat na spytki i wierszem zadaje pytanie *Jaki to stan?*: „Kiedy drobiliśmy chleb do mleka,/ Wszędzie czuć było zapach siana/ Prosa i podpałki./ Te trzy zjawyły się także wówczas./ Gdy matka wróciła z kościoła/ Gdy nie usiadła, ale w progu/ Zajmując płaszcz/ nie odkłada dając go/ na miejsce/ unosząc ręce, próbowała/ Opisać ten stan./ Najpierw krzykiem, pośpiesznie. Potem coraz wolniej./ Ciszej. Patrząc na stół.”

Dramatyczność wprowadzenia stanu wojennego przybrała zatem kształt zachowania rozpaczającej matki. Intymny obraz jej powrotu z kościoła (wszak była niedziela) dzięki przywołaniu znaczących elementów kodu kulturowego matka-*ojczyzna*, próg *domu*, *ołtarz*-stół został pogłębiony do wymiarów przeżycia pokoleniowego nic nie tracąc osobistego wymiaru. To wielka umiejętność poetyckiej dykcji Jadwigi Maliny – mówić o sprawach wielkich bez patosu, ścisząc głos, na granicy milczenia. Ten rodzaj perspektywy sprawia, że jesteśmy wobec niej – poetki i jej poezji po ludzku blisko.

Wiersze Maliny wyposażone są w realia tamtych i tych czasów. To nie tylko dom towarowy „Zorza” czy „nieniecki katalog z meblami” ale i sławni jak *Cyndi Lauper*: „Całymi dniami słuchałam *tej strasznej, Zagranicznej muzyki*. Od której –/ *Zobaczysz, jak urośniesz!*/ *Zobaczysz, jak będziesz miała dzieci!*” czy hollywoodzka *Dzikość serca*. Tym samym w *Teorii powtórzeń* widzimy to pierwsze i jedyne dla poetki. Ów świat według Jadwigi Maliny, który już się nie powtórzy, ale będzie powtarzał się zawsze...



W swoich poszukiwaniach autorka nie omija również samej poetyckiej materii – języka. Już subtelność poczucia humoru zdradzała inklinację w tej kwestii i potrzebę „ćwiczeń”. „Nieprzeżroczyłość” słowa znalazła wyraz w nieco metapoetyckim wierszu o przewrotnym tytule *Neutralność języka* opatrzonym liczbą roku pandemicznego 2020: „Spadł pierwszy śnieg./ Dziecko zgubiło szalik/ Cena za metr sześcienny idzie w górę./ W dół wpada kuropatwa./ Rodzi się Bóg./ *Dlaczego mówisz to tak cicho?*/ *Tak cicho jakby się nie rodził.*/ Który wyraz jest ością?/ Który odsieczą?” Widać wyraźnie, że ewokowane obrazy, zwłaszcza te opisujące sacrum, na neutralność sobie pozwolić absolutnie nie mogą.

Wróćmy jeszcze na moment do okładki tomu, na której dom oplata „ósemka” drogi zapętlonej między drzwiami a ujęciem z kominą. Z tyłu głowy, widząc ten graficzny znak nieskończoności, w którego centrum stoi dom, kołocze mi myśl z zakończenia wiersza Leopolda Staffa „Teraz budując/ zacznę od dymu z kominą”. Ale nie tylko. Współczesne media pozwalają na natychmiastowy odzew czytelników. Jakub Ciekiewicz tak zareagował na ostatnią książkę poetycką: „Ten tomik jest kieszonkowym fotoplastykonem Jadwigi Maliny. I każdy z nas nosi podobny zbiór obrazów, naszonych uczuciem, myślą, komentarzem, zaczeponych na osi czasu osobistego i historycznego. A że według amerykańskich badaczy, którzy zeskanowali mózg umierającego, te obrazy wyświetlają się przed śmiercią i następnie tworzą kopię zapasową, są w jakimś sensie fundamentalne, konstruujące, no i zbawcze”.

Jadwiga Malina, *Teoria powtórzeń*. Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 21, Kraków 2022.

Prezentując najnowsze dzieło wybitnego znawcy polskiego i niemieckiego prawa pracy, ubezpieczeń społecznych i pomocy społecznej, prof. Herberta Szurgacza, trzeba koniecznie zwrócić uwagę na kilka uwarunkowań związanych z jego powstaniem i napisaniem. Jest ono bowiem podsumowaniem wieloletnich badań i publikacji poświęconych tej problematyce w polskim i niemieckim piśmiennictwie naukowym. Przymusowemu zatrudnieniu Polaków przez niemieckiego okupanta w latach 1939–1945 poświęcił Herbert Szurgacz pracę doktorską, wydaną następnie w Ossolineum. Wspólnie z Alfredem Koniecznym wydał w 1976 roku wybór źródeł do tej tematyki. Kiedy przeszedł w stan spoczynku, wsparty przez Fundację im. Aleksandra von Humboldta w Bonn i korzystając z dostępu do źródeł niemieckich, mógł skupić się na przygotowaniu obecnego dzieła. Pracując nad nim prowadził badania w Instytucie Prawa Socjalnego i Polityki Socjalnej im. Maxa Plancka w Monachium.

W rezultacie jego docieklowości, otrzymaliśmy niezwykle cenną książkę, ukazującą kształtowanie się prawnych unormowań z ich uwarunkowaniami, a także wypaczeniami w czasach nazizmu. Od pierwszych większych migracji zarobkowych, z przeludnionych i głodujących wsi z polskich zaborów, po przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Początkowo była to migracja głównie do pracy w rolnictwie, do której namawiali tzw. werbownicy, zarabiający na tym podwójnie, gdyż pobierali opłatę zarówno od zwerbowanego, jak też od pracodawcy. Szczególną grupę wśród werbowników stanowiły osoby pochodzące z terenów, na których rekrutacja była prowadzona, a które już uprzednio pracowały w Niemczech. Osoby te stawały się (u niemieckich pracodawców) tzw. przodownikami (nadzorcami) tych, których zwerbowali. Sytuacja osób zwerbowanych do pracy w niemieckim rolnictwie, a później także w przemyśle, nieznaną języka niemieckiego, była nie do pozazdroszczenia, często nawet bardzo dramatyczna. Obowiązywała ich praca „od świtu do zachodu słońca”, czyli *de facto* od 6 rano do 8 wieczorem. Warunki zamieszkania były bardziej niż złe. Najczęściej byli zakwaterowani w stajniach i szopach. Występowało silne zróżnicowanie płac w różnych częściach Niemiec. Zarobki jednak pozwalały na pewne oszczędności, które po zakończeniu pracy przywozili do domów w kraju. Były one w okresach zimowych jedynym źródłem utrzymania dla ich rodzin, a nawet pozwalały na drobne inwestycje. O los zatrudnionych z terenów Prus z czasem upominali się nieliczni polscy posłowie, którzy weszli do parlamentu Rzeszy. Polska jako państwo nie istniała, Losem Polaków z zaboru austro-węgierskiego i rosyjskiego nikt się praktycznie nie przejmował. Z czasem werbunek pracowników został scentralizowany i próbowano go uregulować. Od 1908 roku obowiązywał np. w Prusach obowiązek posiadania przez robotników polskich legitymacji zawierającej personalia pracownika i jego pracodawcy.

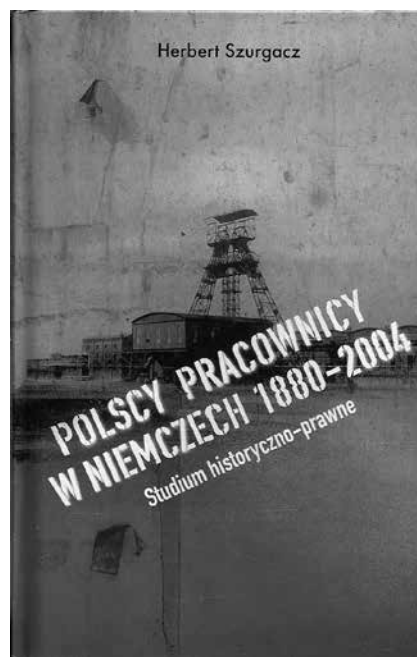
Sytuacja prawna Polaków pracujących w Niemczech zaczęła się poprawiać dopiero wtedy, gdy

Polscy pracownicy w Niemczech

K S I A Ź K I J A N C O F A Ł K A

Polska powróciła na mapy świata. W 1927 roku, po dwóch latach rokowań, podpisana została w Warszawie konwencja w sprawie polskich robotników rolnych, która regulowała tryb zatrudnienia, warunki pracy oraz sprawę ich ubezpieczenia.

Autor w siedmiu rozdziałach swej pracy wnikliwie analizuje sytuację polskich pracowników w Niemczech w różnych okresach i uwarunkowaniach. W pierwszym rozdziale prezentuje uwarunkowania społeczno-gospodarcze i polityczne zatrudnienia Polaków w Niemczech w latach 1880–1918. W drugim – status prawny polskich robotników zatrudnionych w niemieckim rolnictwie i przemyśle w latach 1880–1918. W trzecim – położenie prawne polskich robotników w okresie Republiki Weimarskiej. Czwarty to polscy robotnicy w Rzeszy w okresie narodowego socjalizmu w latach 1933–1939. W piątym autor zajął się pracą przymusową Polaków w latach II wojny światowej w Rzeszy i na terenach przyłączonych do niej. Szósty rozdział traktuje o polskich pracownikach w podzielonych Niemczech (1945–1990), zaś ostatni przedstawia sytuację polskich pracowników w zjednoczonych Niemczech (1990–2004). Uwzględnione tu zostały wymogi wynikające z przynależności Polski i Niemiec do Unii Europejskiej. Ma to istotne znaczenie w zatrudnieniu Polaków w RFN, gdy jedną z podstawowych zasad stała się swoboda przemieszczania się pracowników w ramach Unii. Pojawiły się też pewne prawne gwarancje, mające przeciwdziałać zapobieganiu różnym formom dyskryminacji, w związku z zobowiązaniem do równego traktowania w zatrudnieniu pracowników polskich i niemieckich. Te gwarancje jednak automatycznie nie eliminują – jak wskazuje autor – wszystkich zagrożeń oraz zjawisk możliwego krzywdzenia zatrudnianych Polaków, np. za mniejsze stawki, któ-



re jednak są wyższymi od tych, jakie mogą oni za tę samą pracę otrzymywać w kraju.

Jednym słowem, można w konkluzji tej prezentacji stwierdzić, że jest to porządnie udokumentowane, klarownie napisane i starannie wydane dzieło prof. Herberta Szurgacza. Lapidarnie rzecz ujmując, jest ono historią wyjazdów Polaków do pracy zarobkowej do Niemiec w ujęciu prawnika specjalizującego się w tej tematyce od wielu lat. Pierwotnie były to wyjazdy za chlebem (właściwie po chleb dla siebie i rodziny), które po prawie 150 latach, już w XXI wieku (po dramacie okupacji, którego nie należy przemilczać), przy ogólnym wzroście poziomu życia i jego humanizacji, w zgodzie z wymogami prawa unijnego, stały się dla Polaków wyjazdami po to, aby zarobić na coś więcej niż na sam chleb – po środki na budowę domu i jakiś samochód przy nim. Dlatego na przykład na Opolszczyźnie, z której wywodzi się prof. Herbert Szurgacz (ur. w 1941 roku w Dobrosławicach, w pow. kozielskim), w zadbanych wsiach, wieczorami można zauważyć ciemne okna w niektórych domach, bo ich właściciele właśnie dorabiają sobie, niekoniecznie już w Niemczech, lecz w ogóle gdzieś na Zachodzie.

Na zakończenie prezentacji tej cennej, nie tylko dla naukowego dorobku prof. Herberta Szurgacza monografii, warto więc powtórzyć, że kiedyś Polacy masowo wyjeżdżali za chlebem za granicę. Teraz też – jak wspominałem – wyjeżdżają, lecz aby dorobić się czegoś więcej niż tylko chleba, podczas gdy u nas, w Polsce, pracują setki tysięcy cudzoziemców, którzy przyjechali za chlebem. Takie to czasy.

Herbert Szurgacz, *Polscy pracownicy w Niemczech (1880–2004). Studium historyczno-prawne.* Wrocław 2022, s. 390.

Biografia to ból niedokładny

RYSZARD JASNORZEWSKI

Na pewno manifestowanie bólu nie uchodzi autobiografom sportowców, pisany w pierwszej osobie, ogłaszanym na użytek jasno określonego rynku i konkretnej publiczności. To jednocześnie literatura dydaktyczna i przejrzyście ułożony poradnik zarządzania sobą, który poucza, że każdy może być autorem własnego życia. Dodajmy, że w pewnych wielce sprzyjających okolicznościach, dostępnych nielicznym, człowiek staje się bramkarzem swego losu.

Istotę owego losu precyzuje tytuł, który wybrał dla swych zapisków Duńczyk Peter Schmeichel (wspomagany przez Jonathan Northcrofta): Numer jeden (w angielskojęzycznym pierwowzorze: One. My Autobiography). W tradycji piłkarskiej „jedynek” na koszulce przypisano pozycji (i profesji) bramkarskiej. Ale numer jeden wskazuje na sens nie tyle porządkowy, ile symboliczny. Integracja bramkarza z resztą zespołu jest pozorna. Nie dlatego, że odróżnia się strojem. Bramkarz to pierwszy obrońca, lecz po meczu niejednokrotnie główny winowajca, pierwszy potępiony.

Jonathan Wilson zwrócił uwagę, że Schmeichel kreował własny wizerunek nie tylko efektywnymi i szczęśliwymi paradami: „Jego prawdziwą siłą była prezencja, sposób, w jaki był w stanie wytworzyć wokół siebie aurę zwyciężenia”. Mimo że piłka nożna to gra zespołowa, nie są to zawody, na które drużyna klonów zaprasza inne klony. Potrzebne są osobowości. Na giełdzie oryginalności (i często szaleństwa) przodują bramkarze. Nie inaczej działo się Schmeichelowi: „Kazałem zrobić spodenki treningowe (trochę większe) na meczowe, ponieważ wyglądałem w nich na wielkiego, silnego, wysportowanego faceta, a właśnie taki komunikat chciałem wysłać rywalowi”. Każdy mecz był zatem grą tyleż fizyczną, ile psychologiczną, gdyż nawet spodenki – jako namiastka bojowego sztanbaru i najdzielniejszego proporca – godziły w rywala. Pole bramkowe to zarówno pole bitwy, jak i miejsce, gdzie dokonywało się coś ceremonialnego: „Na czym polega zadanie bramkarza? Na pilnowaniu świętego obszaru wokół bramki? Gdzie święto, tam i rytuał – okrutny, gdy bramkarz pełni rolę kozła ofiarnego. Kozioł ofiarny siada na ławce rezerwowej, wędruje na trybuny, zapomniani kończą karierę w klubie niższej ligi.

Schmeichelowi to nie groziło. Perfekcyjnie opanował techniki obrony i samoobrony: „Na boisku zachowywałem się arogancko i robi-

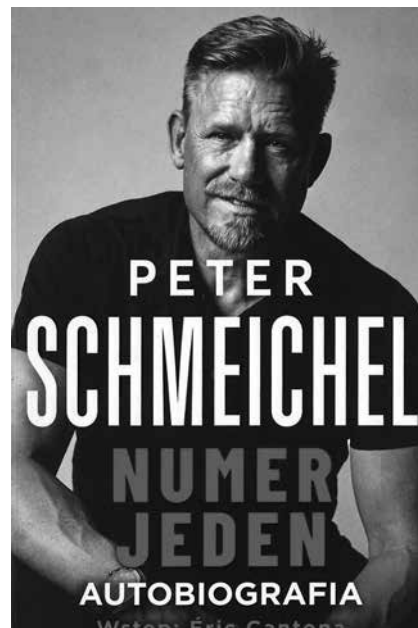
łem to od początku do końca rozmyślnie”. Nie tylko masa mięśniowa przesądziła o sukcesie. Ważniejsza okazała się charyzma lidera, zachłanność wygrywania i umiejętność pozostawiania za sobą wszystkich meczów i całej przeszłości. Wątki melancholijne pojawiają się w autobiografii rzadko: „Gdybym mógł cofnąć czas, poświęciłbym zdecydowanie więcej uwagi przygotowaniu się do pracy z mediami”.

Interesujące są migawki pozasportowe. Peter urodził się jako polski obywatel. Jego ojciec, Bolesław, był muzykiem, występował w gdańskim teatrze studenckim „Bim-Bom” oraz Teatrze Wybrzeże. Przypadkowe spotkanie artysty z duńską pielęgniarką, złąkioną biletoń na sztukę „Smak miodu”, doprowadziło do wzajemnego zauroczenia, ślubu i – po kilku latach – wspólnego życia w Kopenhagie. Peter, najlepszy bramkarz w dziejach reprezentacji Danii i jedna z gwiazd (w najlepszym czasie klubu) Manchesteru United, to jedyny męski potomek polsko-duńskiej pary.

Piłkarz wyraża żal, że nie opanował polskiego, lecz jasno deklaruje: „Wychowano nas na stuprocentowych Duńczyków”. Ewentualne problemy z tożsamością skutecznie rozwiązała Polacy w otoczeniu Schmeichelowi: „byli hałaśliwi, mówili w niezrozumiałym dla nas języku i nie stronili od kieliszka”. Ojciec przeszłego bramkarza również nie stronił od kieliszka i bardziej pojemnych naczyń. Wytłumaczenie nie było trudne: „Trauma życia w Polsce odcisnęła na nim piętno. Tata był alkoholiczkiem”.

Przy niektórych wspominkach Petera Bolesława (drugie imię otrzymał na pamiętkę pradziadka) zabrakło redaktorom czujności (i ochoty na komentarz w przypisach). Nie należało na przykład akceptować zdania: „Na początku agresji na Polskę Niemcy zaatakowali Wolne Miasto Gdańsk”. Trudno również przypuszczać, że Julian Maks Schmeichel, dziadek bramkarza, poległ w Gdańsku – „od pierwszych strzałów, które oddano w trakcie drugiej wojny światowej”. Za wątpliwe trzeba ponadto uznać, że Anna, babcia Petera, działała w konspiracyjnym Ruchu „Pług i Miecz”.

Podobnych (używając żargonu piłkarskiego) kiksów jest jeszcze kilka, ale nie one są najważniejsze. Historia piłkarska toczyła się warko i pomyślnie. Peter wzorowo zarządzał marzeniami – bronił bramki w Manchesterze United i z klubem zdobył Puchar Mistrzów, z drużyną narodową sensacyjnie wygrał europejskie mistrzostwa. Co prawda bytowanie w pozasportowym świecie nie było

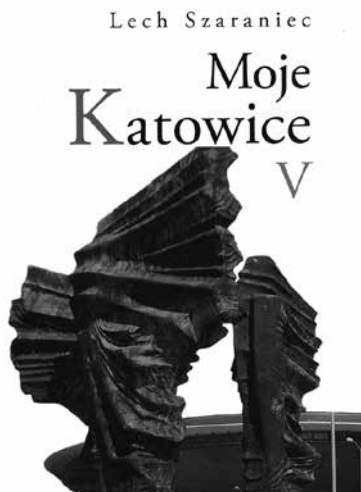


bulką z masłem: „piłkarz, który skończy karierę, tak naprawdę po raz pierwszy w dorosłym życiu jest sam”, ale autor tych słów poradził sobie bez problemu. Pozostał w grze jako ekspert telewizyjny i komentator. I jeszcze może być dumny z kariery syna Kaspra, bramkarza dzisiejszej reprezentacji Danii.

Z dystansu wszystko łatwiej usprawiedliwić: „gburowaty, kłótlivy i często wręcz chamski facet, którego można oglądać na starych nagraniach, jednocześnie był mną i nie był”. Cóż, nie tylko piłkarz raz wcielił się w rolę doktora Jekylla, raz pana Hyde’a. Schmeichel (obdarzony przez kibiców przydomkiem Mr Hectic – Pan Szalony) był „chamskim facetem” jedynie dla dobra klubu i zespołu narodowego. Tak przynajmniej po latach uważa. Pewno zgodziłby się z Niemcem Valentinem Markserem, psychiatrą, w przeszłości piłkarzem ręcznym, mistrzem Europy: „Najlepszym bramkarzem i możliwie, że najszcześniejszym człowiekiem na świecie jest ten, kto radzi sobie ze swoimi błędami”.

Znane są lustra wiszące i stojące, płaskie, wypukłe, zimne, gorące, wyczyszczone na polysk, pokryte kurzem lub łzami. Jedne obojętne, odbijające co dzień to samo, inne zmienne, kapryśne, nerwowe, nieustannie w ruchu, krzyżujące się z naszym spojrzeniem. Kupione na targu, w sklepie albo lombardzie, zawieszane w domu, w salonie, przedpokojem, łazience, w garderobie, w dużym teatrze, porzucone na strychu – pęknięte i przestraszone. Jakie by nie były, chodzą za człowiekiem cierpliwie i śnią mu się dokładnie. Luster brakuje na piłkarskim boisku. Gdyby tam stały, świat byłby prosty, a jego reguły łatwiejsze do zrozumienia. ■

Peter Schmeichel, Numer jeden. Przełożył Bartosz Sałbut. Wydawnictwo SQN, Kraków 2021, s. 456.



Lech Szaraniec, *Moje Katowice V*. Wydawcy: Górnosląskie Towarzystwo Literackie, Katowice, „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



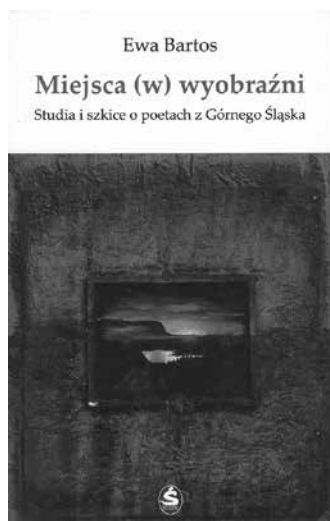
Alfabet sztuki XX wieku według Witolda Duleby. Wydawcy: Thesaurus Silesiae – Skarb Śląski, „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2016.



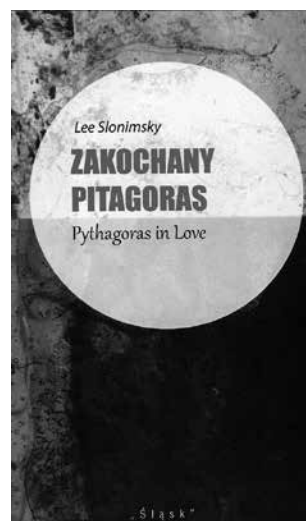
Andrzej Szuba, *666 strzępów*. Wydawcy: Thesaurus Silesiae – Skarb Śląski, „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Janusz Sztumski, *Elity – ich miejsce i rola w społeczeństwie*. Wydanie V uzupełnione. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Ewa Bartos, *Miejsca (w) wyobraźni. Studia i szkice o poetach z Górnego Śląska*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



Lee Slonimsky, *Zakochany Pitagoras*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.

W obliczu Absolutu

NATALIA RYBKA

Bóg umie dostrzec czarną mrówkę na czarnym kamieniu wśród ciemnej nocy
przysłowie arabskie

Cykl obrazów z tkaninami jest kontynuacją zagadnienia o relacji człowieka z Bogiem lub Boga z człowiekiem. Nie chcę dyktować doświadczenia, które odbiorca może przeżyć patrząc na obraz, ponieważ jest to zawsze indywidualne zajęcie.

Moim głównym celem jest próba podjęcia dialogu o to czy można patrzeć na wiarę nie przez pryzmat religii, dogmatów i rytuałów, a raczej o osobiste doświadczenie każdego uczestnika. Zawsze zastanawiało mnie czy doświadczenie duchowe opiera się o zbiorowe przeżywanie w jednym miejscu i czasie czy raczej jest moją własną drogą z Bogiem, który daje mi się poznać w wielkim dziele literackim jakim jest Boże Słowo. Z Bogiem, który nie narzuca mi doktryny, ale raczej oferuje mi wolność, miłość i swoją relację.

Olga Tokarczuk w swojej książce *Lalka i Perła* pisze:

„Nie należy się bać tego określenia – «duchowy». Nie musi ono oznaczać konkretnej konwersji ani ucieczki od świata. Duchowy – oznacza potencjalny wymiar psychiki każdego z nas, wymiar, którego istotnym elementem jest pytanie o całościowy sens istnienia człowieka. A więc już nie «kim jestem?», «kim mógłbym być?», lecz «o co w tym wszystkim chodzi?», «jakie jest moje zadanie?», «dlaczego w ogóle jestem?»” (LP s. 48).

Być może możliwość spotkania się na łamach tekstów Biblii z Jego autorem jest kluczowym zagadnieniem, które przybliżyłoby odpowiedzi na postawione wyżej pytania.

Chciałabym lepiej dobierać słowa i opowiadać rzeczywistość za pomocą tekstu, ale nie jest to moja silna strona, dlatego zacytuję jeszcze dwa teksty Olgi Tokar-

czuk z jej przemowy noblowskiej, które być może nie odnoszą się stricte do chrześcijańskiego doświadczenia Boga, mimo że jest On przywołany, natomiast osoba z takim doświadczeniem śmiało mogłaby powtórzyć za autorką te słowa: „Marzy mi się nowy rodzaj narratora, który potrafi zawrzeć w sobie zarówno perspektywę każdej z postaci, jak i umiejętność wykraczania poza horyzont każdej z nich, który widzi więcej i szerzej, który jest w stanie zignorować czas.”

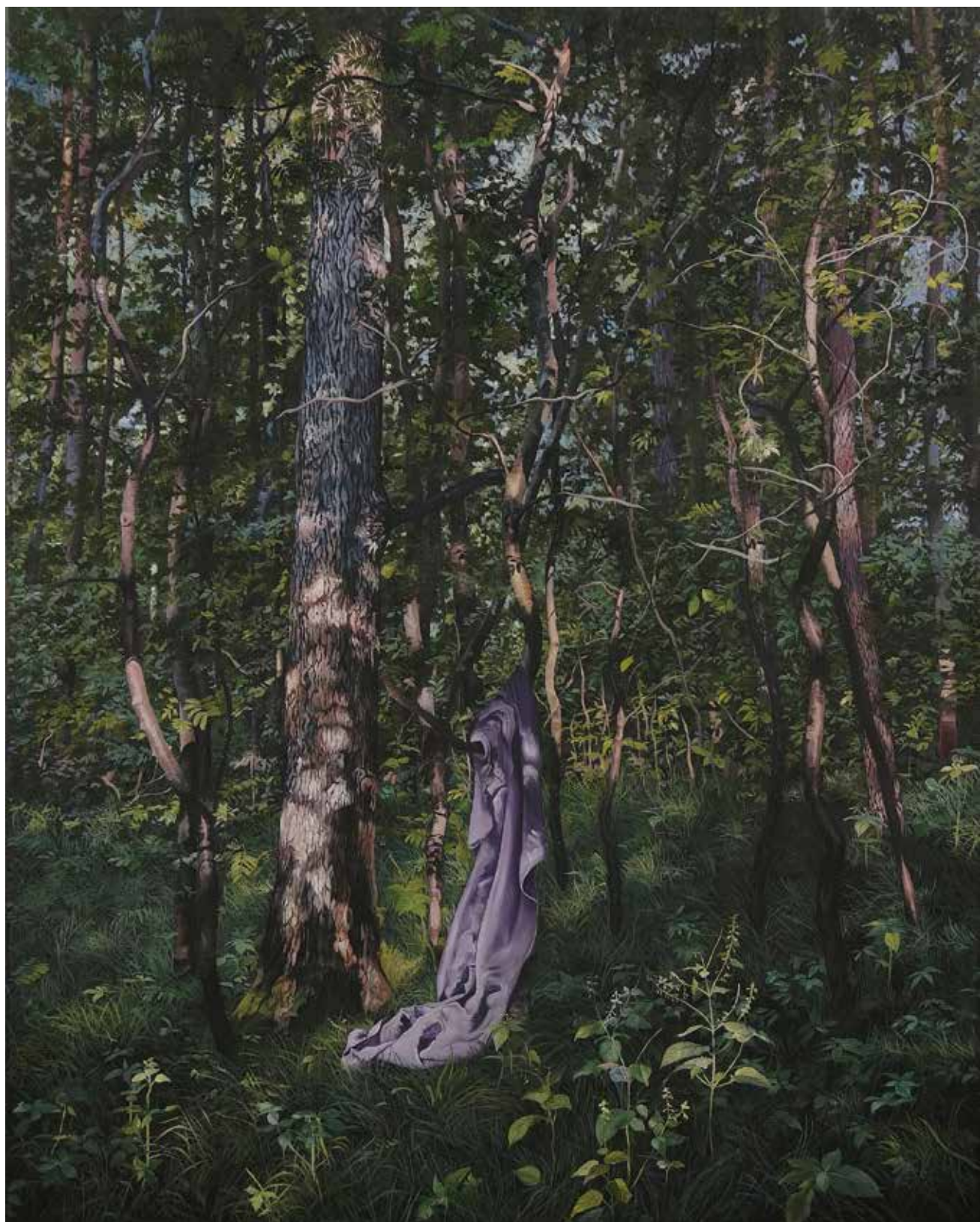
Doskonale wpisuje się to w postać, która już się pojawiła na świecie i właśnie tak patrzyła na rzeczywistość i ludzi. Jezus, który nie rzucił kamieniem w damę kameliową czy też nie bluźgał żołnierzom, którzy poniewierali nim przed Piłatem. Był osobą, która nadawała sens i cel ludzkiemu życiu. Patrzył z perspektywy spoza horyzontu.

„Czy zastanawialiście się kiedyś, kim jest ten cudowny opowiadacz, który w Biblii woła wielkim głosem: „Na początku było słowo”? Który opisuje stworzenie świata, jego pierwszy dzień, kiedy chaos został oddzielony od porządku? Który śledzi serial powstawania kosmosu? Który zna myśli Boga, zna jego

wątpliwości i bez drżenia ręki stawia na papierze to niebawale zdanie: I uznał

Bóg, że to było dobre”. Kim jest to, które wie, co sądzi Bóg? Wyjąwszy wszelkie wątpliwości teologiczne możemy uznać tę figurę tajemniczego i czułego narratora za cudowną i znamioną. To punkt, perspektywa, z której widzi się wszystko. Widzieć wszystko to uznać fakt wzajemnego powiązania rzeczy istniejących w całość, nawet jeżeli te związki nie są jeszcze przez nas poznane. Widzieć wszystko oznacza też zupełnie inny rodzaj odpowiedzialności za świat, ponieważ staje się oczywiste, że każdy gest „tu” jest powiązany z gestem „tam”, że decyzja podjęta w jednej części świata powoduje efektem w innej jego części, że rozróżnienie na „moje” i „twoje” zaczyna być dyskusyjne.





Natalia Rybka, Dama kameliowa 100 x 80, olej na płótnie, 2022



Natalia Rybka, *Żołnierz i Jezus*, 60 x 130, olej na płótnie, 2022





Natalia Rybka, Kochanka, 100 x 80, olej na płótnie, 2022

Łódzcy „Nędznicy” i filmowo w Spodku

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Po raz pierwszy obejrzałem musical „Les Misérables” w Teatrze Muzycznym w Łodzi w lutym 2020 roku, tuż przed wybuchem pandemii. Majowe przedstawienia już się nie odbyły, lecz dzięki żmudnym negocjacjom udało się pani dyrektor Grażynie Posmykiewicz doprowadzić do wznowienia spektaklu w tym sezonie. Przedstawienia były grane przy pełnej widowni i podobnie będzie zapewne w lutym 2023 roku. „Nędznicy” to jeden z najwybitniejszych musicali, który stawiam obok „West Side Story” (o wyjątkowej inscenizacji Janusza Sztyrlowskiego w Operze i Filharmonii w Białymstoku napiszę w kolejnym felietonie), „Skrzypka na dachu”, „Cabaret”, „Chicago”, „Hair”, „Kotów” czy „Evity”. Gdybym jednak miał wybrać jeden z nich, pierwsze miejsce dałbym „Nędznikom” ze względu na wyjątkową bazę historyczno-literacką – arcydzieło Wiktora Hugo – oraz z uwagi na wybitną muzykę Claude-Michela Schönberga (również świętego autora libretta z Alainem Boublilem).

Zastanawiałem się, jak będzie z odbiorem spektaklu po raz drugi. Wznowienie wypadło bardzo dobrze i czuło się atmosferę podobną do premierowej. Po dwóch latach pandemii publiczność teatralna jest bardzo spragniona bliskiego kontaktu z artystami, którzy także potrzebują tego jak tlenu. „Nędznicy” zresztą nie są „szeregowym” spektaklem, lecz wyjątkową produkcją, zrealizowaną z wielkim rozmachem. Inscenizacja Zbigniewa Maciasa (reżysera) i Grzegorza Policińskiego (scenografa) chyba nikogo nie pozostawia obojętnym. Kiedy mówi się o niespawiedliwości i szlachetności, walce dobra ze złem, przemianie duchowej, miłości i nienawiści, zetknięciu z okrucieństwem i śmiercią – te sprawy robią wrażenie. Nie ma banału ani po-

padania w dydaktyzm, nie ma moralizatorstwa i upraszczania historii, co zdarza się dość często w amerykańskich i brytyjskich produkcjach musicalowych.

Oglądałem „Les Misérables” wiele lat temu w Paryżu i Londynie. Wzruszenie jest zapewnione. Dwa lata temu zachwyciłem się Jakubem Wociałem, który wykreował niesamowicie sugestywną rolę Jean Valjean w łódzkich „Nędznicach”. Wociał ma kontrakt w Stuttgarcie, więc nie zjawiał się na wznowieniu. Zobaczyłem tym razem spektakl z Marcinem Jajkiewiczem, który otrzymał za tę rolę Teatralną Nagrodę Muzyczną im. Jana Kiepury dla najlepszego aktora musicalowego. Jest dla mnie nieco mniej sugestywny niż Wociał, ale wzbudza podziw jego przeistoczenie z amanta w silnego, niejednoznacznego mężczyznę. Znałem go dotąd z koncertów, w których był dla mnie zbyt jednowymiarowy. Tutaj zdecydowanie zaskoczył mnie pozytywnie. Paweł Erdman był bardzo przekonujący jako „czarny charakter” Javert, ścigający Valjeana w imię specyficznego pojętego prawa i sprawiedliwości. Kiedy poznał prawdziwe oblicze i szlachetność swojego wroga, popełnił samobójstwo. Wzruszająca była Katarzyna Łaska w roli Fantine, aresztowanej niesłusznie przez Javerta. Jej śmierć wywołuje łzy. Warto zwrócić uwagę na rolę Eponine Justyny Kopiszki i Cosette Ewy Spanowskiej – mają w sobie ujmującą szczerotę, choć ich występy nie są idealne. Poruszające były dzieci: Gavroche Bartka Albrechta i Mała Cosette w interpretacji Livii Ernest. Po raz kolejny podziwiałem aktora Teatru Muzycznego w Gdyni Mateusza Deskiewicza jako Thénardiera. Nie miał jednak tym razem dobrej partnerki. Aktorka grająca jego żonę była zbyt operetkowo-kabaretowa. Zabrakło jej aktorskiej głębi i drapieżności rodem z „Opery za trzy gro-

sze” Brechta i Weilla. To jednak drobiazgi w kontekście całości. Przedstawienie jest wybitne, więc wszyscy miłośnicy musicalu i dobrego teatru powinni je obejrzeć.

Filmowość tego musicalu została bardzo pomyslowo ujęta w łódzkiej inscenizacji. Przydałaby się pewnie większa scena z obrotówką i machiną teatralną, ale świetnie zakomponowana scenografia Grzegorza Policińskiego wykorzystała także proscenium po obu stronach. Do tego są bardzo dobrze zrealizowane projekcje i efekty specjalne. Jeśli ktoś oglądał film muzyczny „Les Misérables” sprzed 10 lat, nagrodzony 3 Oscarami, również nie będzie zawiedziony. Według mnie kontakt z tym musicaliem „na żywo” pozostawia niezaparte wrażenia, o wiele większe niż wersja kinowa.

A skoro wywołałem temat kina muzycznego, dobrze wspominać koncert zrealizowany pod koniec października 2022 roku w katowickim Spodku. Zostałem zaproszony na Galę Muzyki Filmowej, przygotowaną przez Filharmonię Śląską. Warto przypomnieć, że pierwszy pełnometrażowy film dźwiękowy został pokazany w kinach 95 lat temu, w październiku 1927 roku. Był to „The Jazz Singer” w reżyserii Alana Croslanda.

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej przeniosła nas na początku w świat „Gwiezdných wojen” Johna Williamsa, laureata 5 Oscarów. Usłyszeliśmy także muzykę m.in. Hansa Zimmera i Jamesa Hornera. Zabrzmiały motywy z takich filmów jak: „Harry Potter”, „Justice League”, „Piraci z Karaibów” czy „Niesamowity Spider-Man”. Z grona solistów najlepiej odebrałem Martę Król z Bytomia, dysponującą znakomitą głosem. Uczyla się też gry na skrzypcach, a już 10 lat temu otrzymała nominację do Fryderyka. Nieco gorzej zaprezentowała się mocno reklamowana w internecie Natalia Nykiel, która w tym repertuarze niezbyt się odnalazła. Obie wokalistki miały podobne białe sukienki podczas całego trzygodzinnego koncertu, co nie było dobrym pomysłem. Zawiódł mnie nieco Krystian Ochman, który stał się gwiazdą w konkursie Eurowizji, ale powinien jeszcze popracować nad głosem, aby brać się za tak urozmaicony repertuar. Dobrze wpasował się Chór Filharmonii Śląskiej przygotowany przez Jarosława Wolanina. Miałem pewien niedosyt, dotyczący jego obecności. Można było zaprezentować więcej utworów z udziałem tego zespołu.

Znakomicie brzmiała Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Macieja Sztora. Brawa należą się również za doskonale nagłośnienie koncertu, grę świateł i projekcje multimedialne. Tłumnie zgromadzona publiczność Spodka przyjęła koncert zasluzoną długą owacją na stojąco, a już dziś dyrektor Filharmonii Śląskiej Adam Wesołowski zapowiada kolejne wydarzenie w Spodku – tym razem Game Music Concert.

foto. Michał Matuszak



„Nędznicy” w Teatrze Muzycznym w Łodzi, Mateusz Deskiewicz i zespół.

Lina zawieszona nad przepaścią

WOJCIECH LIPOWSKI

Czy można odmienić przez przypadki iluzję, umowny wycinek świata, jego sztuczność? Czy jest możliwe, by modelem rzeczywistości stał się na przykład cyrk wraz z całym instrumentarium potrzebnym magikom, żonglerom, linokoczkom, czarodziejom różnej maści? Pewnie tak, jeśli przyjmujemy założenie, że stanowi element teatralizacji, jest po trochu prymitywny, pogański, ale też święty w znaczeniu spotkania ze sferą sacrum. W takiej przestrzeni nie ma miejsca na budowanie przeciwieństw, tam wszystko przenika się wzajemnie, przepływa między sobą, uzupełnia, prowadzi ze sobą nieustanny dialog. Człowiek zanurzony w tym świecie żyje i fascynuje swoją odmiennością, innością, posługuje się swoistym językiem, ciągle gra ze śmiercią, wie doskonale, że to co czyni może w każdej chwili nabrać cech rytuału. Wierzy, że dzięki wędrowce i spotkaniem z ludźmi zrozumie, pozna siebie, a może nawet stanie przed obliczem Najwyższego, zbliży się do porządku sakralnego.

Podobne doświadczenia Isaac Bashevis Singer artysta, który umiał w sposób piękny wskrzesić zapomniany świat kultury żydowskiej, przekazał Jaszy Mazurowi – bohaterowi swojej niezwyklej powieści *Sztukmistrz z Lublina* napisanej w języku jidysz, wydanej w 1960 roku, znanej niemal na całym świecie za sprawą licznych tłumaczeń, adaptacji teatralnych. Jan

Szurmiej, współautor libretta wraz Michałem Komarem, stwierdził ponoć, że jest to tekst o właściwościach metafizycznych, magicznych, a jego główny bohater przypomina demiurga wyzwalającego świat umarły, dając mu szansę na powtórna egzystencję.

Po latach przymiarek Witold Mazurkiewicz, reżyser i dyrektor Teatru Polskiego w Bielsku-Białej na początku nowego sezonu przywołał mieniący się barwami i znaczeniami świat obyczajów i wierzeń chasydów. We własnej wizji snutej na motywach dzieła Singera zatytułowanej *Sztukmistrz z miasta Lublina* rozpiął nad sceną linę cyrkową i wprowadził nań swojego bohatera, a ten rozpoczął swą niezwykłą wędrówkę wprowadzając wszystkich w cudowność zdarzeń prywatnej historii. Nieważne czy to był Piotrogród, czy może akurat Berdyczów, wszędzie, gdzie się zjawiał budził zachwyt, podziw, ale też niepokój, bo nikt chyba do końca nie znał jego prawdziwego oblicza. Trzeba przyznać, że interpretacja tej postaci w mistrzowskim wykonaniu Mateusza Wojtasińskiego w jakiś niewytłumaczalny sposób uzyskuje wszelkie znamiona artystycznej charyzmy, a nawet, co udało się w niektórych scenach, w oczach zachwyconej występnymi Jaszy jarmarcznej gawiedzi, nawet pozory boskości. Wojtasiński gra niezwykle dynamicznie, czasem na granicy fizycznego napięcia (w scenach

akrobatycznych publiczność z zachwytem i niepokojem obserwowała ryzykowne ewolucje), miota się, żongluje nie tylko na scenie, ale przede wszystkim we własnym życiu: kobietami, przyjaciółmi, namiętnościami, rozpaczą, smutkiem i poczuciem bardzo szybkiego upływu czasu. Kim naprawdę jest Jasza? Czy musimy to wiedzieć? Może dla każdego kimś innym. Piękno i wyjątkowość roli Wojtasińskiego polega na tym, że umiał wygrać tak wiele tonów, wydobył tyle ujmujących dźwięków, wycharował przejmującą paletę nastrojów. Na pewno przykuwa uwagę pokazana w formie projekcji scena ścięcia przez Jaszę pejsów, czyli odcięcia od wiary, obrzędowości, kultury. W świecie gojów nie jest mu wcale lepiej. Cóż, że ciasno mu było we własnym chasydzkim świecie, skoro w tym nowym także nie zaznaje spokoju i pokory. Ciśnie go chałat, przestaje się modlić, ale kończąc rozpoczyna lament stający się na powrót modlitwą. Ucieka od religii, by niedługo na nowo znaleźć się przed obliczem Boga Izraela. Mazurkiewicz, kreśląc biografię swego bohatera, zaproponował mu nieustanny, niebezpieczny taniec na linie, z której w każdej chwili można spaść za sprawą ciągłych wahań: czy pozostać we własnym żydowskim świecie czy zdecydować się na nowe życie wolne od pogardy.

A więc ciągłe balansowanie nad przepaścią: chęć wyjazdu, porzucenia bliskich, rodziny, Ameryka, Argentyna, ale w końcu najdalej dla Jaszy to Warszawa. No i dalej: romans za romansem, kłamstwa, ucieczki, powroty, występy, poszukiwanie wolności i ciągła iluzja, także w kontaktach z żoną oraz innymi kobietami. W spektaklu mamy ciąg znakomitych, niemal filmowych scen miłosnych, którymi bohater zagłusza wrzenie rozedrganego świata. Jest tam zmysłowa Estera wygrana subtelnie przez Wiktoryę Węgrzyn-Lichosyt; bardzo przekonująca, zawadiacka i namiętna Zewtel w wykonaniu Marty Gzowskiej-Sawickiej; twarz rozpaczcy i cierpienia, czyli Magda w ujęciu Oriany Soiki; no i brama do innego świata, proponująca ucieczkę do złudnej wolności, dumna i niewzruszona wdowa, choć jak się w końcu okaże słaba i pogubiona w życiu

fot. Dorota Koperska



Emilia we wzruszającym ujęciu Anny Guzik-Tylki. Galerię uzupełnia córka tej ostatniej Halinka w kreacji Marty Suprun, która również trafi w ramiona biegnącego przez życie Jaszy, coraz bardziej pogrążonego w cierpieniu i smutku.

Tragizm tej postaci polega na niemożności wyboru, podjęcia tej jednej decyzji. Gdy opada kurz cyrkowej sceny, gasną światła, kończą się iluzjonistyczne oszustwa, latające kufry spadają na ziemię wraz ze sztucznymi bukietami pozostaje samotność, zagubienie i nieustanne pytanie: co wybrać? Hermetyczny świat chasydzkiej obrzędowości, wierność nakazom Tory czy pustkę nowej rzeczywistości tętniącej zimnym blaskiem, odbitym światłem, obcej, bez korzeni. Tych pytań o tożsamość, dialogów z Bogiem, którymi naszpikowany jest tekst Singera oraz adaptacja Mazurkiewicza, jest bez liku, podobnie jak ciągłych wybiegów Jaszy dla odwrócenia uwagi od istotnych problemów egzystencji. Coś jednak kieruje linoskoczka tam, gdzie słychać melodie poruszających pieśni kantora. W tej roli ujmujący wszystkich wokalnymi umiejętnościami Tomasz Lorek. Tam, czyli jednak w Świątyni, od której tak uciekał nasz Jasza, krąży także głos cadyka w mądrej, pobudzającej wyobraźnię interpretacji niezwykłego Rafała Sawickiego. To on opowie o potrzebie ciągłego doskonalenia duszy znajdującej się w wędrówce nad przepaścią życia. Czy pomoże strudzonemu, pogubionemu pielgrzymowi, pytającemu o religię chrześcijan i żydów, znaczenie i prawdziwość wiary, obrzędu, rytuału, miejsce wolności, ale także odkrycie śmierci jako możliwości między zbawieniem a upadkiem. W końcu sztuka linoskoczka stanowi rodzaj gry ze śmiercią.

Jasza na swej drodze spotyka wiele zjawiskowych postaci, które nie rozważają jego wątpliwości, nie udzielają zadowalających odpowiedzi na stawiane im pytania, mnożą wątpliwości, wprowadzają niepokój. W tej gale-



fol. Dorota Koperska

rii spotkamy impresario artysty Wolskiego (dynamiczna, zgrana przekonująco rola Grzegorza Sikory); brata Magdy Bolka, który Żydów nie darzy sympatią, ale zgola odmiennie uczucia lokuje w ich pieniądzech (bardzo udana rola Sławomira Miski); no i zapadający w pamięć pojedynek z Hermanem (po prostu zjawiskowy Michał Czaderna).

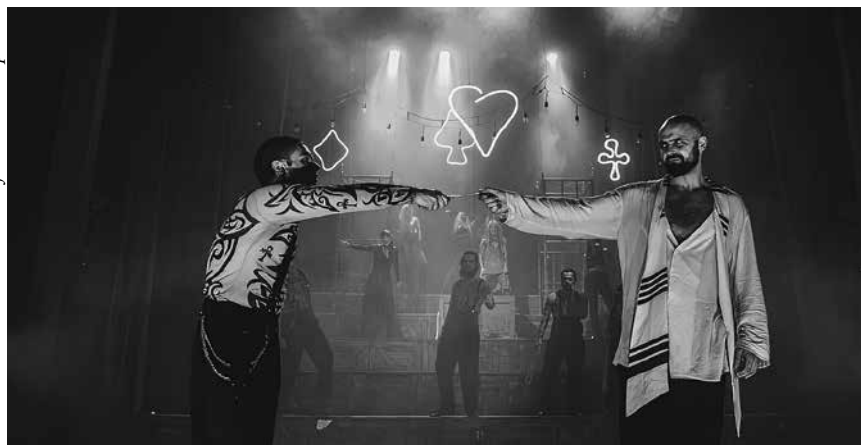
Spektakl Witolda Mazurkiewicza to przede wszystkim piękne, wzruszające widowisko. Bardzo głębokie, o dużych możliwościach interpretacyjnych. Jego siła tkwi w możliwości konfrontacji intelektualnej z rozlicznymi wątkami, dygresjami, kontekstami, jakie daje obcowanie z tak wieloznaczeniowym, pojemnym w treści tekstem. Na scenie niemal wszyscy bielscy artyści. Sceny zbiorowe z pewnością poruszą i wzruszą wszystkich, którzy zechcą zajrzeć do tej niezwykle barwnej przestrzeni, spotkać się z jej mieszkańcami. Doświadczyć czegoś na kształt mitycznej jedności tego świata. Czerpać garściami z jego możliwości i bogactwa kulturowego, może filozoficznego. Muzyka, pieśni, taniec (ciekawa choreografia Jakuba Lewandowskiego), wprawiające w zachwyt sceny zbiorowe, grające kostiumy chasydów i go-

jów (niezawodna Iga Sylwestrzak). Nadal pięknie brzmiące teksty Agnieszki Osieckiej, wywołujące wzruszenie, ale też u starszych widzów wspomnienia, kompozycje Zygmunta Koniecznego, składają się w całość niezwykłą, pobudzającą wyobraźnię, skłaniającą do przemyśleń.

Widzowie z pewnością docenią również osobnego bohatera tego muzycznego spektaklu, a mianowicie scenografię Damiana Styryni oraz światło Ewy Garniec. To dzięki nim scena stała się tym o czym już wspomniano: miejscem, gdzie rzeczywistość przeplata się z iluzją. Olbrzymie schody wypełniające scenę w jednej chwili przypominają wieczorne wzgórze z rozświetlonymi oknami domostw, kiedy indziej są widownią cyrku, współczesnym klubem, mieszkaniem, świątynią.

Niepokój, niecierpliwość, wygasną w końcu tego widowiska. Skończy się długi tunel znaczeń, zresztą wielość ich odczytań nie jest niczym osobliwym jak w przypadku każdej opowieści. Dokąd zaprowadziła nas wędrówka po chybotałej, niepewnej linii, rozpiętej w zamazanej, iluzorycznej przestrzeni? Jakie wątpliwości udało się rozwiązać, na jakie pytania odpowiedzieć? Może autor pytając kim był jego bohater chciał w istocie zapytać kim my jesteśmy? Jeśli raz jeszcze przemyślimy jego niepokładane, wypełnione smutkiem i niepewnością życie i odniesiemy do wyrażonego powyżej zdania może się w końcu okazać, że odpowiedź na nie stanie się zdumiewająco prosta. ■

Sztukmistrz z miasta Lublina
Na motywach powieści I. B. Singera
Reż. Witold Mazurkiewicz
Libretto Michał Komar, Jan Szurmiej
Teatr Polski w Bielsku-Białej
Premiera 8 października 2022



fol. Dorota Koperska

Z Norymbergi do Wrocławia nadszedł list

JAN MALICKI

A stało się to na początku 1584 roku. Jego autorem był znany, darzony wielkim poważaniem i estymą niemiecki poeta Paweł Schede, o wiele bardziej znany pod zlatynizowanym nazwiskiem Pawła Melissiusa. Pisał on: „A czyż nie sądzisz, że wielką dla mnie przykrością nie znać tych, z którymi łączysz cię bliska przyjaźń? Mówię o krakowianach – Patrycyum, Kochanowskim i innych. Wiersze Kochanowskiego bardzo mi się podobały. Skąd on pochodzi, z jakiego stanu, czy jest zamożny, w jakim jest wieku? [...] Proszę cię pomóż mi i przygotuj drogę do zaznajomienia się z nim, a gdy przyjedziesz z powrotem do Polski, pozdrów obydwu ode mnie” (M. Szyrocki: Silaesiaca).

Autorem tego listu był „hrabia pałacowy i rycerz złości, obywatel rzymski”, a zarazem „poeta suavis”, autor wielu kunsztownych wierszy łacińskich drukowanych przeważnie w krajach niemieckich i na Śląsku, cieszący się wielką popularnością w środowiskach humanistycznych niemal całej Europy. Szczególnie od momentu uhonorowania go cesarskim wawrzynem poetyckim. Również w stołecznym dla Śląska Wrocławiu, skupiającym zarówno patrycjat, co i wędrujących po krajach Zachodu humanistów z Polski i Węgier. W tym miejscu historycy literatury nawykowo niemal przypominają przypuszczalny szlak młodego Jana Kochanowskiego i Stanisława Grzebskiego, którzy ponoć udawali się przez Wrocław do Lipska, a może i dalej – zmieniając jednak kierunek peregrynacji – do Królewca. Tam zresztą trafiały (via Toruń) wrocławskie księgi różnowiercze. Nic więc dziwnego, że z mieszkańcami Śląska kontakty Melissiusa były nadzwyczaj bliskie, jak tego dowodzi zakończenie cytowanego listu, ale i kontakty osobiste tutaj przypomniane (np. z Re-

usnerem ze Srebrnej Góry). Przekonał się o tym również Melchior Lauban ze Szprotawy, który przebywając na studiach w Heidelbergu, jak twierdzi jeden z badaczy, „udoskonalili sztukę poetyzowania u Pawła Melissa”, uzyskując odeń laur poetycki. Z czasem Lauban stał

Jak w praktyce wyglądały te wędrówki wiemy doskonale. Przygotowywano się doń niezwykle starannie. Nie tylko studiowano traktaty historyczne, geograficzne, ale też przewodniki, w których znajdowano informacje użyteczne, wręcz niezbędne; np. o miejscach

noclegów, rabusiach grasujących po drogach, a nawet przeliczniki między walutami w krajach przez które się wędrowało. Niezwykle bogaty zbiór takich przewodników z przełomu XVI i XVII wieku posiada biblioteka Stacji Naukowej PAN w Rzymie. Wędrówka nie kończyła się w jednym tylko ośrodku. Do powszechnych praktyk należało porzucanie jednego, choćby najatrakcyjniejszego ośrodka, na rzecz kolejnych. Podobnie zresztą jak i mistrzów – autorytetów. Szczegółowo opisuje to węgierski nauczyciel z Szepsi – Marton Csombor.

Melissius kształcił się między innymi w Niemczech, w Szwajcarii, w Italii oraz we Francji. Wędrówki te – należące niemal do obowiązującego rytuału każdego humanisty – sprzyjały nie tylko rozwojowi intelektualnemu peregrynanta poznającego świat i ludzi, ale nade wszystko pozwalały doskonalić warsztat twórczy. Przynosiły profit w postaci znajomości, kontaktów, a wcale nierzadko przyjaźni, trwają-

cych latami. Służyły do zadzierzgnięcia więzów przyjacielskich z najtęższymi umysłami epoki. Tak też się stało w przypadku Pawła Melissiusa. Poznał on bowiem między innymi Juliusza Cezara Scaligera, Włocha, lekarza, filozofa, estetyka. Autora monumentalnej „Poetyki w siedmiu księgach” (Lyon – Genewa 1561), kodyfikującej na długie lata zasady tworzenia „dzieł doskonałych”, mogących współzawodniczyć z dokonaniem starożytnych Greków i Rzymian. Poznał też wybitnych herezjarchów, chociażby Teodora Beżę, ucznia a zarazem



się jednym z najbardziej znanych śląskich pedagogów przełomu XVI i XVII wieku.

Melissius był jednak nade wszystko humanistą – peregrynantem, wędrującym ówczesnym zwyczajem do najwyższych cenionych ośrodków akademickich oraz intelektualnych całej niemal Europy. Tak czynił wcześniej między innymi Konrad Celtis i cała plejada jego wielbicieli z Krakowa pod koniec XV stulecia, gdzie wspólnie z Filipem Kallimachem tworzył Nadwiślańskie Towarzystwo Literackie, czy też w Wiedniu, powołując Towarzystwo Poetów i Matematyków.

następcę Jana Kalwina, autora historii francuskiej reformacji, twórcę biografii swojego mistrza, wydawcę przekładu filologicznego „Biblii”. Poprzez te kontakty wzrastał i jego autorytet w środowisku piszących i czytających antyczną klasykę oraz kanon współczesności.

Adresatem przywołanego tu listu był inny peregrynant; urodzony w Konstancy, Jan Maciej Wacker, a osiadły – jak wielu podobnych wędrowców – we Wrocławiu, gdzie się ożenił z córką kupca – Zofią Polej. Z korespondencji prowadzonej między Wackerem i Melissusem wynika, iż ów wzięty poeta miał żal, że nie dane mu było upamiętnić tego ważnego wydarzenia okolicznościowym wierszem, a my na marginesie dodajmy, jak to uczynił Jan Kochanowski, uświetniając ślub Andrzeja Dudycza pięknym epitalamium. Wiemy natomiast, że powstał wiersz poświęcony narodzinom syna Jana Macieja, a co ważne, że spodobał się wyrafinowanemu znawcom poezji humanistycznej Dudyczowi i Rhedigerowi, któremu Melissus „nie odmówiłby niczego”. To dwaj wybitni mieszkańcy Wrocławia. Miasta szczególnego, które przez swoją bliskość stało się miejscem atrakcyjnym dla krakowian i dla tych, „co z wołami do Brzegu”, ale i ważnym dla wędrujących do Lipska, jak to uczynił Mikołaj Sęp – Szarzyński, i jeszcze dalej, do Wittenbergi czy Lejdy. Albo kierujących się do złotej Pragi, a stąd drogą rzymską (via Romana), przez Florencję, rzadziej Urbino, do „wiecznego miasta”. Swoje ulubione miasto, jakim był Rzym, Melissus wielokrotnie opisywał, a którego zresztą „śpiewać nigdy nie przestanie”.

Na tym szlaku niezwykłych miast Wrocław zachwycał swoją urodą. Zachwycał też atmosferą intelektualną, tak przecież cenioną przez renesansowych humanistów, budujących swoją wiedzę nie tylko na lekturach ksiąg, ale i na spotkaniach, rozmowach, dysputach, delibracjach, rozważaniach. Zawsze wokół stołu. „W latach osiemdziesiątych szesnastego wieku wytworzył się we Wrocławiu – pisał Karol Głombiowski – w łonie zniemczonego patrycjatu miejskiego doborowy krąg ludzi, oddanych w sposób szczególny muzom i nauce. Duszą tego kręgu był Andrzej Dudycz, humanista o wielostronnych zainteresowaniach i wytrącony z obiegu dyplomata, człowiek, który odbył zawiłą drogę życiową, by na ostatnie lat dziesięć osiąść we Wrocławiu i tu w kole ludzi bliskich sobie poglądami dożywać swoich chwil” (K. Głombiowski: W kręgu czytelniczym..., s.5). Ten przyjaciel Kochanowskiego i Andrzeja Frycza-Modrzewskiego, ex-biskup na Pięciukościolach, apostata, z czasem zwolennik arianizmu, błyskotliwy intelektualista, tutaj też zmarł i tutaj został pochowany. Oczywiście znamy wiele nazwisk osób spośród tych, którzy bywali na organizowanych tu sympoz-

jonach. Przypomnijmy niektórych: Jakub Monau, Zygfryd Rybisch, Jan Herman, Marcin Weinrich, Daniel Engelhart, Marcin Schilling, Andrzej Winkler i Wawrzyniec Scholtz, założyciel wspaniałego ogrodu, w którym królowały, przywiezione dopiero co do Europy, tulipany. Zapewne bywał też i Joachim Cureus, autor pierwszej śląskiej, renesansowej kroniki. Wreszcie trzej najciekawszy: Tomasz i Mikołaj Rhedigerowie, twórcy pierwszej publicznej biblioteki; i lekarz trzech cesarzy – Jan Crato von Crafftheim, którego korespondencja z krakowskimi humanistami – szczególnie z Faustem Socynem, włoskim hezrejchłą – należy do niezwykle ważnego dla całej kultury europejskiej, zasobu. Pominę natomiast Scharffenbergerów, wrocławsko – krakowską dynastię drukarzy. Zresztą nie tylko Ślązacy utrzymywali kontakty ze środowiskiem polskich intelektualistów. Również i Polacy oraz przebywający w naszym kraju wędrowcy, nierazko korespondowali z patryjatem wrocławskim. Przypomnijmy jedynie bogatą korespondencję Krzysztofa Warszewickiego, Krzysztofa Trecego, Fausta Socyna i Jerzego Joachima Retyka, astronoma, który zasłynął wydaniem Kopernikowego dzieła „O obrotach”, z czasem krakowskimi spotkaniami humanistów, w których uczestniczyli między innymi Andrzej Dudycz, Stanisław Grzebski, Andrzej Patrycy Nidecki i Jan Kochanowski, który zresztą z jego inicjatywy napisał w roku 1563 traktat „O Czechu i Lechu historyjaę naganioną”. Traktat, poddający w wątpliwość najstarsze przekazy dziejopisarskie dotyczące mitycznych początków narodu polskiego.

Znamy też miejsce, w którym spotykali się w Krakowie humaniści z różnych części Polski, Śląska i Europy. To kamienica przy Rynku, nieopodal kościoła Mariackiego. Jej właścicielem był Jan Kirstein z Lwówka Śląskiego, bardziej znany pod zlatynizowanym nazwiskiem Cezaryna (nb. na zewnętrznej ścianie kościoła wyryte jest poświęcone mu inskrypcyjne epitafium). Pamięć jego uczcił czarnoleskiopoea nagrobkiem, który wszedł do zbioru fraszek łacińskich. Przypomnijmy go.

*Czciciel praw i słuszości, pod tym głazem
Śpiz, gdy śmierć ci zamknęła oczy, Cezarynie.
Cnota i sprawiedliwość w pierś dłońmi się biły
I włos ci swój, zmarlemu, w ofierze złożyły.*

Postać to ciekawa. Przybył on do Krakowa zapewne ok. 1520 roku, obierając za cel swej podróży studia prawnicze w Akademii, a po ich ukończeniu, dochodząc do wysokich godności wójta sądu wyższego magdeburskiego na zamku królewskim, a zarazem burmistrza stołecznego grodu. Ten zasłużony i godny zaufania prawnik, był jed-

nocześnie wybitnym humanistą, którego dom był stale otwarty dla intelektualistów starszego pokolenia, chociażby Augustyna Rotundusa i Jana Antonina – egzekutora testamentu Klemensa Janickiego (Janicjusza) – „poety uwieńczonego”; dla poetów, np. Jana Langa (nb. też Ślązaka), ale i przyjaciół znanych nam doskonale z twórczości Jana Kochanowskiego – by jedynie przypomnieć „doktora Hiszpana”, Piotra Roizjusza czy blijskiego przyjaciela poety, a jednocześnie powinowatego Cezaryna – Stanisława Fogelwedera. Adresata jednego z kilku zachowanych listów pisanego przez czarnoleskiego poetę, a łączonego z powstaniem „Trenów”.

Jednak w tej plejadzie ludzi niepospolitych, szczególnie miejsce zajmował właśnie Jan Maciej Wacker. „Sędzia, mąż najuczestniejszy, najwymowniejszy”, rezydent w Krakowie, agent cesarski w Polsce, od początku lat 88-tych XVI stulecia (może w latach 1582–1583), informujący cesarza o sytuacji politycznej w „ziemi obiecanej” – jak nazywał w swoich listach Rzeczpospolitą. Czynił to jednak nie wprost, lecz poprzez Kamerę śląską lub kapitułę wrocławską. W każdym razie był człowiekiem doskonale orientującym się w zagadnieniach, jakimi żyła batorska Polska, w zagadnieniach nie tylko kulturalnych, ale i politycznych. Stąd zapewne wywodzą się kontakty Wackera z najwybitniejszymi – bądź co bądź – humanistami polskimi: Janem Kochanowskim oraz przyjacielem z czasów padawskich Andrzejem Patrycy Nideckim, niepospolitym filologiem, autorem „Fragmentów M.T. Cyclerona tomów cztery z objaśnieniami”, wydanych po raz pierwszy w Wenecji w 1561 roku, a wznawianych sześciokrotnie między innymi w Lejdzie, we Frankfurcie, w Lipsku i w Hanowerze.

Przygotowane przez Wackera dokumenty musiały być precyzyjne, dokładne i całościowe. Znam jedną taką rękopiśmienną księgę, znajdującą się w Pradze na Strahowie (sygnatura D.E.VI.13), oprawioną w skórę, bogato złożoną z wytłoczoną datą 1586. Głównie opisuje wydarzenia i cytuje in extenso dokumenty z czasów drugiej elekcji wraz ze słynną propozycją wyboru na tron polski: albo Maksymiliana, albo Iwana Groźnego. Propozycją zgłoszoną przez Jana Kochanowskiego, a wysłuchaną przez jego posłów dowolnym uchem”. Nieprzyjęta. A przez to wzmacniająca pozycję Habsburga. Praski kodeks zapewne nie jest jednak zbiorem Wackerowym.

Do spotkania Melissusa z Janem Kochanowskim już nie doszło. W sierpniu 1584 roku Jan Kochanowski zmarł. ■



Na samej górze

był
zamek,

o zmierzchu wyglądał
jak księżyc przybywający
albo jak zapalona
lampka
w cudzym oknie,

od strony zamku
wyglądaliśmy pewnie
jak trawy,

rozłożyste i rozkołysane trawy,

a byliśmy raczej
jak ruchome piaski.

Złote algi

nasze barki płyną po martwej
Odrze
sam słyszałem

ta rzeka będzie spać
jakiś dwadzieścia lat

a potem może obudzi ją
jakiś książę
tymczasem łowią

mężczyźni niosą ogromną rybę
a potem wrzucają
na ciężarówkę

największy okaz od lat
mówią

wszystko skażone
ale przynajmniej wojny nie ma

nie u nas
jest tuż – za naszą granicą

gdzie płyną płyną dary
ktoś oddał potrzebującym

starą pościel i nakręcił film o tym
ktoś inny nic nie dał

ale za to się śmiał
a ktoś się bał

ktoś nie chciał słyszeć
ktoś jeszcze zapomniał

ktoś pozdrowiał znad morza.

Lądy Odzyskane

jesteśmy ludźmi morza
naszych miast
nikt nie zbudował

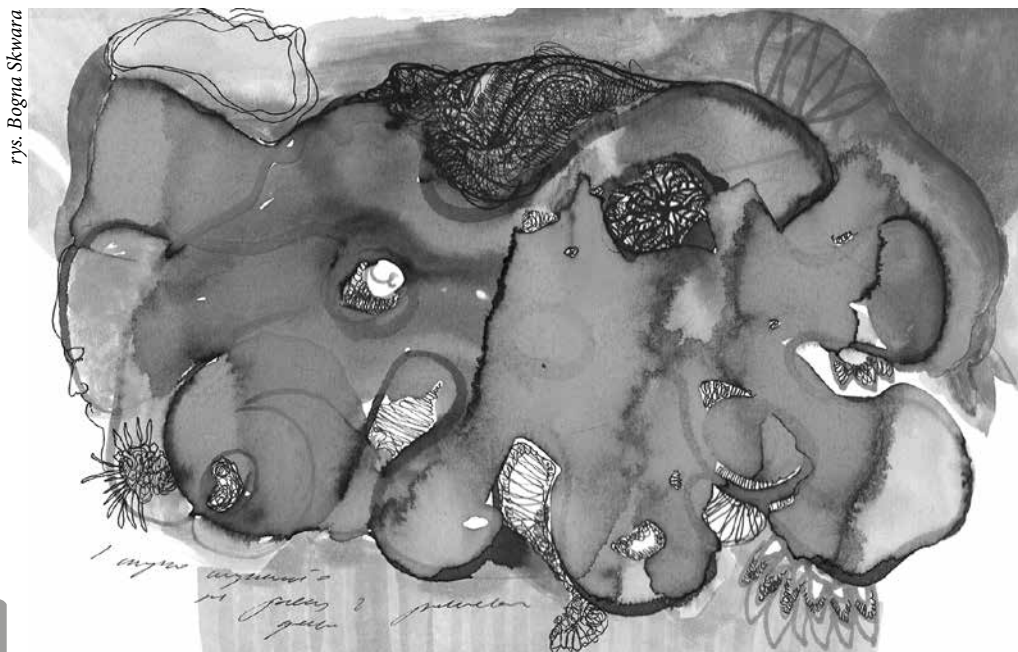
one powstały
z bursztynu
morskiej piany
i soli

naturalnie

z wyjątkiem Odzyskanych Lądów
na przykład Wrocław

oddała nam Odra.

sierpień 2022





Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2023 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIÓŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy cd.		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
T.l.k.		nr rachunku odbiorcy	
35110190118600000000		35110190118600000000	
w walucie		w PLN	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		WP PLN	
nazwa zleceniodawcy			
nazwa zleceniodawcy cd.			
tytułem		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		„ŚLĄSK”	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Opłata:

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy cd.		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
T.l.k.		nr rachunku odbiorcy	
35110190118600000000		35110190118600000000	
w walucie		w PLN	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		WP PLN	
nazwa zleceniodawcy			
nazwa zleceniodawcy cd.			
tytułem		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		„ŚLĄSK”	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Opłata:



ŚLĄSKA MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Finał „Zaczarowanego Mikrofonu”

GLIWICE. Centrum Kultury Studenckiej „Mrowisko” gościło finał „IV Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Osób z Niepełnosprawnościami – Zaczarowany Mikrofon” (22.10.2022). Organizatorem od lat jest gliwicka Fundacja Rytm. W Gliwicach, dzięki samorządowemu wsparciu finansowemu, od kilku lat istnieje możliwość występowania osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi bądź fizycznymi. Pomagają wolontariuszki i wolontariusze. Nagłośnienie zapewnili: Sebastian Malcherek i Grzegorz Gutowski. Wideorejestracją występów zajął się Andrzej Bałucki, a konferansjerkę prowadził Michał Czaplicki. Każdy kto jeździ autobusami i tramwajami w województwie śląskim słyszał głos Michała Czaplickiego – to on, jako lektor, zapowiada ponad 3 500 przystanków, dzięki czemu codziennie dociera do setek tysięcy pasażerów. Ale jest również głosem wielu ogólnopolskich programów telewizyjnych.

Przed finałem odbyły się trzy koncerty eliminacyjne w Gliwickim Ośrodku Działań Społecznych przy ul. Studziennej 6. Występy oceniało jury pod przewodnictwem Mirosławy Sander. W jury – obok profesjonalnych muzyków – zasiada pani Klaudia Bera, pełnomocnik ds. osób niepełnosprawnych Wydziału Zdrowia i Spraw Społecznych Urzędu Miasta Gliwice.

Wyniki podano w dwóch kategoriach. W grupie osób z niepełnosprawnością intelektualną I miejsce zdobyła Karina Sobczyńska z Bielina, woj. zachodnio-pomorskie (na zdjęciu), a w grupie osób z niepełnosprawnością fizyczną – Kinga Kasprzyk z Kluczy, woj. małopolskie). Nagrodę publiczności oraz nagrodę ufundowaną przez Studio VTV1 Wrocław, otrzymała Julia Ring z Pyskowic.



fol. Grzegorz Podwójny

Sobotta w Centrum Olimpijskim

WARSZAWA. Obchodzące swoje 70-lecie Muzeum Sportu i Turystyki wzbogaciło się o cztery obrazy o tematyce sportowej, ofiarowane przez Piotra Sobottę. W ostatnich latach osobę i dzieła artysty kilkakrotnie prezentowaliśmy na łamach „Śląska” (numery 9 i 10/2018; 2 i 5/2019 oraz 2/2022). Tu przypomnijmy tylko, że w roku 1960 Piotr Sobotta na Olimpiadzie w Rzymie reprezentował Polskę w skoku wzwyż. Był też mistrzem i rekordzistą Polski w tej konkurencji, a po zakończeniu kariery sportowej zdobył dyplom architekta w Mediolanie i nadal wygrywał, ale już w wielkich konkursach architektonicznych. Założył własne biuro projektowe w Nicei i specjalizował się w obiektach publicznych (szpitale, szkoły, budynki administracyjne).

26 października 2022 w warszawskim Centrum Olimpijskim otwarto wystawę kilkudziesięciu obrazów Piotra Sobotty. Wernisaż stał się okazją do niezwykłych spotkań, w których organizację zaangażował się Andrzej Szewiński wraz z całą rodziną Ireny Szewińskiej. Przybyli żyjący medaliści olimpijscy, członkowie polskiego Wunderteamu i wielu znakomitych gości ze świata sportu, kultury i polityki, ponadto członkowie Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, a nawet redaktor naczelny wileńskiego kwartalnika „Znad Wilii”, zainteresowany tematyką sportową obrazów Piotra Sobotty. Wydano wspaniały katalog pod redakcją kuratorki wystawy – Kamy Zboralskiej. Teraz czas na wielką retrospektywę dzieł naszego Olimpijczyka w rodzinnych Gliwicach i Katowicach.



